

Kamena

Wychodzi od 1933 r.

Wesołych
Świąt
życzy
„Kamena”

LUBLIN 19.XII.1971 Nr 26 (485)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

N
A
S
Z
E

D
Y
S
K
U
S
J
E

Z
M
S

Zachód tylko za biletami (1)

Rodzina królewska -60 pensów

Andrzej Hausbrandt

piątek

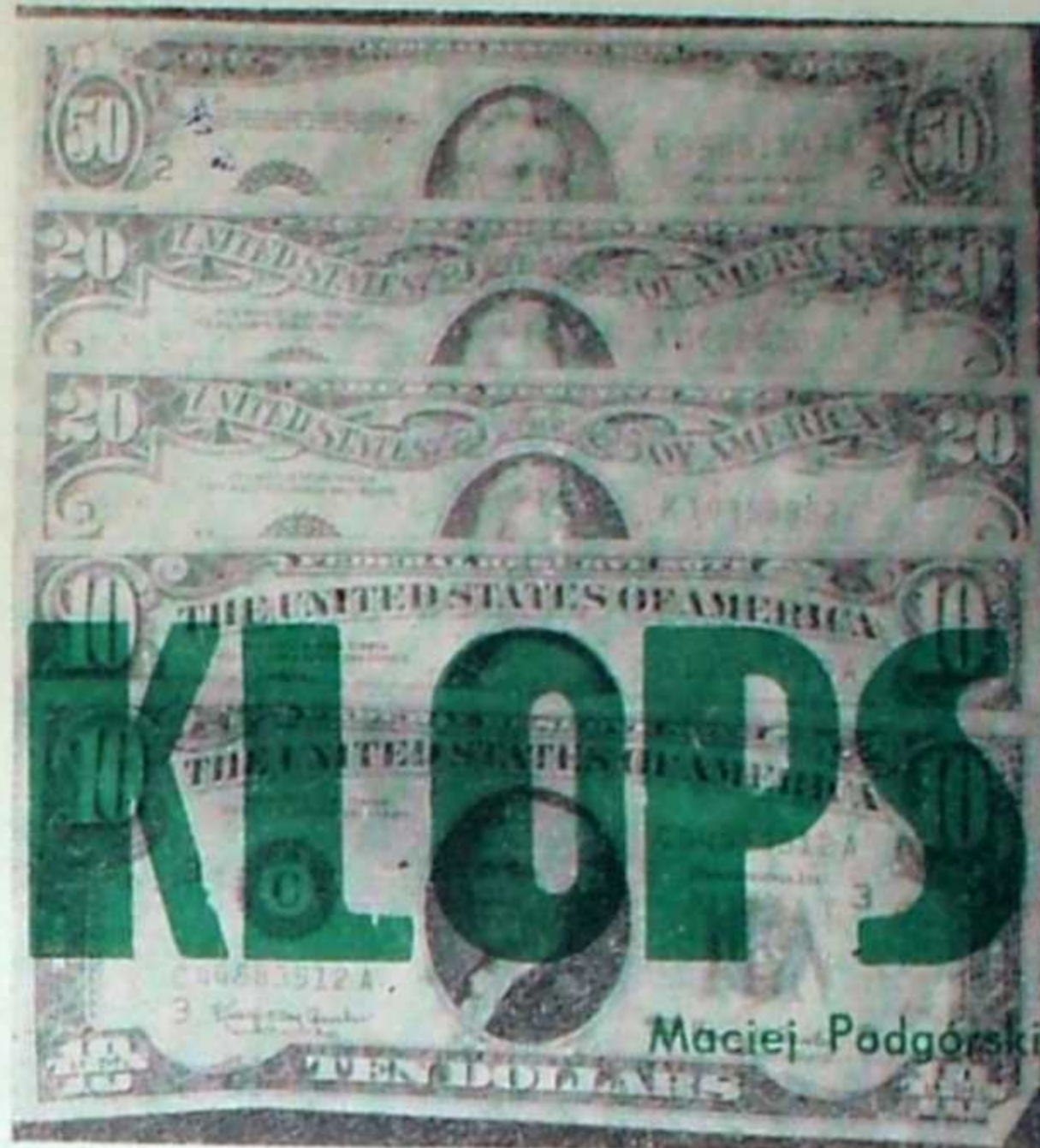
Największe miasto Europy jest niskie. Tak, po prostu niskie, by nie rzec — wsiowe. Większość domów ma tu po 2-3 piętra. Zywopłocik, żwirak, schodki, dwie kolumnki, drzwi (wstawne z mosiężną cyfrą i szeregiem guzików przy framudze), obok okno. Na pierwszym piętrze dwa okna, na drugim dwa, trzecie też, tylko cofnięte. Teraz ten wzór powtarzamy obok siebie, ciasno jeden przy drugim, kilometrami. Dziesiątkami i setkami kilometrów identycznych, tragicznie podobnych do siebie szeregowców po obu stronach ulicy. To jest Londyn.

Dzielnice, ba — miasta nieszczęsnych domków wpełzają w samo centrum, wleiskają się w pobliże Regent Street, Bayswater Road, Oxford Street, Marylebone Road, Piccadilly... Tu są, oczywiście, eleganckie, bardziej wypucowane, przystrojone, wypracowane. W dobrym punkcie za mieszkanie w czymś takim płaci się horrendalne sumy. Znajomy lekarz bulli przy Devonshire Plaza góra 2000 funtów rocznie, co nawet na dobrze zarabiającego nie jest mało. W dzielnicach, gdzie mieszkańcy są biedniejsi i bardziej kolorowi (zarówno na skórze jak i w odzieniu), szeregi domków-koszmarek stają się bardziej odrapane, brudne, a równocześnie nabierają pozoru cech indywidualnych. Tu ktoś pomalował inaczej niż sąsiad drzwi, ówdzie kolumnki w stędmiu kolorach tęczy, tam rami okienne krzyżują karminem...

W centrum wynoszą się ponad dostoje, wiktoriańskie kamienice, zamerykanizowane wieżowce — kombinacje szkła i aluminium. Bezosobowe, czyste, funkcjonalne. Ogozczone niechęcią londyńczyków, podobną do tej, którą darzą jankesów. Elementy obcy, chamski, nowobogacki. I tak jak ci z Atlantyku — nieunikniony.

Dokończenie na str. 8-9

LUBLINIANIE: Wiesław Aleks — przewodniczący Zarządu Zakładowego przy oddziale I PKS, Roman Galczyński — przewodniczący Zarządu Zakładowego ZMS przy Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Przemysłu Mięsnego, Grzegorz Jakiel — przewodniczący Zarządu Szkolnego ZMS przy Liceum Ogólnokształcącym nr 3, Krzysztof Kamiński — wiceprzewodniczący Zarządu Miejskiego ZMS, Marian Siwko — wiceprzewodniczący Zarządu Zakładowego ZMS przy DOPiP, Zofia Solis — przewodnicząca kółka ZMS przy I oddziale miejskim PKO, Andrzej Stopa — kierownik Wydziału Miedzioty Robotniczej ZM ZMS, Tadeusz Szczepaniak — przewodniczący Zarządu Zakładowego przy Lubgali oraz Anna Zdeb — przewodnicząca Zarządu Szkolnego przy Liceum Ogólnokształcącym nr 8 spotkali się przy okrągłym stole, aby przed zbliżającą się Konferencją Miejską ZMS przedyskutować niektóre problemy związane z pracą młodzieży. Dyskusji przysłuchiwał się i chwilami wtrącał swoje dwa głosie red. naczelny „Kamena” — Marek Adam Jaworski, b. działacz ZWM i AZWM „Życie”. Relację publikujemy na str. 3.



JÓZEF Ch., człek leclwy, siedemdziesięcioletni, był nieco zdziwiony, kiedy zaraz na peronie poszedł doń jakiś nieznanemu mu młodzieniec i zaproponował:

— Panie Józefie, zapraszam na piwo.

— Ja nie piję piwa.

— To może mnie pan postawi. Poszedł więc za natrętem, żeby się go przedzej pozbyć...

Brzmiałoby to chyba jak początek marnego „kryminału”, gdyby nie było prawdą. W ten bowiem sposób 27 maja 1969 roku o godz. 21.00 na lubelskim dworcu PKP, bezpośrednio po wyjściu z warszawskiego pociągu, został zatrzymany jeden z „ważniejszych” polskich waluciarzy. Podczas drogi do KW MO w milicyjnej „Woldze” usi-

lował odrzucić od siebie dwa rulony złotych monet, liczące po 100 carskich 5-rublowek. Typowy gest wytrawnego waluciarza — jak najprędzej oczyścić się z „towaru”, gdy grozi wpadka. Już na miejscu, w komendzie, dwukrotnie proponował milicjantom do podziału te 200 monet w zamian za uwolnienie.

— To gruba gotówka — zachęcał. Istotnie. Prócz zapisków „handlowych” znaleziono przy nim jeszcze trzech rulonów o identycznej zawartości. W sumie złote monety ważyły przeszło kilogram (1286,8 g) i miały wartość — według kursu NBP — 231 588 zł (na czarnym rynku — co najmniej 350 tys. zł). Jak wykazała ekspertyza Skarbcza Emisyjnego NBP w Warszawie — je-

Dokończenie na str. 10

JEDNA z zasadniczych cech współczesności jest i ta, że kalendarz nam robi nieustanną niespodziankę. Przecież to wkrótce 24 grudnia! Już się widzi na placówkach sprzedaż młodzieżowych świerków, tu i ówdzie pojedyncze drzewko przyćwiecone na zewnątrz do drzewce samochodu. A przez wystawy sklepów galanterijnych przeciąga chyba ogon komety, która trzem królom nazwała kierunek wędrówki. Tak tam czerwienią, świetlistością i tęcząco.

Boże Narodzenie. Na dobrą sprawę od uczonego pana H. G. Wellsa należałoby pojechać wehikul czasu, by jadąc wstecz obyczajowych przemian natknąć się na atmosferę tego święta w całej jego okazałości. Wtedy nie byłoby zaskoczeniem. Parę tygodni poprzedzających dzień wigilijny przepojonych było zapachem fig i wanilii nawet bardziej w odurzającym wymiarze marzenia, niż za sprawą rzeczywistych artykułów kolonialnych.

Czym jednak Boże Narodzenie jest przede wszystkim?

Oto próbka rodzimego pejzażu. Socjolog z pewnością kojarzy to z zagadnieniem środowiska biologicznego, ale niniejszym na ten teren nie mamy zamiaru wkroczyć referatem, lecz okiem. Cóż, powiedzmy otwarcie, że popędzani zegarkiem, stłoczeni w kolejkach, poddani stressom administracyjnej maszyny nie zawsze mamy okazję naszą ojczyznę scenografię przyrodniczą przyjąć od strony estetycznej. A tu przecież obywatelka Zima w swej szacie tocale nie bacz na to, co lansują pokazy mody na sezon zimowy, czapa śniegu na płocie zupełnie nie zważa na dyskusję o chocholach, nie w takt opolskiej i sopońskiej piosenki śpiewa pod stopą wzbierający przymrozek.

„Porozwierał księżyc drogi wszystkie, porozkładał swój niebieski ogień, nasze sianie zima otoczyła, pora wróbił i świecących okien”.

Jeśli język jest zasadniczym czynnikiem więzi narodowej, jego niebagatelnym komparsem jest pejzaż. No tak, strefy botaniczne nie przestrzegają granic państwowych, komunikat Chmurki dla Polski sięga po sytuację od Zatoki Biskajskiej po Ural, ale ktoś nie zauważył, że pagó-

czy M-3, od zaokienego widoku oddzielonego świętą wyprasowaną firanką. Techniczny proces cywilizacyjny jeszcze nie na tyle opanował tereny sztuki kulturalnej i obyczaju, że pokoleniom swoim wnuków nie możemy przekazać niezbitą prawdę: rzeczywistość jedliśmy czerwony barszcz z uszkami, na naszym drzewku świerkowym wisiał złożony orzech, bengalski ogień strzelił snopem srebrzystych iskier, a choć zimny, to jednak zapalił białkową suknię anioła. Ale futurologów

Musimy jednak przyznać, że nie spodziewamy się, by przyszłość miała narodzić coś z humanistycznego charakteru tego święta przydanego jednemu z najwspanialszych mitów w dziejach ludzkości, Narodziny Dobrej Nowiny. Pokój Ludziom Dobrej Woli — to w przekładzie na obojętnie jaki język myślenia społecznego czy ideowego ma wektor pojęciowy napawający optymizmem odnośnie stosunków między ludźmi i narodami. Nie koniecznie musimy się zgadzać co do adekwatności przekazu ewangelistycznego, by idea wzajemnego porozumienia pomocy potrzebującym, kształtowania pierwiastków dobra osiągnięta stopień powszechności. Idea olimpijska również jest zrodzona z kręgiem kulturowym o określonym zasięgu, co nie przeszkadza w olimpijskich zmaganiach uczestniczyć i zwyciężać zawodnikom ze wszystkich stron kuli ziemskiej. I chyba jakieś instynktowne tempo poczucie towarzyszy naszemu nastrojowi, kiedy buchnie w nasze uszy pieśń o pastuszkach, którzy się przerazili wstającą na niebie łuną, o radości z tych Narodzin. Czujemy w tym polskość. W betlejemskiej stajence grają basy i psęle. Romantyczna poezja była nośnikiem patriotycznej myśli polskiej w czasach niewoli, Schillerowska „Pastorałka” przemyciała nadzieję przetrwania przez kordon hitlerowskiej przemocy.

Tak więc zbliżają się święta. Już dziś trudno przewidzieć ich meteorologię, acz jest ona jakże zasadniczym komponentem bożonarodzeniowego nastroju. Trudno też zamówić za oknem gład, czy śniecługę. Ale za to możemy być pewni dwu rzeczy: barszczu z uszkami i złotego promienia, który prześwietli ten szczególny, polski, nachylony ku zyczości wieczer. By już nie wspomnieć o krowie, która wieemy jakim głosem wtedy przemawia.

Słowo pod ehoinkę

Zygmunt Mikulski

rek przykryty śniegiem swą polską lagodną sinusoidę posiada jedynie w tym kraju? Ze tąpnięcie papacy śniegowej z sośnianej galęzi to przecież ton Zeromskiego z najczystszej klawiatury? Mickiewicz („Pan Tadeusz”, księga III, wiersze 580-603) argumentował dość łatwo, bo porównywał brzeźnę z aloesem i cytryną. Chodzi o ściślejszy argument. Rozumiął go Galczyński, kiedy w wierszu do germańskiego Alfryda napisanym w roku 1939 pytał, czy złota polska jest też także niemiecka.

Ale nie tylko o pejzażu, bo i o sztafażu możemy mówić z racji owego grudniowego święta. Sztafażu w obrębie M-2,

należałoby spytać, czy te elementy Bożego Narodzenia przetrwają w swym autentyzmie. Bo coś i tu zaczyna być niewyraźne. Już choinki mamy z plastyku, zamiast świeczek żarówkami... Pardon, czy i ewentualny brak śniegu zechcą nam skompensować jakimś confetti ze sztucznego tworzywa, rozpylanym przez ekipy straży pożarnej? A świergot wóbił zastąpić systemem radiofonii przewodowej rozmieszczonej na słupkach trolejbusowej trakej? Wprawdzie o ptasim radiu pisał Julian Tuwim, ale nie z tą intencją, by czynnik wynalazku technicznego wyeliminował naturalną substancję meteorologiczną.

Zenon Kononowicz

W latach międzywojennych bierze udział w Ogólnopolskich Salonach IPS-u, wystawia za granicą, m. in. w USA. W roku 1934 ma wystawę indywidualną w IPS-ie. Otrzymał nagrody i wyróżnienia, m. in. na X Salonie IPS-u, na Salonie Lubelskim 1933. W tymże roku powstał na asystenta warszawskiej ASP.

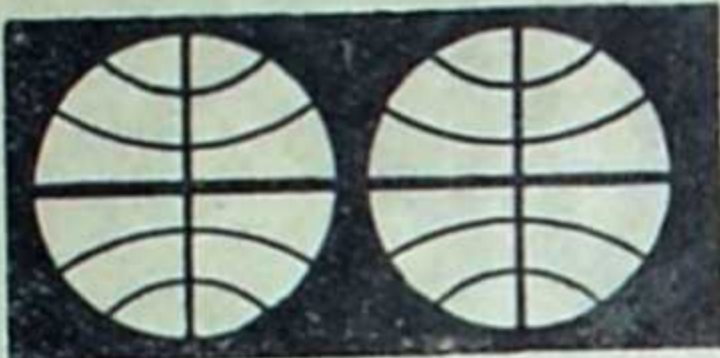
Podczas okupacji przebywał w Lublinie i w Kozłowie pod Lublinem. Po wyzwoleniu uczestniczył w wystawie „Polonia” w Lublinie w 1944 r. W Szczecinie (1946-1950) wykłada w Państwowym Ognisku Kultury Plastycznej, uczestniczył w wystawach okrajowych i ogólnopolskich. Po powrocie do Lublina bierze aktywny udział w życiu artystycznym miasta. Prezentuje prace na wystawach ogólnopolskich i zagranicą, m. in. w Londynie, Portsmouth, w Czechosłowacji. Ma kilka wystaw indywidualnych — w Lublinie, Bydgoszczy, Katowicach, Kazimierzu, Warszawie („Zachęta”). Nagrody: miasta Szczecina 1949 i Lublina 1944/45, 1958, 1963, nagroda specjalna na wystawie okrajowej „XX-lecie PRL w twórczości plastycznej” w Lublinie 1963. Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Krzyż Oficerski. Prace w muzeach i u osób prywatnych w kraju i za granicą oraz w zbiorach Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Najczęściej malował pejzaże, portrety, kwiaty i martwe natury. Był malarzem o znakomitym słuchu kolorystycznym i autentycznej potrzebie tworzenia. Był przecieź nie tylko artystą, był intrygantem, postacią lubelskiego środowiska kulturalnego, człowiekiem umiejącym bronić własnego zdania, w sprawach sztuki nie znającym kompromisu. Miał do nas — krytyków i dziennikarzy — „piszczele o malarzach, mądrcze czy głupio, ale piszczele, bo to jest nam potrzebne”. Wiedząc, że bez społecznej uwagi twórczość nie może się rozwijać, do końca pozostał wierny ideom artystycznym, ukształtowanym w dojrzałym młodości. Część Jego pamięci!

IJK

27 listopada br. po ciężkiej chorobie zmarł w Lublinie Zenon Kononowicz, wybitny malarz — kolorysta, rysownik, grafik, ilustrator, w środowisku artystycznym znany również z pseudonimów „Kanon” i „Bozy”. W ubiegłym roku obchodził 40-lecie działalności twórczej, w specjalnej części związanej z Lublinem i Kazimierzem, w którym również mieszkał.

Zenon Kononowicz urodził się w 1903 roku w Hańszkach koto Nowogrodka. W krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych studiował w latach 1923-1929; malarstwa pod kierunkiem F. Kowarskiego, grafiki — J. Wojnarskiego. Dyplom ASP w Warszawie otrzymał w 1933 r. W roku 1929 przebywał we Włoszech, a następnie we Francji, kontynuując studia. W latach 1929-1930 jest członkiem grupowania artystycznego „Zwornik”, a od 1931 — „Przyzmat”, w la-



Kultura 1971

Literatura

Stanisław Lem obchodził 20-lecie twórczości. Napisał dotychczas 24 książki, a łączny ich nakład w całym świecie zbliża się do 6 milionów egzemplarzy. Rozpoczął od pisania wierszy lirycznych, studiów medycznych, był mechanikiem samochodowym oraz asystentem na UJ.

Po wojnie wydano u nas 18 tytułów książek Andrzeja Struga w łącznym nakładzie 337 tys., a także kilka książek jemu poświęconych. Ulice jego imienia znajdują się w Lublinie, Warszawie, Łodzi, Krakowie, Wrocławiu, Częstochowie, Radomiu, Zakopanem, Cieplicach, Sopocie, Opola i Szczecinie. Szkoły jego imienia istnieją w Lublinie, Warszawie, Krakowie, Gdańsku i Gliwicach.

Na konkurs literacki o tematyce współczesnej, ogłoszony przez RN ZSP, nadesłano 187 prac. Pierwszą nagrodę nie przyznano, dwie drugie otrzymali: Wiesław B. Berger i Lech Isakiewicz.

Na konkurs na najpopularniejszego pisarza, uczestnika Rybnickich Dni Literatury, wygrał Alfred Szklarski, autor „Przygód Tomka”. Nieco mniej głosów zdobyli W. Zukrowski, W. Szewczyk i St. Fleszarowa-Muskat.

W nakładzie 550 egzemplarzy ukazała się zapowiadana już przez nas pozycja bibliofilską „Stanisław Polonus”, wydana przez krakowską redakcję PWN. Cena oficjalna wynosi 830 zł, nieoficjalna około 3 tys. zł.

W wydawnictwie dla „Literaturnej Gazety” Georges Simenon przypomniał, że Hja Erenburg był jego osobistym przyjacielem, a on sam wprowadził Lunackiego do życia artystycznego Parizy. Simenon był w ZSRR dwa razy, a na pytanie, dlaczego żadna z jego książek nie mówi o tym kraju, powiedział: „Zadawaj mi pytanie, a ja odpowiem”. Wskazywał na krótkim pobycie w jakimś kraju biera odwagę za półtora wydając kategorię sady i opinie na podstawie w gruncie rzeczy bardzo powierzchownych obserwacji.

Nagrodę Akademii Francuskiej za najlepszą powieść kofektęga się roku otrzymał 46-letni Jean Ormeson, redaktor naczelny przeglądu filozoficznego „Diogene”. Nagrodzona książka nosi tytuł „Chwała cesarstwa” — jest to powieść w formie eseju historycznego o antycznej Grecji i Rzymie, fakty historyczne miesza się tam z fikcją literacką.

Teatr

Na festiwalu dramaturgii krajów socjalistycznych przedstawił Węgier stwierdził, że kraj ten zamierza za kilka lat zorganizować u siebie podobną imprezę, chociaż bardziej wyspecjalizowaną.

Uroczysta premiera „Wesela” St. Wyspiańskiego w reżyserii Jerzego Hoffmanna Teatr Ziemi Lubuskiej im. L. Kruczkowskiego rozpoczął 21 sezon swojej działalności. Teatr ten posiada trzy sceny: dramatyczną, lajkową i kameralną. O ambicji tej placówki świadczy chociażby fakt, że wystawiono tam 20 premier światowych lub ogólnopolskich.

Teatr im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie niedawno obchodził 25-lecie istnienia. W tym czasie wystawił on 200 premier, daje 19 tys. spektakli dla około 6 mln widzów. Pokazano tam prawie wszystkie najbardziej znane utwory patrona, w tym 244 razy „Zemść”.

Sztuka

Tegoroczne nagrody plastyczne im. F. Bartosza i Z. Bobrowskiego dla dyplomantów wyższych uczelni plastycznych zdobyli: malarstwo — J. Okazowski i

ASP w Warszawie, grafika — G. Marszałek z WSSP w Poznaniu, tkanina artystyczna — A. Gieraga z PWSSP w Łodzi.

Na naradzie przedstawicieli muzeów regionalnych w Wiedniu wysunęto postulaty powołania Rady Dóbr Kulturalnych, utworzenia specjalnego funduszu ochrony i ratowania zabytków sztuki ludowej oraz utworzenia katedry muzeologii przy jednym z uniwersytetów.

W przedzjazdowej naradzie warszawskich artystów-malarzy zwracano m. in. uwagę na konieczność większego współdziałania artystów w kształtowaniu wyglądu miasta oraz częstszych kontaktów z odbiorcami.

Sensacja archeologiczna stała się odkrycie nad rzeką Rega w pow. gryfickim śladów osady tybalskiej sprzed 10 tys. lat. Odkrycia dokonał mgr Czarnecki z Muzeum Narodowego w Szczecinie. Badania będą kontynuowane na wiosnę.

Muzyka

Pisaliśmy już o wystawieniu „Halki” w operze narodowej w Hawanie. Jak się okazuje, odtwórcą roli Janusza — Ramon Casadilla cała partię śpiewa po polsku. W ciągu kwartału odbędą się 22 spektakle, na większość już wykupiono bilety.

Film

W batalistycznych scenach „Potopu” ujrzymy aż tysiąc koni, z których 600 to zwykłe konie chińskie. Dla bieżącej ekspozycyjnych postaci wybrano ze stadnin państwowych 20 koni — Kmicic będzie dośladł kolejno trzech, a Wolodyjowski dwóch.

Kazimierz Kutz objął stanowisko redaktora w telewizji katowickiej i przygotowuje już program teatralny. Niezależnie jednak od tego przygotowuje dokumentację do nowego filmu fabularnego, tym razem o emigracji całej wsi z Opolszczyzny w XIX w. do Ameryki.

Różne

Na mocy uchwały rządu w Krakowie, na granicy z Nową Huta, powstanie budynek Teatru Muzycznego. Ta wielka inwestycja będzie kosztowała około 250 mln zł. Pierwsze prace rozpoczęła się w 1973 roku. Równocześnie prowadzone będą remonty innych gmachów teatralnych w Krakowie, gdyż ich obecny stan jest fatalny.

Lubliniana

W Lublinie, Tomaszowie, Chełmie i Krańsku występował 80-osobowy zespół tańca „Rasa” z Litewskiej SRR. Goście przyjechali na zaproszenie Zespołu Tańca Ludowego UMCS.

W WDK odbyła się najpierw wystawa, a następnie aukcja dzieł sztuki 50 autorów pod hasłem „Dzieło sztuki do 3”.

Zespół Pieśni i Tańca WBR da 10 występów dla żalozg, które podjęły i do 6 grudnia wykonały zobowiązania na VI Zjazd Partii.

W BWA odbyła się wystawa, zorganizowana z okazji 25-lecia powstania lubelskiego oddziału ZPAP. Objęła ona 20 prac olejnych, se grafik i 9 rzezb. Po nadaniu osobne wystawy zorganizowano w Chełmie, Kazimierzu oraz w Bibliotece Międzyuczelnianej i MDK w Lublinie.

W lubelskiej Dramie Krakowskiej odbyła się ogólnopolska wystawa fotografii artystycznej „Konfrontacje 70”, zorganizowana z inicjatywą klubu „Zamek” przy WDK. Wystawiono 143 fotografie 37 autorów. Pierwszą nagrodę otrzymał Wiktor Witkowski z Biłogostoku za zestaw prac pt. „Gawron”, drugą Marek Graczy z Gdańska.

Perspektywy gospodarcze i polityczne

Gdy ten numer „Kamery” dojdzie do rąk Czytelników, będzie już powszechnie znany dorobek VI Zjazdu PZPR, treść powziętych uchwał, wyniki wyborów do Komitetu Centralnego. Harmonogram druku naszego pisma zmusza nas do przekazania ostatniego materiału — i to na drugą, niekolorową, stronę — w dniu 8 grudnia. Pisząc te słowa, dysponujemy więc jedynie pełnym tekstem referatu programowego Biura Politycznego: „Zadania Partii w dalszym socjalistycznym rozwoju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”, wygłoszonego przez I Sekretarza KC, Edwarda Giereka. Pragniemy zwrócić uwagę na węzłowe problemy przedstawione w tym doniosłym przemówieniu.

Zjazd przygotowywała cała Partia, wszystkie jej organizacje. Wielki wkład wnieśli bezpartyjni robotnicy, chłopcy i inteligencja. Charakterystyczną cechą przygotowań do VI Zjazdu było zespolenie dyskusji z działaniem, myślenia z czynem. Potężna fala inicjatyw produkcyjnych klasy robotniczej przekształcała w trwałą, materialną rzeczywistość liczne postulaty i wnioski zgłaszane w dyskusji. W trudnych dniach, które wspólnie przeżywalimy, zrodziło się w klasie robotniczej zobowiązanie zawarte w słowie „pomozemy”. Klasa robotnicza zobowiązania tego dotrzymała — pomogła.

Przygotowując VI Zjazd i formułując jego platformę polityczną mieliśmy w świadomości gorzkie i bolesne doświadczenie konfliktu społecznego, który przeżył nasz kraj przed rokiem. Partia nasza wyciągnęła z wydarzeń grudniowych niezbędne nauki i wnioski.

Po pierwsze — w centrum uwagi rządzącej w państwie socjalistycznym — partii marksistowsko-leninowskiej zawsze musią się znajdować sprawy ludzi pracy. Wysiłek społeczny w budowie socjalizmu powinien przynosić systematycznie odczuwalną poprawę materialną i kulturalną życia mas.

Po drugie — w całym naszym działaniu należy zawsze kierować się zasadą, że klasa robotnicza jest główną siłą społeczną socjalizmu, a stała z nią więź jest warunkiem pomysłowego rozwoju naszego ustroju.

Po trzecie — budownictwo socjalizmu wymaga systematycznego podnoszenia na wyższy poziom kierowniczej roli Partii, konsekwentnego przestrzegania leninowskich metod pracy partyjnej, stałego kontaktu z rzeczywistością.

Po czwarte — we współczesnych warunkach walki klasowej i rywalizacji socjalizmu z kapitalizmem nie wolno dopuszczać do zjawisk i konfliktów, które hamują posuwanie się naprzód i otwierają pole działania dla przeciwników socjalizmu.

Droga do socjalizmu, jej główne cechy są określane przez ogólne prawidłowości charakterystyczne dla wszystkich krajów socjalistycznych. Przejawiają się one w konkretnych formach odpowiadających historycznym warunkom i specyfice narodowej. Niedoczekanie lub niezrozumienie tej prawdy zawsze powodowało istotne trudności w budowie socjalizmu. Od VII Plenum KC Partii, przywracając leninowskie zasady, przerywczyła poważne trudności, wykonała wielką pracę, wprowadziła kraj na właściwą drogę. Drogę PZPR wyznacza marksizm-leninizm, Partia prowadzi bezkompromisową walkę z rewizjonizmem. Wyciągamy wnioski z doświadczeń lat 1956-1959. Podstawową słabością polityki Partii w tym okresie było to, że koniecznej eliminacji piteńskich dogmatycznych i sekcjonarskich bieżących, a także przywracania naruszonych uprzednio pozanowania socjalistycznego prawa, towarzyszyły kompromisy z rewizjonizmem i innymi obcymi naszym Partii tendencjami w ideologii.

Jako marksistowsko-leninowska partia polskiej klasy robotniczej reprezentujemy historyczną ciągłość postępowych, światłych tradycji w dziejach narodu polskiego. Powołana przed 30 laty ze wspólnej inicjatywy polskich komunistów działających w podziemiu antyhitlerowskim w kraju i na terenie bratniego Związku Radzieckiego PPR głęboko przetworzyła dorobek ideologiczny i doświadczenie polityczne polskiego ruchu robotniczego. W historii naszej Partii na zawsze zapisało się nazwisko Marceliego Nowotki, pierwszego sekretarza KC PPR. Wybitne miejsce zajmuje Paweł Finder, który po śmierci Nowotki kierował pracą KC PPR. Duże zasługi dla Partii w końcowym etapie walki z najcięższymi hitlerowskim i w pierwszych latach władzy ludowej położył Władysław Gomułka. Istotny wkład w budowę Polski Ludowej wniosł Bolesław Bierut. PPR zorganizowała i rozwinęła walkę zbrojną przeciwko okupantowi, a stworzone przez nią Gwardia Ludowa, następnie Armia Ludowa, której naczelnym dowódcą był Michał Rola-Lazymierski, zapisały chlubną kartę w dziejach oręża polskiego. Wielkie znaczenie dla sprawy Polski miała myśl i działalność polityczna tych komunistów i demokratów polskich, którzy na terenie Związku Radzieckiego zorganizowali Związek Patriotów Polskich. Utworzona w ZSRR Armia Polska stała się ważną siłą polityczną. Wybitny wkład w sprawę wyzwolenia Polski wnieśli organizatorzy ZPP w ZSRR: Wanda Wasilewska, Bolesław Drobnier, Aleksander Zawadzki, oraz dowódcy Armii Polskiej w ZSRR — Zygmunt Berling, Karol Świerczewski i inni. Słuszną koncepcją polityczną polskich komunistów sprawiła, że mimo błędów, w głębszych sprawach losu Polski — wręcz zgubnego stanowiska przywódców obozu londyńskiego, czyn zbrojny bojowników ruchu oporu i żołnierzy sprawy polskiej na wszystkich frontach drugiej wojny światowej nie poszedł na marne. Dzięki powstaniu Polski Ludowej z granicą na Odrze i Nysie Łużyckiej, dzięki wkładowi Ludowego Wojska Polskiego w ostateczne zwycięstwo nad hitleryzmem, cały nasz walczący naród, wszyscy polscy patrioci, uczestnicy walki wyzwoleneckiej uzyskali historyczną satysfakcję. Koncepcje i walka PPR wywarły o zdrowieńczy wpływ na całe polskie życie polityczne. Aktywizowały się i rosły w siłę lewicowe tendencje w PPS. Robotnicy i działacze polityczni PPR i PPS, którzy torowali drogę ku jednemu naszemu ruchowi i współtworzyli PZPR, dobrze zasłużyli się Polsce i sprawie socjalizmu.

Obecnie kluczowym miernikiem rozwoju społecznego jest wzrost dochodu narodowego. W obecnym 5-leciu dochód narodowy powinien zwiększyć się o 38-39 proc., wobec 34 proc. osiągniętych w minionej pięcioletce. Na inwestycje przeznacza się w latach 1971-1975 wielką sumę ponad 1 biliona 400 mld złotych. Stanowi to ok. 24 proc. dochodu narodowego. W strukturze inwestycji dokonano istotnych zmian. Powinny one przede wszystkim zapewnić szybszy wzrost artykułów konsumpcyjnych.

Dla realizacji naszych zadań konieczna jest zasadnicza poprawa procesu inwestycyjnego. Należy podjąć decyzje, które by zapewniły skrócenie cyklu inwe-

stycyjnych, terminowe oddawanie do użytku i uruchomienie mocy produkcyjnych. Szybszy rozwój gospodarki naszego kraju i jej modernizacja związane są silnie z uczestnictwem Polski w szeroko pojętej międzynarodowym podziale pracy. Przyrost zatrudnienia w warunkach naszego kraju powinien stać się siłą napędową rozwoju gospodarczego. W proponowanym programie społeczno-ekonomicznego rozwoju kraju większa rola zostaje wyznaczona usługom.

Doniosłe zadania stoją przed rolnictwem. Dokonaliśmy tu istotnego postępu, jednakże podstawowe problemy społecznej i technicznej rekonstrukcji rolnictwa wciąż jeszcze stoją przed nami. Partia nasza będzie je stopniowo podejmować i rozwiązywać.

Należy zapewnić środki dla pełnego, racjonalnego zatrudnienia oraz możliwość sprawiedliwej opłaty indywidualnego wzrostu wydajności pracy i ogólnej poprawy ekonomicznych warunków produkcji. Podstawą zarobków winny być płace zasadnicze, ruchoma część plac należy w miarę możliwości ograniczać. Szerzej należy stosować dodatki za staż pracy. Przewiduje się w obecnym pięcioletciu wzrost plac realnych o 17-18 proc.

W latach 1971-1975 wybudowanych zostanie ok. 1075 tys. mieszkań o powierzchni użytkowej 60,4 mln m kw., czyli o 1/4 więcej niż w poprzedniej pięcioletce. Popieramy budownictwo mieszkaniowe we wszystkich formach, w tym także indywidualne, któremu trzeba stworzyć dogodniejsze warunki rozwoju.

Wytęcza na VI Zjazd i dyskusja przedzjazdowa stawia szereg ważnych problemów społecznych. Pierwszym z nich jest zrównanie uprawnień społecznych między robotnikami i pracownikami umysłowymi. Pragniemy też doprowadzić do sytuacji, w której wszyscy pracownicy dysponować będą przynajmniej jedną wolną sobotą w miesiącu. W rękach żalozg, w ich wydajnej, zdyscyplinowanej pracy leży klucza do rozwiązania tego trudnego problemu. Jesteśmy za tym, aby pracownicy, zwłaszcza z długoletnim stażem pracy, mogli wcześniej korzystać z zasłużonego odpoczynku. Proponujemy obecnie w pierwszej kolejności umowić przejście na emeryturę obniżoną o 3 proc. pracownikom, którzy mają już pełny staż pracy, a którym do osiągnięcia wieku emerytalnego brak nie więcej niż 1 lat. Z chwilą osiągnięcia ustawowego wieku emerytury uległaby zwiększeniu do pełnego wymiaru. Pracownicy, którzy mają staż pracy dłuższy o 10 lat od wymaganej, otrzymaliby emeryturę w pełnej wysokości. Pracownikom, którzy przekroczyli już wiek emerytalny, a którym do wymaganego stażu pracy brak mniej niż 5 lat, proponuje się przyznać emeryturę obniżoną o 10 proc. Okres pobierania tej emerytury zaliczany byłby do stażu emerytalnego. Pracownik uzyskujący więc pełną emeryturę z chwilą, gdy łączny czas wymaganego stażu, wliczając w to czas pobierania obniżonej emerytury, wyniosłby 25 lat dla mężczyzn i 20 lat dla kobiet.

Pomyślny rozwój Polski wymaga zasadniczego zwiększenia naszego uczestnictwa w rewolucji naukowo-technicznej. Program badań naukowych należy uczynić integralną częścią strategii rozwoju społeczno-gospodarczego.

Bazą społeczną naszej Partii jest klasa robotnicza. Główne oparcie Partii z natury rzeczy stanowią robotnicy wielkich ośrodków przemysłowych. Człowiek zakłady naszego przemysłu i tradycyjne ośrodki robotnicze muszą stać się głównymi twierdzami socjalizmu. Należy dbać o stałe umacnianie Partii na wsi. Partia posiada rozległy wpływ wśród inteligencji i powinna je nadal umacniać. W życie wkrocza najliczniejsza w dziejach narodu pokolenie młodzieży. Mówimy tej młodej generacji: Jesteśmy Waszą Partią, budujemy Polskę dla Was, ale razem z Wami.

Partia przeprowadzi budownictwo socjalizmu we współdziałaniu z ZSL i SD, które uznają jej kierowniczą rolę. Ważnym czynnikiem mobilizacji sił naszego narodu jest Front Jedności Narodu. W interesie narodu leży stałe umacnianie związku Partii z bezpartyjnymi.

W wyniku dyskusji przedzjazdowej zgłoszono wnioski o przyspieszenie wyborów do Sejmu. Są to ważne racje przemawiające za przychyleniem się do tych wniosków.

Partia przywiązuje wielką wagę do doskonalenia systemu prawnego i przestrzegania socjalistycznej praworządności. Obywatel ma prawo do tego, aby dotyczące go sprawy były załatwiane w sposób prosty, bez opieszalności i biurokratyzmu. Ludzie pracy słusznie domagają się skuteczniejszego zapobiegania i ostrzejszego zwalczania przestępczości, zwłaszcza rozkradania mienia społecznego i chuligaństwa.

Rola związków zawodowych poważnie wzrasta w obecnych warunkach budownictwa socjalistycznego.

Zadania, które stoją przed nami, wymagają właściwego doboru i wysuwania kadr zdolnych je prawidłowo realizować, a jednocześnie zdecydowanego odwoływania ludzi nie spełniających stawianych im wymogów. Za złą pracę, a tym bardziej za złą wolę trzeba zwalniać ze stanowisk. Trzeba równocześnie tworzyć godne warunki dla odchodzących z kierowniczych stanowisk ludzi uczelnych i rzetelnych, którzy już nie mogą podjąć nowych zadań.

Partia liczy obecnie ponad 2 mln członków. Przyjmowanym do Partii należy stawiać wyższe wymagania. Jest celowe zasiegać o kandydatów do Partii również opinii i rady bezpartyjnych.

W pracy ideologicznej istnieje jeszcze wiele niedbań. Leninowska polityka, prowadzona obecnie przez Partię, tworzy te zasadnicze przesłanki ofensywy ideologicznej, których brakowało uprzednio.

Cenić najwyżej powinniśmy rzetelną pracę. Cenić powinniśmy myślenie kategoriami państwa, gospodarczo, doskonalenie swych umiejętności, szacunek dla pracy i współdziałanie ze swoim kolektywem w realizacji programu Partii.

W całokształcie naszej polityki międzynarodowej kluczowa rola przypada braterskim stosunkom ze Związkiem Radzieckim. Z umacnianiem przyjaźni sojuszu i współpracy z ZSRR wiążemy przyszłość Polski. Socjalistyczna wspólnota znajduje się w procesie nieustannego rozwoju. W jego międzynarodowej współpracy na pierwsze miejsce wysuwa się zadanie wzajemnych więzi gospodarczych. Sprawa centralną jest umacnianie jedności socjalistycznej wspólnoty. Antyradzieckość, niezależnie od tego, jaka frazeologia jest osłaniana, nie da się pogodzić z rzeczywistą walką przeciwko imperializmowi. Skądże sprawie socjalizmu wyraża rozłamowy kurs kierownictwa chińskiego.

W najbliższym interesie narodów leży pokój, bezpieczeństwo. Proces normalizacji stosunków w Europie środkowej — to integralna część walki o odprężenie. Obecnie kluczowe znaczenie dla całokształtu spraw europejskich ma przygotowanie i możliwie jak najszersze — jeszcze w 1972 r. — zwołanie zaproponowanej przez kraje socjalistyczne konferencji bezpieczeństwa i współpracy.



Wiesław Aleks

Roman Gałęziński

Grzegorz Jakiel

Krzysztof Kamiński

Marian Siwko

Zofia Solis

Andrzej Stopa

Tadeusz Szczepaniak

Anna Zdeb

Szczepaniak: — Reprezentuję Lubal. Pod względem liczby członków ZMS (400) jest to druga organizacja w Lublinie. Mamy 7 kół młodzieżowych pracujących i 4 szkolne. Przeważają, oczywiście, dziewczęta. Przeważają — to są mało powiekszane. Stanowią one 93 proc. organizacji w naszym zakładzie. Praca nie jest prosta: dwie, trzy zmiany, kół są porzucane, co nie sprzyja integracji. Niemniej nasza młodzież podjęła wiele zobowiązań na czesie VI Zjazdu Partii, wśród nich najbardziej cenne — zobowiązania indywidualne. W zakładzie nr 1 — konkretnie — zobowiązania podjęto na sumę 40 tysięcy złotych, ale teraz, niestety, nie zawsze są tworzone warunki by je wykonać. Przemysł terenowy wchodzi się na samym końcu. Gdy dostajemy surowce, to na ogół najgorsze. Problem stanowi też sama rytmika dostaw. W pierwszych dniach miesiąca kompletnie nie ma co robić. Później gwałt — trzeba nadrobić plan. Ludzie pracują po 12 godzin. Skutek: w drugiej połowie miesiąca nie można zaplanować zebrań.

Jaworski: — Rzecz chyba nie tylko w zebraniach. Usłyszeliśmy nieco gorzkich uwag na temat — powiedziałbym szerzej — organizacji pracy w zakładzie. Ale to nie koniec waszych trudności...

Szczepaniak: — Tak... Istnieje konflikt: stara załoga i młodzież. Nie zawsze organizacje partyjne umieją łagodzić powstające zadrażnienia. Bywa, że sekretarz oddziałowej organizacji partyjnej nie zjawia się na zebraniu sprawozdawczym koła. Szkoda, bo mógłby się wiele dowiedzieć. Tę samą uwagę krytyczną mam wobec członków kierownictwa zakładu. Oczywiście problemu nie generalizuję.

Zebrań... Sporo uwagi poświęcamy samej produkcji. To jest podstawowa rzecz. Na przykład — nie ma igieł. Jest na zebraniu kierownik, mówi, że sprawa należy do bardzo prostych: igły można od ręki załatwić. Ale do czasu zebrań nikt się tymi igłami nie zajął! Albo: wstaje koleżanka i mówi, że gdy się jej ześle maszyna, to musi dwie godziny czekać na elektryka.

Kamiński: — Tadzio, byłem na waszej konferencji zakładowej. Sądzę, że powinienem nadmienić o złym stosunku majstrów wobec młodzieży...

Szczepaniak: — Młodzież mówi, że tych majstrów, czy majstrowych, bo to przeważnie kobiety, jest za dużo. Często trudno cokolwiek załatwić. Chodzi się od jednej osoby do drugiej... Ale wracając do spraw czysto organizacyjnych: niektóre z nich, powiem obrazowo, powinniśmy przepuszczać przez sitko. Bo tak: z góry, z Zarządu Głównego ZMS przychodzi dyrektywa, że mamy robić Turniej Młodych Mistrzów Techniki, albo znowu Turniej Czytelniczy. Przykłady można mnożyć. W działalności produkcyjnej jest mnóstwo rzeczy, w działalności ideologicznej — również, w kulturalno-oświatowej, sportowo-turystycznej... Głowa puchnie. Zarząd Główny wymaga, Zarząd Miejski wymaga. Listy, korespondencje, a w gruncie rzeczy niczego dobrze nie robimy. Polowicznie, a tym nie warto się chwalić. Pozostawmy większą swobodę, większą inicjatywę samym kolegom. Po co stwarzać fikcję, traćć czas na zbędną dokumentację?

Aleks: — To wydaje mi się szlachetne. Pracuję w PKS-ie od 1968 roku. Gdy zaczęłam pracę, nie było koła ZMS. Powstało po pół roku, początki były bardzo ciężkie. Dużo pomógł nam dyrektor, sekretarz POP, ale ciągle mam żal do przewodniczącego rady zakładowej, którego sprawy młodzieży niezbyt interesują.

Nasze koło liczy 24 członków. Oczywiście młodych w PKS-ie jest dużo więcej, ale przeważnie dojeżdżają oni do pracy, trudno ich zainteresować i bliżej związać z organizacją. Czy to tylko ich wina? Jest u nas szkoła przyzakładowa, przygotowująca do zawodu montera, kierowcy. I tu problem: jeśli kierowca jest u nas szkolony przez trzy lata, to instruktor może powiedzieć na temat ucznia — czy on jest dobry, czy zły. I gdy tych dobrych mamy dwóch, trzech w klasie, to należałoby ich wyróżnić. A u nas jest tak: skończy szkołę, to daje się jemu najgorszy samochód, jaki istnieje w PKS-ie. No i co? On weźmie tego dziada, bo inaczej powiedzieć nie można, jedzie na PSK, tam są najgorsze zarobki, on robi kurs, albo nie, bo go zaraz ściga-

na, samochód atoli na warsztacie, chłopak przyjdzie, a majstrowie zaraz: — A to gówniarzom dają, gówniarze się nie znają, do d. z taką robotą. I komu ten chłopak ma się podzielić? Na KSR zgłosiłem wniosek, aby trzem, czterem uczniom, tym najlepszym, dać możliwość pokazania, że są pracownikami wartościowymi. Czy mój wniosek przejdzie, zobaczymy w czerwcu. ZMS-owcy do KSR nie należą. Gdy były wybory do KSR — nie istniało jeszcze koło ZMS. W każdym razie przedstawiciele ZMS obecnie są zapraszani na zebrań KSR, a sama KSR liczy się z naszym zdaniem.

Wspomniałem, że początki pracy naszego koła były ciężkie. Zdarzył się nawet taki wypadek, że jeden z majstrów zerwał z tablicy ogłoszeń zawiadomienie o naszym pierwszym zebraniu. Dostał, oczywiście, za swoje, ale ten przykład świadczy o pewnym klimacie. Dziś ten klimat, a mam na myśli stosunek starszych do młodzieży, zmienił się znacznie, ale jeszcze nie możemy powiedzieć, że jest całkiem dobrze.

Jaworski: — Ale czy to jest załoga ZMS, że ów klimat się zmienił?

Aleks: — Na pewno. Bo są i takie wypadki, że starsi ludzie zwracają się do mnie, aby pomóc im w załatwieniu spraw bolesnych. Czyli doszliśmy do punktu, w którym zaczęli liczyć się z nami.

Kamiński: — W naszym gronie jest młodzież szkolna. Zaproponowałbym, aby i ją dopuścić do głosu.

Jakiel: — Jestem z Unii, III Liceum. Pod względem liczby członków jesteśmy potentatami. Nasza organizacja liczy około 340 osób, ale nie wszyscy spośród nich są ekstrakursem, muszą sporo się uczyć i na pracę w ZMS nie mają wiele czasu.

W każdej klasie istnieje koło ZMS. Zarząd szkolny pozostawił tym kolegom dużą inicjatywę, nie prowadzimy ich za rękę, niech same pokażą, co potrafią. Zebrania o treści szkoleniowej staramy się organizować własnymi siłami: jeden z kolegów czy jedna z koleżanek przygotowuje referat lub słowo wstępne i później na zebraniu koła wywiązuje się dyskusja. Mamy też koła młodych polityków i młodych racjonalistów. Te koła, jak i koła ZMS, organizują otwarte zebrań, pragnąc z poruszaną problematyką dotrzeć do najszerszego kręgu młodzieży. Dużo zainteresowanie wzbudziła na przykład dyskusja na temat: czy jest sens utrzymywać w dalszym ciągu maturę i egzamin wstępny na wyższą uczelnię. Większość uznała, że albo jedno, albo drugie.

Zdeb: — Mnie się to wydaje zupełnie naturalne z tego chociażby względu, że na maturze musimy zdawać trzy przedmioty: język polski, matematykę, oraz przedmiot wybrany. Gdy ktoś wybiera się, założymy, na filologię i oprócz tego musi przygotować się jeszcze z dwóch języków, jest w kropce. Z tej matury przydaje mi się tylko język polski.

Reprezentuję szkołę, do której chodzi 414 osób, połowa należy do ZMS-u. Ostatnio liczba ZMS-owców zmniejszyła się u nas. Dlaczego? Mielimy wielu członków, których nie można było nazwać ZMS-owcami, nie przykładali się do nauki, nie umieli się zachować. Po prostu legitymacja ZMS-u nie dla nich nie znaczyła. Uznaliśmy więc, że z szeregiem osób trzeba się rozstać, skreśliłmy ich z listy członków. No, bo co z tego, że na papierze jest wielka organizacja, gdy w istocie rzeczy niczego ona nie robi? Niektóre spośród naszych kół „się migaly”. Wina leżała i po stronie przewodniczących kół, którzy uważali, że sama funkcja, sam tytuł, wystarczy. Trzeba więc było dokonać istotnych przetasowań, czyli zacząć od zmiany składu zarządu. Inicjatywa wychodziła zresztą od samych członków. Przychodzili do nas i mówili: — Nasz zarząd jest do niczego, trzeba wymienić ludzi. I wymienialiśmy. Nawet w środku roku szkolnego. Sytuacja uległa poprawie. Chociaż... Zostało nam jeszcze jedno koło, którym musimy się zająć. Dziwna rzecz, bo w tym kole jest zdolna młodzież. Okazuje się jednak w praktyce, że zdolności to jeszcze nie wszystko.

Kamiński: — Słusznie działacie, chociaż problem tak zwanych martwych dusz nie jest taki prosty. Nie chcę jednak tego tematu rozszerzać. Chodzi mi natomiast o co innego: interesujemy się szkołami jako ca-

łością i stwierdziliśmy, że w pewnych wypadkach uczniowie nie mogą zabierać głosu, bo nauczycielom, dyrekcjom szkoły wydaje się, że to jest podrywanie autorytetu ciała pedagogicznego. Jak to wygląda u was?

Jakiel: — U nas w zasadzie jest dobrze. Znajdujemy się w tym, szczęśliwym położeniu, że naszymi opiekunami są ludzie, którzy jeszcze kilka lat temu sami byli działaczami ZMS czy dawniej — ZMP. Oni rozumieją nas i nasze sprawy, stawiając je niekiedy bardziej radykalnie niż my sami.

ZMS

Kamiński: — Wróćmy jednak do działalności ZMS-u w zakładach pracy. Mamy przewodniczącego z Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Mięsnego. Do czerwca br. organizacja ZMS praktycznie tam nie istniała.

Gałęziński: — W zakładach mięsnych pracuję od czerwca, przedtem byłem zatrudniony w FSC, tam pełniłem wiele funkcji w ZMS-ie. Zgłosiłem się do nowego miejscy pracy, ówczesny przewodniczący ZMS-u podpisał mi nawet tzw. obiegówkę, ale wcale ze mną nie rozmawiał, później długo czekałem na zebranie. Nie ja jeden. Można powiedzieć, że przez dwa lata nie się właściwie u nas nie działo, mimo że młodzież jest mnóstwo. Ostatecznie mnie wybrano na przewodniczącego i właściwie zaczynałmy od nowa. Obecnie mamy 80 członków ZMS, choć w poprzedniej kadencji, jak się zorientowałem, było ich 150. Nie mieliśmy żadnej ewidencji, żadnych dokumentów, protokółów. Początek był więc bardzo ciężki, praca od zera. Pomógł nam dyrektor, sekretarz organizacji partyjnej, ale problemów ciągle sporo przed nami.

Przy zakładzie istnieje na przykład klub. Przychodzą doń członkowie poszczególnych zespołów artystycznych, ale nie większość młodej załogi. A przecież w klubie można pograć w ping-ponga, warcaby, poczytać prasę. Ciągłe jednak widzimy grupkę tych samych ludzi.

Młodzież u nas jest chętna do pracy. Pierwsi w Lublinie podjęliśmy czyn społeczny dla miasta, przy odbudowie Zamku Królewskiego w Warszawie pracowało społecznie 40

osób, było więcej chętnych, ale wynikiły kłopoty z autotarem. Mamy też osiągnięcia na polu sportowym.

Pewne trudności sprawia problem organizowania zebrań. Pracujemy na dwie zmiany. Dyrekcja powiedziała, że nie będzie nikogo zwalniać na zebrań. Oświadczono nam, że możemy organizować zebrań w soboty, bo w soboty pracownicy wcześniej kończą pracę.

Jaworski: — Chyba dyrekcja miała rację. Zebrania nie powinny się odbywać w godzinach pracy. Kto jak kto, ale właśnie ZMS-owcy muszą tu świecić przykładem.

Gałęziński: — Praktyka wykazała, że mimo soboty mamy na naszych zebraniach dobrą frekwencję. Problem więc zniknął. Na przykład po prelekcji na temat demokracji socjalistycznej młodzież dyskutowała prawie przez dwie godziny. Podkreślam: w sobotę! Po prelekcji zrobiliśmy wieczorek taneczny. Wszyscy dobrze się bawili. W planie mamy wyświetlanie filmów połączone również z dyskusją.

Kamiński: — Tu się wtrąca: postanowiliśmy, że każde zebranie musi się zaczynać od problematyki szkoleniowej. Praktyka wykazuje, że po dobrze przygotowanej prelekcji wiele osób zabiera głos, ścierają się poglądy. To bardzo ożywia pracę koła.

Solis: — Jestem przewodniczącą koła przy PKO. Koło moje liczy 33 osoby. Powstało w 1965 roku, liczyło wówczas 13 osób. Moja instytucja różni się tym od innych, że my nie produkujemy rzeczy namacalnych. Mamy po prostu kontakt z ludźmi, z ludźmi z ulicy. Zanotowałam sobie, co mogłabym powiedzieć. Prowadzimy ożywioną działalność na arenie sportowej. Mamy sekcję ping-ponga sportowego, koleżanki brały udział w centralnych turniejach, w ramach turnieju zorganizowanego przez ogniska TKKF zajęliśmy drugie miejsce. Jak wynika z wypowiedzi moich przedmówców — mają oni trudności w nawiązywaniu kontaktów z radą zakładową. U nas taki problem nie istnieje. My współpracujemy wręcz cudownie, rozumiemy się doskonale. Uczestniczę w naradach dyrekcji, rady zakładowej, biorę udział w rozdziale awansów i premii. My nie mamy jednak w radzie zakładowej stałego przedstawiciela. To przykro odbiło się w czasie przydziału mieszkań. Nie miał kto bronić młodzieży, i prawdopodobnie nikt z młodzieży takiego mieszkania nie dostał.

Kamiński: — Tu się znów włącza. Do rady zakładowej wchodzi się z wyboru. Młodzież musi sobie zasłużyć na ten wybór. Jeżeli wy, jako organizacja, pokażecie się z tej dobrej strony, możecie liczyć na to, że ktoś z młodych wejdzie do rady.

Solis: — Dodam, że nawiązaliśmy współpracę z Lubelskim Przedsiębiorstwem Instalacji Elektrycznych. Z naszej inicjatywy powstała tam alicja PKO. A to przedsiębiorstwo mieści się gdzieś na drugim końcu Lublina. Wspólnie z kolem przy LPiE stworzyliśmy sekcję fotograficzną. Własnymi siłami zrobiliśmy u nas ciemnię. Wracając do ping-ponga: słynne były kiedyś u nas turnieje dziennikarzy. Bodajże redaktor Wławniewski, tak zwany Czarny Mustang, brał udział i nieźle się z tego wywiązał.

Szczepaniak: — Gdy mowa o współpracy — jest ona wszędzie. Weźmy na przykład Lubal, gdzie 93 proc. to dziewczęta; zakład sfinansowany, istnieje po prostu potrzeba wymiany. Mamy współpracę z jednostką wojskową. Wiele rzeczy nie wychodzi, gdy nie uzupełniają się — dziewczęta i chłopcy.

Siwko: — Kolej, żeby i ja zabrał głos. Chcę mówić na przykładzie Rejonowego Urzędu Telekomunikacyjnego, jako że jestem członkiem działającego tam koła ZMS. Nie mamy prawie żadnej współpracy z organizacjami, a najgorzej przedstawia się współpraca z kierownictwem przedsiębiorstwa. Jedyne kontakty, jakie mamy, to z organizacją partyjną. Bywamy na szkoleniach, gdzie możemy przedstawić nasze bolączki. Ja się dziwię, jako że PKO jest trochę z nami spokrewniona, iż tam tak idealnie układają się te stosunki, nie wiem, czy koleżanka tak naprawdę szczerze mówiła, czy też po prostu kierownictwo narzuciło jej, co ma powiedzieć.

Jaworski: — Koleżanka musiała pójść do pracy, nie może więc repli-

kować. O nieobecnych — niczego złego! Wspomniała zresztą krytycznie o przydziale mieszkań...

Siwko: — Ale jak powiedziałem, to już przepadło. Kilka słów o sprawach organizacyjnych. Opracowujemy plan na pół roku. Poszczególne koła przedstawiają swoje propozycje zarządowi zakładowemu, który z kolei może wystąpić z jakimiś sugestiami.

Wróć do poprzednio poruszonego tematu. Mam pretensję do kierownictwa zakładu pracy, ale ono z kolei może zapytać: gdzie ten ZMS, co wy robicie, w ogóle nie widzimy waszej działalności. I tutaj mamy pomoc ze strony organizacji partyjnej, której przedstawiciele przychodzą na zebrań zarządu zakładowego. Nie można tego powiedzieć o przedstawicielach kierownictwa. Ja na przykład byłem kierownikiem grupy lubelskiej, skierowanej do odbudowy rafinerii w Czechowicach. Wziąłem urlop z zakładu pracy, jedyna osoba, która wiedziała, że urlop biorę w tym celu, był kierownik. Po powrocie nikt mnie nie zapytał, czy byliście potrzebni w tych Czechowicach, coście zrobili.

Kamiński: — A jednak ta nasza młodzież ciężko tam pracowała! A to był urlop wypoczynkowy. Wyobraźmy sobie ów wypoczynek w Czechowicach! Tu chcę poruszyć taki problem. Odbywają się wybory nowego zarządu ZMS. Do rzadkości należy, aby ktoś z dyrekcji złożył gratulacje nowemu przewodniczącemu. Taką gest podniosły rangę organizacji w zakładzie.

Stopa: — Ja się z tym nie zgadzam. Byłem bodaj na dwudziestu zebraniach wyborczych i na jednym tylko dyrektor nie złożył gratulacji.

Kamiński: — Jeżeli na zebraniu był dyrektor. Ale ja mówię o tych zebraniach, na których nie było nikogo z kierownictwa. A jeśli nawet nie było, można było następnego dnia poprosić do siebie nowego przewodniczącego i z nim serdecznie porozmawiać.

Szczepaniak: — Ale nie wyciągajmy z tego zbyt daleko idących wniosków. Dyrektor też może być niewychowany!

Aleks: — Moim zdaniem, zarząd ZMS-u to jest prawa ręka dyrektora do spraw młodzieży.

Szczepaniak: — Ale weźmy i drugą stronę medalu. Jeśli ZMS przez dłuższy czas w zakładzie niczego nie zrobił, dlaczego dyrektor nagle ma sobie o nim przypomnieć?

Aleks: — Zgoda. Właśnie my zaczęliśmy od tego, by ZMS zdobył sobie autorytet w zakładzie. Zaczęliśmy więc od czynu społecznego. Przepracowaliśmy dla zakładu trzy niedziele.

Szczepaniak: — Słuchajcie, mnie się wydaje, że już na pewnym szczeblu działania organizacja musi się „opłacać” dyrektorowi. Skoro on nam daje zwolnienia z pracy, fundusze i inne rzeczy, skoro — w moim przypadku — przewodniczący jest na etacie — my musimy coś dać w zamian. Poza tym, że wychowujemy młodych obywateli, co jest na pewno cenne. I tutaj mamy pole: współzawodnictwo pracy. Każdy dyrektor jest ekonomistą i musi sobie wykałkutować, że jego pomoc dla ZMS-u po prostu się opłaca. Przede wszystkim — zakładowi. Przy okazji czasami pochwałą — dzięki nam — i dyrektorowi.

Siwko: — U was to proste, bo dajcie produkcję. My z kolei — usługi. To w praktyce wygląda jednak trochę inaczej. Ale my chcemy na przykład jeden urząd pocztowy w Lublinie obsadzić samą młodzieżą. Albo jedną centralę telefoniczną.

Jaworski: — Widzę, że taśma magnetofonowa się kończy, a chciałbym wasze głosy przekazać w jak najbardziej autentycznej formie. Poruszyliśmy szereg problemów, miejsce w „Kamieniu” mamy dość ograniczone, już z góry wiem, że nie wszystko, o czym mówiliśmy, zdolam odpowiedzieć na łamach pisma. Ale sprawom młodzieży chcemy poświęcić w przyszłości więcej uwagi. Tak więc dzisiejszą dyskusję traktuję jako zaproszenie. Po prostu — „Kamień” bliżej was, wy — bliżej „Kamienia”.

POSZLIŚMY aleją grabową do bramy majątku. Kiedy przechodziliśmy koło palacu, w którym była kancelaria, wyszła stamtąd szybkim krokiem panna Lodzia. Skończyła pracę i wracała do miasta, gdzie mieszkała. Weszła w aleję jakieś dziesięć kroków przed nami. Skręcając spojrziała w naszą stronę i ojciec zdążył jej się uklonić, a ona zdążyła uśmiechnąć się do nas, cały czas tak szybko idąc. Więc od razu była jakieś dziesięć kroków przed nami. Z początku ojciec chciał ją dogonić i przyspieszył nagle, ale zaraz zrezygnował. Mnie było wszystko jedno, czy idziemy koło niej, czy za nią. Idąc za nią, mogłem się jej dokładnie przyjrzeć. Nigdy dotąd nie przyglądałem się jej tak długo, jak miałem to zrobić teraz, to znaczy tyle czasu, ile się idzie aleją grabową, a nawet dłużej, bo przecież szliśmy do miasta. Z tym przyglądaniem się pannie Lodzi była cała historia. Przyglądali się jej wszyscy, także wujek i mój ojciec. Zupełnie jakby tylko ona jedną była w całym majątku. Ja także trochę jej się przyglądałem, chociaż mnie nie podobała się tak bardzo. Próbowałem raz wypytać ojca, co mu się podoba w pannie Lodzi, ale to go strasznie rozżaliło i skrzytał mnie wtedy tak, że przez parę minut byłem cały czerwony.

Idąc aleją grabową, widziałem pannę Lodzie tylko z tyłu. Żalowałem, że nie z przodu, bo z przodu na pewno była ładniejsza. Z tyłu najładniejsze miała włosy. Długie ciemne loki robione gorącymi szczypcami. Spadały jej aż na plecy i przy każdym kroku trochę się rozciągały i trochę kurczyły, jak miękkie sprężyny. Sukienkę miała zwyczajną, białą w kolorowe kwiaty. Tylko, że ta sukienka bardzo zabawnie się poruszała, zupełnie jakby coś pod nią było, na przykład jakiś kot, który się przebudził, przeciąga się jak zwariowany i raz po raz napina grzbiet, cały czas próbując wydostać się na świat. Zauważyłem to od razu, gdy panna Lodzia weszła w aleję grabową. Chciałem o tym powiedzieć ojcu, ale przypomniałem sobie, że ojciec nie lubi, gdy z nim rozmawiam o takich rzeczach.

Panna Lodzia szła bardzo szybko. Musieliśmy trochę przyspieszyć, żeby utrzymać tę samą odległość, te dziesięć kroków. W jednej ręce trzymała torebkę i jeszcze coś, a drugą miała wolną i wymachiwała nią tak szybko jak szła. Jej eleganckie pantofle na takim grubym korku skrzyślały bez przerwy. Musiały być nowe. Nie podobały mi się te pantofle, ponieważ z tyłu miały tylko pasek, nie więcej, więc pięty panny Lodzi były gołe. A ja nie lubię jak pięty są gołe, bo to wcale nie wygląda ładnie ani przyzwoicie. Ale musiałem na nią patrzeć. Idąc aleją grabową, nie miałem nic lepszego do roboty. Więc widziałem, że były takie różowe, jakby panna Lodzia nie robiła nic innego, tylko ciągnęła trzymając je w misce z gorącą wodą. W ogóle panna Lodzia miała zawsze takłe czyste nogi, jakby dopiero przed chwilą wstała z łóżka. Pomyślałem, że żadna dziewczucha z ogrodu nie ma takich czystych nóg. Ich nogi były zupełnie czarne, tak że nie było wiadomo, gdzie się kończy noga, a zaczyna but.

Na początku wakacji, kiedy przyjechałem z Warszawy, panna Lodzia też pracowała u wujka w ogrodzie. Wujek był z niej bardzo zadowolony, więc pracowała nadal, tak jak inne dziewczuchy, ale rzadca zabrał ją do kancelarii. Przyszedł raz rano do ogrodu i tak długo przyglądał się dziewczuchom pielącym czosnek, aż wypatrzył pannę Lodzie. Może zresztą wypatrzył ją wcześniej i dlatego przyszedł do ogrodu, tak mówiła potem

ciotka. Wypatrzył pannę Lodzie i powiedział wujkowi, że szkoda takiej panny do takiej roboty, dlatego on weźmie ją do kancelarii. Wujek nie chciał o tym słyszeć, bo panna Lodzia była osobą jego ogrodu, tak mówił. Ale w końcu ustąpił. Rządca miał przecież rację, zabierając ją. Była najładniejsza ze wszystkich dziewczuch i ubierała się bardzo ładnie, nawet ładniej niż ciotka i niż żona rządcy. Więc na pewno nie powinna pracować w ogrodzie, tylko w kancelarii. Tak myślałem, idąc za panną Lodzią i patrząc na jej czyste nogi.

Doszliśmy do bramy, za którą była droga prowadząca prosto do miasta. Na drodze nadal dzieliło nas dziesięć kroków, ale już nie przyglądałem się pannie Lodzi tak dokładnie. Po drugiej stronie drogi był niewielki

staw, a za nim mokra łąka. Kiedy spojrziałem na łąkę, przypomniała mi się pompka. Od razu zrobiło mi się tak przyjemnie, jak na pewno przyjemnie jest komuś, kto ma w domu wielki skarb, który w każdej chwili może dotknąć ręką i może na niego popatrzeć. Pokazałem ojcu łąkę i zapytałem, czy pamięta o pompce. Mruknął coś takiego, że nie miałem pewności, czy wie, o czym mówię.

Z tą pompką było tak. Kilka dni wcześniej poszedłem z ojcem na spacer. Chodziliśmy po ogrodzie, po parku za kancelarią, a potem aleją grabową wyszliśmy przed bramę. Ale nie poszliśmy do miasta, tylko skręciliśmy na łąkę koło stawu. Na łące stał czerwony traktor. Hałasował i trząsał się cały. Dookoła niego chodził traktorzysta i szukał czegoś w trawie. Kiedy podeszliśmy, powiedział, że jakimś dziwnym trafem zginęła mu pompka. Reperował coś w traktorze, a kiedy skończył, w żaden sposób nie mógł jej znaleźć. Przepadła w trawie. Trochę pomogliśmy mu szukać. Ale traktorzysta nie miał czasu, machnął ręką i odjechał. Dopiero gdy zniknął w bramie majątku, zaczęliśmy szukać na dobre, rozgarniając nożami trawę raz koło stawu. Wkrótce ją znaleźliśmy. Tylko wielki gmoń mógł nie zauważyć takiej dużej samochodowej pompki z gumowym wężkiem. Chciałem ją podnieść, ale ojciec mnie powstrzymał. Sam się pochylił i unosił jedną nogawkę. Nim się połapałem, o co mu chodzi, pompka już była wysoko w nogawce, a ojciec trzymał ją przez kieszeń. Zaczęłem podejrzewać, że coś szykuje. Zapytałem go o to. Ale tylko powiedział, że pompka nam się przyda i kazał mi być cicho. Byłem pewien, że coś szykuje. Myślałem, że może motocykl. Ojcowie moich kolegów w Warszawie mieli motocykle, więc myślałem, że mój też szykuje. Ojciec zawsze wszystko robił w tajemnicy, więc nie dopytywałem się. W drodze do domu siedłem przed ojcem i zastanawiałem tę nogawkę z pompką. Nikt nas nie nakrył nawet ciotka. Schowaliśmy pompkę pod łóżkiem w naszym pokoju. Potem ile razy pomyślałem sobie, że ona tam leży, robiło mi się przyjemnie. Tak było kilka dni wcześniej. Więc kiedy pokazałem ojcu łąkę i za-

pytałem o pompkę, a on mruknął coś, nie wiem co, przypomniałem sobie, że szkoda mojego zachodu, bo ojciec nie nie powie, tak jak zawsze, gdy coś szykowałem.

Od chwili wyjechała z alei grabowej widać było miasto. Najbliższe czerwone budynki i wysoki komin fabryki, a dalej wieże kościołów. Jedna tego zakończona i druga spiczasta, lepiej widoczna, ale też niewysoka. Patrzyłem na te wieże i obliczałem sobie, w którym miejscu może być główna ulica, Grunwaldzka albo Stalingradzka, już nie pamiętam, i w którym ta cukiernia z tarasem. Na tym tarasie mieliśmy swój stolik tuż przy barierze. Mogłem tam siedzieć całymi godzinami, jeść ciastka anyżowe i patrzeć na ulicę. To chyba było najprzyjemniejsze z całych wakacji. Obliczyłem sobie, że cukiernia mu-

myślałem wtedy. I od tamtej pory jest ten żal do ojca. Ale nigdy mu tego nie powiedziałem i nie powiem.

W tamtej chwili ojciec wyskoczył na drogę jak oparzony i zamachał na traktorzystę, żeby stanął. Traktor zatrzymał się kilkanaście kroków za nami. Musieliśmy zawrócić. Ojciec odbył z traktorzystą taką rozmowę.

— No jak z tą pompką? Znalazł pan?
— Gdzie tam. Ni piernika.
— Szukał pan drugi raz?
— Szukałem. Ni piernika nie znalazłem. Jak kamień w wodę.
— Musiał pan klepsko szukać.
— Może i tak.
— Myślę, że tak. Szukać trzeba umieć. Widać pan, ja poszukałem i znalazłem.
— Eee.
— Poważnie.
— Pompkę?
— No, pompkę. Dostanie ją pan. Chłopak panu odda.

I nim się potapałem, co się dzieje, już wiałem na traktor. I to mnie nawet cieszyło, bo od dawna chciałem przejechać się tym czerwonym traktorem. Cieszyłem się także, gdy traktorzysta pokazywał, czego się mam trzymać, żeby nie spaść. W czasie jazdy, która też musiała mnie cieszyć, obejrzałem się za ojcem. Stawał takie długie kroki, że chyba musiałbym biec, żeby nadążyć, gdybyśmy szli razem. Panna Lodzia z daleka wyglądała o wiele lepiej. Nie było widać, że ma gołe pięty.

Już nie pamiętam, jak jechałem do majątku. Musiałem jechać zwykłą drogą, to znaczy przez bramę, a potem aleją grabową. Pamiętam, jak zszedłem z traktora przed domem wujka i jak pobiegłem do naszego pokoju, gdzie ukląknąłem przed łóżkiem i wyciągnąłem pompkę. Wtedy wcale nie było mi przykro, że ją wyciągam. Spieszyłem się, bo traktorzysta czekał przed domem na roztrzęsionym traktorze. Mało brakowało, a przewróciłbym się biegnąc z powrotem, ponieważ wążek od pompki plątał się pod nogami. Na szczęście potknąłem się tylko.

Koło traktora stał oborowy Plotka z jałowką. Jałowka szarpała się ze strachu przed traktorem, ale oborowy trzymał ją mocno i rozmawiał z traktorzystą. Traktorzysta tak się zagadał, że nie zauważył mnie z pompką. Musiałem przejechać na drugą stronę traktora. Wziął ode mnie pompkę, nie przerywając rozmowy, i nawet nie podziękował. Tyle miałem z tej pompki.

Poszedłem do plotu, żeby usiąść na swoim miejscu, bo nie miałem nic do roboty. Wtedy właśnie pierwszy raz pomyślałem, że ojciec tym swoim wariackim zatrzymaniem traktora na drodze zepsuł mi wszystko od początku do końca. To znaczy tę moją sprawę z pompką, a także spacer do miasta i siedzenie na tarasie cukierni. A właściwie nie zepsuł, po prostu oszukał mnie. Nie było przecież siedzenia na tarasie cukierni i nie było spaceru do miasta, bo zaledwie wyszliśmy z alei grabowej. Ale najbardziej złośliła mnie sprawa z pompką. Przecież ta pompka nie była tylko jego. Była także moja. Mógł sobie zresztą uważać, że to jest jego pompka. Ale po co przez parę dni udawał, że coś szykuje? Po co trzymał ją pod łóżkiem i kazał mi być cicho? Po co ja przez parę dni myślałem o motocyklu? Po co cieszyłem się że pompka leży pod łóżkiem? Wszystko po to, żeby przejechać się kawalek tym czerwonym traktorem i to akurat wtedy, gdy szedłem do cukierni. Och, byłem taki wściekły, że miałem łzy w oczach.

POMPKA

Andrzej Kuźmierzewicz

W 80-lecie śmierci poety (1854-1891)

Artur Rimbaud

Komedia pragnienia

Myśmy twoi Dziadowie,

Przodkowie!

Chłodny pot nas oblewa,

Pot księżycy, zieleni.

Wino w sercach nam śpiewa!

Gdy słońca żar się pieni,

Cóż czynić? Pić jedynie.

JA: Mrzeć, gdzie Barbara płynie.

Myśmy twoi Dziadowie

Z polnych pustkowi.

Woda szumi spod dami,

Wokół murów zamczyła

Rów się wije daleko.

Zejdź do naszych spizarni

Na jablecznik, na mleko.

JA: Pić z krowami nad rzeką.

Myśmy twoi Dziadowie,

Słuchaj, nikt się nie dowie:

Mamy w szafkach likieru.

Kawa, ziola, herbaty

Cenne w szklankach się parzą.

— Spójrz: obrazy i kwiaty.

Powracamy z cementarza.

JA: Osuszyć wszystkie ury!

O, wieczne Świtezianki,

Wijcie z wody swe wianki.

Wenus, siostrze niebiosów,

Wzburz fale wodnych włosów.

Żydzi błędni z Norwegii,

Opowiadajcie mi śniegi.

Drodzy starzy tułacze,

Mówcie, jak morze skacze.

JA: — Dać tych czystych napoi,

Wodnych kwiatów do szklanek;

Już dziś mnie nie upoją

Legendy zasłyszane.

Pieśniarzu, twa chrześniaczka

To me pragnienie wściekłe,

Hydra wewnętrzna bez paszczy

Grozi zniszczenia piekłem.

Pójdź, fale milionowe

Brzeg zalewają winem!

Patrz, to Bitter surowy

Rwie z wyżyny lawinę.

Pijmy, mądrzy pielgrzymi,

Absynt, co zielem się ścięło...

JA: — Dać tych obrazów olbrzymich.

Czymże stał, Przyjaciele?

Już wolałbym sam jeden

Gnić na dnie stawów szklanych

Pod chmur straszliwym kremem

W pobliżu drzew cienistych.

Może Wieczór mnie spotka,

Gdy zasiądnę przy winie

W jakiejś starej mieścinie,

Tam śmierć by była słodka,

Bo czas cierpliwie płynie.

Gdy zło się już ostoi,

A grosz się kiedyś trafi,

Czy Południe mnie zwabi,

Czy kraj, co w śnieg się stroi?...

— Ach, marzyć nie przystoi!

Przecież to czas stracony!

A gdy się tam zasmucę,

Z włóczgi nie powrócę

Do oberży zielonej

Na zawsze już zgubionej.

Gołębie, co skrzydłami na łące trzepocą,

Zwierzęta na swobodzie, zwierzęta w niewoli,

Drapieżce polujące i widzące nocą,

Motyle mrące... także pragną pić do woli.

Lecz utonąć, gdzie chmura ta swobodnie tonie,

O, młody oblubieńcze rzeźwiącej świeżości,

I umrzeć gdzieś tam w lesie z fiołkami przy

skroni.

Na które jutrznia sieje blaski z wysokości.

Przełożył

Kazimierz Andrzej Jaworski

Specjalizacja regionalna w planowaniu przestrzennym

Jan Martychewicz

WZAPOWIEDZIANEJ w Wytycznych KC PZPR na VI Zjazd Partii reformie funkcjonowania gospodarki przewiduje się m. in. zwiększenie roli rad narodowych w planowaniu regionalnym i regionalnej polityce rozwoju. Wynika to z założenia, że rady narodowe będą w większym stopniu niż dotychczas odpowiedzialne za harmonijny rozwój regionu, wykorzystanie specyficznych, sprzyjających warunków na rzecz przyspieszenia rozwoju społeczno-gospodarczego. Będzie to wymagało innej polityki w zakresie przydziału środków — nie na poszczególne zadania, ale na kompleksowy rozwój danego miasta czy też powiatu.

W tej sytuacji plany regionalne jako jedne ujmujące problematykę poszczególnych działów gospodarki kompleksowo, niezależnie od podporządkowania, powinny przekształcić się w instrument sterowania rozwojem społeczno-ekonomicznym całego regionu.

Wymagać to będzie również dalszego rozwinięcia i pewnych zmian organizacyjnych w planowaniu przestrzennym, zarówno krajowym jak i regionalnym, przy ściślejszym jego powiązaniu z problematyką społeczno-ekonomiczną.

Przy rozpatrywaniu zagadnień przestrzennego rozmieszczenia sił wytwórczych i zróżnicowania infrastruktury społecznej istotne są, moim zdaniem, następujące problemy: funkcja i specjalizacja poszczególnych regionów w gospodarce krajowej, zasady kształtowania przestrzennego zagospodarowania kraju i regionów łącznie z zagadnieniem poziomu warunków bytowych ludności, organizacja ośrodków i centrów usługowych.

W dotychczasowej polityce gospodarczej, i to zarówno na szczeblu krajowym jak i regionalnym, przy dużym nacisku zagadnień bieżących mniejszą uwagę zwracano na racjonalne kształtowanie się układów przestrzennych. Układy te były w znacznej mierze wynikiem przypadkowych decyzji, nie zaś realizacją kompleksowych planów zagospodarowania przestrzennego. Taka sytuacja wynikała z faktu, że w okresie powojennym nie został zatwierdzony ani jeden plan przestrzennego zagospodarowania kraju. Zatwierdzono natomiast kilka planów regionalnych ogólnych i szczególnych, m. in. dla woj. lubelskiego szczegółowy plan regionalny obszaru kanału Wieprz — Krzna.

W ostatnich 2 latach podjęto w Polsce intensywne prace prognostyczne w zakresie koncepcji rozwoju społeczno-gospodarczego kraju jak też układów przestrzennych. Jak wynika z doświadczeń innych państw, jednym z podstawowych narzędzi dynamizacji i intensyfikacji gospodarki narodowej jest uwzględnienie zróżnicowanych warunków i potencjalnych możliwości w taki sposób, aby można było maksymalizować wkład każdego regionu w rozwój gospodarki kraju, w oparciu o jego specyficzne wartości przyrodnicze, ekonomiczne i społeczne.

Specjalizacja regionalna stymuluje rozwój komplementarnych dziedzin działalności gospodarczej, które zapewniają niezbędne warunki materialno-techniczne dla racjonalnego jej funkcjonowania, wpływa na decydujący sposób na kształtowanie się procesów demograficznych i poziom warunków bytowych ludności regionu. Głównym celem realizowanym przez politykę gospodarczą w przestrzennym zagospodarowaniu kraju powinno być zapewnienie wzrostu stopy życiowej społeczeństwa na wszystkich obszarach, przy równoczesnej stopniowej likwidacji regionalnych dysproporcji w tym zakresie.

Opracowane dotychczas na szczeblu centralnym koncepcje prognostyczne przestrzennego zagospodarowania kraju do 1990 r. i do 2000 roku wymagają, moim zdaniem, pewnego skorygowania zarówno co do ogólnych zasad, jak i też konkretnie w odniesieniu do województwa lubelskiego. W koncepcjach tych proponuje się jako jedną z zasad stopniowej likwidacji regionalnych dysproporcji w poziomie warunków bytowych znaczne przemieszczenie ludności z regionów nierozwiniętych, z dużych miast oraz województw: katowickiego i gdańskiego. Przewiduje się utrzymanie migracji z woj. lubelskiego w ciągu 20 najbliższych lat na poziomie dotychczasowym (4—5 tys. rocznie). Koncepcja taka nie wydaje się celowa z punktu widzenia społeczno-ekonomicznego i trudna do realizacji po 1975 r., kiedy przyrosty naturalne zasobów siły roboczej będą dużo niższe niż dotychczas i konieczne będzie zasadnicze zmniejszenie zatrudnionych w rolnictwie.

Polityka dużych przemieszczeń ludności, głównie osób młodych o pełnych kwalifikacjach, najbardziej zdolnych i przedsiębiorczych, powodować będzie, odwrotnie niż się zamierza, pogłębianie się regionalnych dysproporcji warunków socjalno-bytowych społeczeństwa. Równocześnie bowiem z migracją następuje przemieszczenie nakładów inwestycyjnych związanych z warunkami socjalno-bytowymi, a więc na budownictwo mieszkaniowe, gospodarkę komunalną, służbę zdrowia, urządzenia kulturalne.

Podobne tendencje zarysowały się już w bieżącym planie 5-letnim (znacznie niższe przyrosty nakładów w województwie na te działy gospodarki niż średnio w kraju).

Ponadto nadmierna migracja w dalszej perspektywie powoduje pogłębienie się procesu starzenia się ludności regionów, z których ona następuje, spadek przyrostu naturalnego i stagnację ludnościową.

Dlatego też rozwój regionów wysoko uprzemysłowionych powinien być oparty głównie o postęp techniczny i organizacyjny, mechanizację, automatyzację procesów wytwarzania. W koncepcji rozwoju Lubelszczyzny powinno się bardzo śmiało uwzględnić skutki społeczno-ekonomiczne wariantu podjęcia w ciągu najbliższych 10 lat eksploatacji węgla kamiennego w Lubelskim Zagłębiu Węglowym i rozwoju energetyki.

Z innych zagadnień, nie uwzględnionych w koncepcjach krajowych, a dotyczących naszego województwa, należy wymienić: założenie pełnienia przez Lublin funkcji jedynie wojewódzkich oraz niedostrzeżenie możliwości ukształtowania się w perspektywie aglomeracji i układu pasmowego urbanizacji w relacji przestrzennej Puławy — Lublin — Świdnik — Chełm. Równocześnie przewiduje się jedynie umiarkowany rozwój gospodarczo-społeczny Lublina oraz minimalny Białej Podlaskiej, Zamościa, Chełma i Kraśnika. Z uwagi na to, że w regionalnej koncepcji zagospodarowania przestrzennego miasta te stanowią ponadpowiatowe centra usługowe, powinny one mieć zagwarantowane warunki przyspieszonego wzrostu.

Problemem, który musi również zostać rozstrzygnięty w krajowym planie zagospodarowania przestrzennego, jest okre-

Odważnie i rozważnie

ślenie zasad polityki podziału dochodu narodowego, zmierzających w perspektywie do wyrównania regionalnych dysproporcji stopy życiowej ludności. Bez sformułowania takich zasad i konsekwentnej ich realizacji nie ma możliwości wyrównania tych zasadniczych dysproporcji. Jak wykazuje praktyka, dotychczas prowadzona polityka nie zabezpiecza niewielkiej tendencji do zwiększenia się różnic.

W regionalnej polityce przestrzennego zagospodarowania województwa jednym z podstawowych czynników poprawy warunków socjalno-bytowych ludności jest konsekwentna organizacja ośrodków i centrów usługowych, wyposażonych w odpowiedni zestaw usług w powiązaniu z urządzeniami infrastruktury technicznej. Dotychczas sieć usług wykazuje się nadmierną koncentracją w ośrodku wojewódzkim i w ośrodkach powiatowych. Brak jest ogniw pośrednich o charakterze międzypowiatowym oraz międzygromadzkim. Powoduje to znaczną uciążliwość dla korzystających z określonych usług, lub też rezygnację z nich. W sposób najbardziej widoczny odnosi się to do usług z zakresu służby zdrowia, szkolnictwa średniego, kultury, niektórych usług technicznych. Stąd też w najbliższych latach konieczne jest zbliżenie usług do społeczeństwa poprzez szczególne zwrócenie uwagi na organizację centrów usługowych ponadpowiatowych w takich miastach jak: Biała Podlaska, Puławy, Zamość, Chełm, w zespole miast Kraśnik i Kraśnik Fabryczny oraz ośrodków usługowych o zasięgu międzygromadzkim w wybranych osadach.

Ujemne skutki urbanizacji

Stanisław Winnicki

PRZEJAWEM postępujących procesów urbanizacyjnych na Lubelszczyźnie w okresie powojennym w płaszczyźnie demograficzno-ekonomicznej jest dynamiczny wzrost liczby ludności miejskiej oraz liczby ludności utrzymującej się ze źródeł pozarolniczych. Przejawem zaś urbanizacji w aspekcie przestrzennym i socjologicznym są przemiany w stanie zabudowy i zagospodarowania miast, a także upowszechnianie się miejskiego stylu życia.

Ogólnie rzecz biorąc, industrializacja i będąca jej skutkiem urbanizacja poszczególnych regionów są procesami nieodwracalnymi i nieuniknionymi, które z punktu widzenia ekonomicznego i społecznego mają charakter pozytywny. Chodzi tu w szczególności o takie dodatnie skutki jak wzrost dochodów ludności, a co za tym idzie i wzrost konsumpcji.

Niemniej jednak występują i ujemne skutki koncentracji ludności, wiążące się z trudnościami pełnego zaspokojenia jej potrzeb. Chodzi tu przede wszystkim o występujące w nadmiernych rozmiarach dojazdy do pracy oraz zjawiska różnorodnej patologii społecznej, jak prostytucja, pijactwo, chuligaństwo, wzrost przestępczości, alienacja jednostki itp. Zjawiska tego rodzaju mogą w szczególnych warunkach występować w rozmiarach niepokojących. Warunki sprzyjające występowaniu zwłaszcza wówczas, gdy spotykamy się z rażącymi dysproporcjami pomiędzy wzrostem ludności miejskiej a niedorozwojem funkcji obsługi miast, zwłaszcza w zakresie urządzeń komunalnych i gospodarki mieszkaniowej. Sytuacja taka powoduje, że życie mieszkańców miast staje się bardzo uciążliwe, a nawet nieżadne. Zatkanie dróg komunikacji miejskiej, ciasnota mieszkaniowa, niedostępność bądź trudność dostępu do innych usług, z jednej strony odstrasza i uniemożliwia osiedlenie się ludności pracującej w danym mieście, z drugiej zaś strony wzrasta stan nerwowości u ludzi spotykających się na każdym niemal kroku z licznymi trudnościami, co w rezultacie rodzi różnego rodzaju zjawiska patologii społecznej.

Zjawiskiem integralnie związanym z postępującą urbanizacją są dojazdy do pracy. Ich nasilenie i charakter są rozmaite w zależności od stopnia rozwoju ekonomicznego regionu oraz stylu życia jego mieszkańców. Dojazdy w Polsce są zjawiskiem masowym, o czym świadczy fakt, że obejmują około 25 proc. zatrudnionych w zawodach pozarolniczych. Przeciętnie pracownik na dojazdy poświęca około 2 godziny dziennie. Województwo lubelskie charakteryzuje się dużym nasileniem dojazdów do pracy. Największym ośrodkiem dojazdów jest sam Lublin. Zasięg dojazdów do Lublina jest rozległy m. in. z braku typowych osiedli podmiejskich i znikomych możliwości znalezienia pracy w innych ośrodkach tej części województwa (z wyjątkiem Świdnika). Jako drugi ośrodek dojazdów wysuwa się obecnie Puławy. Wśród pozostałych większe znaczenie mają: Chełm, Świdnik, Kraśnik Fabryczny. Są to nowe ośrodki przemysłowe, zbudowane lub rozbudowane po wojnie, charakteryzujące się niedoinwestowaniem w urządzenia miejskie, a szczególnie w budownictwo mieszkaniowe.

Dojazdy do Chełma obejmują cały powiat chełmski z pewną koncentracją wzdłuż linii kolejowej Lublin — Dorohusk. Dojazdy do Świdnika odbywają się głównie z Lublina i miejscowości przy linii kolejowej Lublin — Rejowiec. Zazębiają się one z dojazdami do Lublina, Rejowca i położonego w pobliżu tej linii Milejowa. Dojazdy do Kraśnika Fabrycznego obejmują przede wszystkim sąsiedni Kraśnik oraz wsie położone w środkowej części powiatu kraśnickiego. Odbywają się one głównie autobusami, a wobec oddalenia miasta od linii kolejowej, również dojeżdżający koleją muszą dodatkowo korzystać z autobusu na trasie z dworca do zakładu (13 km). Niewielkimi ośrodkami dojazdów są: Poniatowa, Zamość i Lubartów.

Z badań przeprowadzonych przez Komitet Badań Rejonów Uprzemysłowionych w Puławskim Okręgu Przemysłowym wynika, że aż 37 proc. zatrudnionych w Zakładach Azotowych jako motyw podjęcia pracy podaje nadzieję uzyskania mieszkania. Należy przy tym zauważyć, że odsetek dojeżdżających, którzy liczyli na otrzymanie mieszkania, w rzeczywistości jest znacznie wyższy, gdyż pytanie o motyw podjęcia pracy w Zakładach Azotowych kierowano do wszystkich zatrudnionych, wśród których dojeżdżający stanowili w 1964 roku 87,0 proc. Zebrane przez autora niniejszego artykułu informacje z innych większych zakładów w wymienionych wyżej ośrodkach dojazdów do pracy (cementownia w Chełmie i Rejowcu, Kraśnicka Fabryka Wyrobów Metalowych, EDA w Poniatowej, Fabryka Samochodów Ciężarowych w Lublinie) wskazują, że około 25—30 proc.

Kontynuując naszą dyskusję „Odważnie i rozważnie” — zamieszczamy dzisiaj wypowiedzi kierownika Wojewódzkiej Pracowni Planów Regionalnych, mgr. Jana Martychewicza oraz st. wykładowcy Wyższej Szkoły Inżynierskiej, dr. Stanisława Winnickiego. Obie wypowiedzi otrymaliśmy przed VI Zjazdem Partii.

pracowników dojeżdżających zrezygnowałyby z dojazdów, gdyby im udostępniono mieszkania.

Dojazdy do pracy w nadmiernej skali są zjawiskiem szkodliwym z punktu widzenia jednostki dojeżdżającej w sensie znacznej straty czasu i zdrowia, jak również z punktu widzenia społecznego, wyrazem czego jest przede wszystkim marnotrawstwo czasu w skali społecznej oraz koszty dowozu ludzi. Do innych ujemnych skutków społecznych, jakie wynikają z niedorozwoju niektórych elementów gospodarki miejskiej, a szczególnie urządzeń komunalnych i budownictwa mieszkaniowego, należą — jak już wspomnieliśmy — różnego rodzaju zjawiska patologii społecznej.

Badania wykazują, że istnieją wyraźne korelacje między brakiem mieszkania i złyimi warunkami mieszkaniowymi, a różnymi formami wykolejenia społecznego i moralnego. Brak własnego mieszkania, przenoszenie się z kąta w kąt wytwarza poczucie zębności, nie pozwala wrosnąć w określone środowisko, uniemożliwia danej osobie uzyskanie jakiegokolwiek miejsca w społeczeństwie. Dlatego też wszyscy „bezdomni” z czasem ulegają wewnętrznej dezorganizacji i powolnej demoralizacji. Z akt procesów niezłębnie wynika, że osoby wielokrotnie karane za przestępstwa społeczne, to w większości osobnicy bez stałego miejsca zamieszkania i bez równocześnie trwałego i uregulowanego trybu życia. Ulica, teren zabaw, plac targowy, skwer, park — stanowią w trudnych sytuacjach naturalną niejako formę „poszerzenia” mieszkania, w wielu wypadkach zastąpienia go, co w praktyce łączy się z zastąpieniem wpływów rodziców przez wpływy mniej lub bardziej przypadkowo poznanych kolegów, nierzadko pochodzących z rodzin, w których kwitnie przestępczość. Szczegółowa mapa ekologiczna, uwzględniająca populację nieletnich przestępców za okres 5 kolejnych lat w Lublinie, wskazuje, że nasilenie przestępczości obserwuje się tylko na pewnych obszarach miasta, podczas gdy na innych mamy do czynienia z nielicznymi jej przypadkami. Największe nasilenie przestępczości koresponduje z dzielnicami o starej zabudowie czynszowej, usytuowanej obok ruchliwych komunikacyjnie i handlowo punktów miasta. Zabudowa jest tutaj ciasna, ulice i domy brudne, z dużą ilością suterren i strychów zamieszkałych jeszcze do dziś.

Powszechnie wiadomo, iż tereny o zainwestowaniu komunalnym stanowią istotny czynnik warunkujący rozwój budownictwa mieszkaniowego w miastach. Wskaźniki, charakteryzujące wielkość urządzeń komunalnych na głowę ludności miejskiej w województwie lubelskim (wodociąg, kanalizacja, komunikacja miejska, gazownictwo, zieleń miejska), pokazują ich znaczny niedorozwój w stosunku do potrzeb, jakkolwiek nie można tu negować poważnych osiągnięć w latach poprzednich. Jednak niskie tempo, jak i skala rozwoju urządzeń komunalnych spowodowały wytworzenie się poważnych dysproporcji pomiędzy poziomem rozwoju tych urządzeń, a innymi dziedzinami życia społeczno-gospodarczego w miastach, a zwłaszcza przemysłem i budownictwem mieszkaniowym.

Nowoczesny przemysł chłonie coraz więcej wody i energii, wytwarza coraz więcej ścieków, wymaga coraz lepszych środków komunikacji. Budowa i rozbudowa urządzeń komunalnych i poprawa warunków mieszkaniowych coraz wyraźniej staje się warunkiem rozwoju gospodarczego miast, a co za tym idzie — rozwoju regionu.

Należy również wskazać różnice w stanie wyposażenia miast w urządzenia komunalne w poszczególnych regionach kraju, o czym świadczy dobitnie wskaźnik wyrażający wartość majątku komunalnego przypadającego na głowę mieszkańca. Według danych powszechnej inwentaryzacji środków trwałych w gospodarce komunalnej z roku 1961, wartość oszacowanego majątku w kraju wynosiła 129 072 mln zł. Najwyższy udział w całości majątku komunalnego wykazują województwa: katowickie (13,0 proc.) oraz wrocławskie (11,9 proc.). Najniższy zaś udział województwa: lubelskie (1,0 proc.) oraz białostockie (1,9 proc.). Na jednego mieszkańca miast przypada w Polsce 9 147 zł majątku komunalnego. Wskaźnik ten w poszczególnych województwach waha się w granicach od 2 980 zł (woj. lubelskie) do 24 516 zł (woj. zielonogórskie).

Istotną przyczyną tak poważnego niedorozwoju urządzeń komunalnych w województwie były zbyt niskie nakłady inwestycyjne na ten dział gospodarki. Rażące dysproporcje występują zwłaszcza w porównaniu z nakładami na budownictwo mieszkaniowe. Ogólne nakłady na urządzenia komunalne w latach 1961—1965 stanowiły w woj. lubelskim 24,9 proc. nakładów na budownictwo mieszkaniowe; w latach 1966—1970 już 31 proc., ale i to stanowi dysproporcję w stosunku do rzeczywistych potrzeb. W planie na lata 1971—1975 proporcja nakładów na budownictwo mieszkaniowe i komunalne nie uległa poprawie, a raczej pogorszyła się (ok. 30 proc.). Tymczasem analiza kosztów budowy miasta wykazuje, że urządzenia komunalne stanowią 35—38 proc. kosztów budownictwa mieszkaniowego. Należy przy tym podkreślić, że zadania w zakresie rozbudowy urządzeń komunalnych obejmują oprócz potrzeb związanych z rozwojem nowego budownictwa mieszkaniowego również potrzeby związane z dobrojeniem już istniejącej zabudowy. Powstają ponadto potrzeby związane z rozwojem budownictwa przemysłowego i innych inwestycji w gospodarce komunalnej. Ponieważ rezerwy terenów uzbrojonych w miastach są obecnie na wyczerpaniu, to rzeczywiste nakłady inwestycyjne w zakresie rozbudowy urządzeń komunalnych sięgać powinny 50—60 proc. nakładów na budownictwo mieszkaniowe.

Na niedostateczną wysokość nakładów na urządzenia komunalne Lubelszczyzny w stosunku do potrzeb wskazuje i inny rachunek. Koszt uzbrojenia na 1 mieszkańca w przeciętnych warunkach nowej zabudowy szacuje się na około 30 tys. zł. Przyrost ludności miejskiej w woj. lubelskim w latach 1961—1965 wyniósł 47 tys., a w latach 1966—1970 około 88 tys. W tej sytuacji nakłady na inwestycje komunalne winny wynosić około 1 410 mln zł w latach 1961—1965 i 2 640 mln zł w latach 1966—1970. Natomiast nakłady rzeczywiste kształtowały się następująco: lata 1961—1965: 798,9 mln, a lata 1966—1970: 1 039 mln zł.

Opóźnienia jakie tu powstały dyktują potrzebę podjęcia radykalnych środków w celu rychłego złagodzenia napięcia zakłócających życie miast. Ostrość wytworzonych napięć sprawia, iż groźba osiągnięcia momentu krytycznego staje się coraz bliższa. Okres perspektywny powinien więc przynieść nie tylko ogólną poprawę stanu zaspokojenia potrzeb komunalnych i mieszkaniowych ludności miejskiej, ale i pewne złagodzenie istniejących w tym zakresie różnic regionalnych.

Przed władzami województwa stoją poważne zadania do realizacji w latach 1971—1975, wynikające z Wytycznych na VI Zjazd. Wytyczne postulują obniżkę wskaźnika zagęszczenia mieszkań w miastach z 1,31 osób na izbę w roku 1970 do 1,20 w roku 1975. Warto podkreślić, że wskaźnik ten dla Lubelszczyzny w roku 1970 wynosił 1,43, a więc znacznie odbiegał od średniokrajowego. W skali kraju gorszym niż woj. lubelskie wskaźnikiem legitymowało się jedynie woj. kieleckie (1,46).

Mieczysława Buczkówna

Z kroniki życia rodzinnego

Z tobą
Słuchać jak śnieg zmienia igły
W modrzewiu lata po liściach szronu
Wracać przez zieleń pamięci do siebie
Dawnych w światła lip nie zaciemnione

Podminowanym jeszcze lasem
Szliśmy pod górę
Syczały kamienie w jaskrach upału
Fiolet dzwonek zagłuszał okopy
Ucichłym niebem leciały eskadry motyli
Szliśmy sami
Przez puste strony druku

Galopem na drewnianym koniku
Dopędził nas mały chłopczyk

Skinął szabłą
Umykały ołowiane armie
Wstawały damy z klocków
Ruszały kolejki po składanych szynach
Zając z bajki zasypiał w kotlinie zdania
Dajrwały gwiazdy w choinkach zimy
Jak na zawsze rosły zdrowe lata
Aż w białych polach zeszytów
Stały krzywe zasieki liter

Przerósł nasze spojrzenia
I bezbranny sprzeciw
Czas niezapięty
Guzik w jego mundurze

Aleksander Rozenfeld

O potrzebie poezji

chcąc przejść się po własnym wnętrzu
trzeba na to czasu odrobinię
tak z pięć sześć dni a jeśli też trzeba
więc do sklepu po zapasy jakieg
kupuję kilka kilo cukru, trochę masła
i już się robi ruch w narodzie że tyle kupuję
więc pewnie wojna tuż tuż
i tak się okazuje że poeta musi być odpowiedzialny
nawet za drobizgi
patrz człowiekowi na ręce czy za dużo nie wynosi
z siebie na sprzedaż panie o ten wiersz to za ile
i tłumacz się że to nie do sprzedania
bo to tak jakbyś własną ręką albo nogą chciał oddać
a jeśli język wyrwą ci wrogowie
to i tak jeszcze nie jest tak źle
bo krzyknąć będziesz mógł
bez względu na miejsce geograficzne
twoich ust

XCI 1971

Wyższe uczelnie chlubą Lubelszczyzny

Paweł Dąbek

Z trzynastoletniej działalności Towarzystwa Przyjaciół Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Akademii Medycznej i Wyższej Szkoły Rolniczej.

BYŁO to 24 maja 1958 roku. Wspólnie z prof. dr. Adamem Paszewskim, rektorem UMCS, wystąpiłem do rektorów AM, WSR, pracowników naukowych i dyrekcji zakładów pracy z inicjatywą reaktywowania Towarzystwa Przyjaciół UMCS. (Towarzystwo to powstało 27 marca 1946 r. i uległo likwidacji 20 listopada 1953 r.).

Przemiany społeczno-polityczne, które dokonały się w Polsce po 1956 r., stworzyły sprzyjające warunki do rozszerzenia działalności stowarzyszeń społecznych. Tak więc nasz apel spotkał się z żywym odzewem wśród społeczeństwa i już 3 czerwca 1958 r. został wybrany zarząd Towarzystwa, któremu miałem zaszczyt przewodniczyć.

Po załatwieniu wszystkich spraw organizacyjnych, przyjęciu statutu, który stał się programem naszego działania, przystąpiliśmy do konkretnej pracy. Ambicją naszą było nieść pomoc lubelskiemu państwowemu ośrodkowi naukowemu. Od tego czasu aż do 16 grudnia 1971 r., dnia mojej rezygnacji, kolejno wybierany na walnych zjazdach Towarzystwa Przyjaciół UMCS, AM i WSR (bo taką nazwę ono przyjęło), byłem prezesem Zarządu Głównego. Za ten okres (1958—1971) czuję się w obowiązku złożyć społeczeństwu za pośrednictwem „Kamenu” sprawozdanie z wykonania podstawowych obowiązków statutowych Towarzystwa.

Szybki i wspaniały jest rozwój lubelskiego państwowego ośrodka naukowego, obejmującego cztery państwowe wyższe uczelnie akade-

mieckie: Uniwersytet im. Marii Curie-Skłodowskiej, Akademię Medyczną, Wyższą Szkołę Rolniczą i Wyższą Szkołę Inżynierską.

Celem Towarzystwa — jak określa statut — jest:

- zbliżenie społeczeństwa do spraw uczelni i jej młodzieży;
- ułatwianie oddziaływania uczelni na społeczeństwo;
- popularyzacja działalności uczelni wśród społeczeństwa;
- niestanie pomocy uczniom w usuwaniu trudności natury materialnej (udzielanie pomocy w budowie nowych obiektów; w wyposażeniu poszczególnych zakładów naukowych w potrzebną aparaturę i księgozbiory; w akcji wydawniczej itp.);
- niestanie pomocy młodzieży studiującej (w budowie urządzeń kulturalnych i sportowych, fundowanie stypendiów, udzielanie pomocy finansowej doradnej; w uzyskiwaniu praktyki i odpowiedniej pracy po ukończeniu studiów itp.).

Ten szeroki i wielokierunkowy program działania Towarzystwa był realizowany z myślą o zapewnieniu lubelskiemu ośrodkowi naukowemu stałego i prężnego rozwoju. Prezentując dorobek Towarzystwa za okres 13 ostatnich lat, nie sposób jest pominąć osiągnięcia wszystkich wyższych uczelni lubelskich. Obecnie stanowią one integralną całość dynamicznie rozwijającego się Lublina, wyznaczają mu funkcje kulturowe i czynią go największym ośrodkiem naukowym po prawej stronie Wisły. Dzięki staraniom władz, trosce i zabiegom Towarzystwa, możliwe było powstanie pięknej i nowoczesnej dzielnicy uniwersyteckiej kosztem jednego miliarda złotych. Szczególną pomoc wykażal Zarząd podczas budowy Biblioteki Uniwersyteckiej oraz pomnika Patronki Uniwersytetu — Marii Skłodowskiej-Curie. Te dwie inwestycje, chociaż każda o innym charakterze, są jak gdyby symbolem całego lubelskiego ośrodka akademickiego.



Pomnik Patronki Uniwersytetu, Marii Curie-Skłodowskiej.

Fot. Z. Zuga

Biblioteka Akademicka, z której od 1958 r. korzystają pracownicy naukowej i młodzież akademicka, jest ważnym czynnikiem integrującym lubelskie środowisko naukowe. Budowa pomnika Marii Curie-Skłodowskiej, którego powstanie upamiętniło XX-lecie powstania UMCS, a zarazem lubelskiego ośrodka naukowego, stała się okazją do rozwinięcia szerokiej pracy organizacyjnej i propagandowej. Zarząd Towarzystwa zainicjował i zorganizował zbiórki funduszy społecznych, a także złożył brzo, szczególnie wśród młodzieży szkolnej. Akcją tą zainteresowano również sąsiadnie województwa: białostockie, kieleckie i rzeszowskie.

Miłym akcentem było przekazanie na nasze konto ponad 840 tys. złotych przez oddziały wojewódzkie Społecznego Funduszu Odbudowy Stołicy w Lublinie i Rzeszowie, a także 130 tys. zł przez spółdzielczość Lublina na uporządkowanie terenu wokół pomnika.

Wymowną zasługą Towarzystwa była organizacja i współudział w uroczystościach związanych z XX i XXV rocznicą istnienia lubelskiego ośrodka naukowego, jak również 100 rocznicą urodzin Marii Skłodowskiej-Curie. Przede wszystkim — to jest fakt niewątpliwy — nastąpiło w trakcie tych obchodów ogromne zbliżenie ośrodka uniwersyteckiego z całym społeczeństwem.

Oczywiście nie tylko wielkie rocznice sprzyjały popularyzacji działalności uczelni wśród społeczeństwa. Uniwersytet Marii Cu-

Pić? Nie pić? Czy: jak pić?

Romuald Wiśniewski



Tak reklamuje się nasza wódka w zachodniemieckim tygodniku „Der Spiegel”. U nas rzadko kto sporządza z „Wyborowej” cocktaila.

dować falę szerokiej dyskusji, taką jak wywołały rozprawy historyczne czy społeczne Żaluskiego, Bocheńskiego, Górnickiego...

Mówi się, że spożycie alkoholu jest pochodną wzrostu zamożności społeczeństwa. I to prawda. Sprawdzając się niemal we wszystkich krajach. Mówi się też, że mimo wzrostu to spożycie jest u nas mniejsze niż w wielu innych, wysoko rozwiniętych krajach Europy. I to też prawda. A jednocześnie przybywa z tych krajów o większym spożyciu po pierwszym dniu pobytu w Polsce lapią się za głowę na widok pijaków na ulicy, zataczających się konsumentów w zakładach gastronomicznych, podchmielonych młodzieńców prowadzących podpite czy pijane dziewczęta. Jeśli są naszymi przyjaciółmi, pytają z trwogą, co się dzieje. Nie chcą wierzyć, gdy powołując się na statystyki, wywodzą, iż pijemy mniej niż oni. Więc co? Czy może Polacy mają słabe głowy? Takie pytanie to obraza honoru narodowego. W Polsce pokutują przecież mity o tym, jak nasi żołnierze czy turyści upijali kieliszkiem wódki zagranicznych, przywykłych tylko do wina lub piwa.

Zle tradycje pijackie ciągną się u nas od niepamiętnych czasów, gdy warzone piwo z prosa, gdy zaczęto pedzić okowite, sprowadzać wina z Węgier i Wołoszczyzny. Tradycje chłopca ogłupianego przez pana alkoholem i tradycje szlachca — hulaki. Mamy całą literaturę pijacką, fragmentami nawet bardzo piękną. Lecz inni nie są pod tym względem ubożsi, a mimo to problem rzadko gdzie jest tak ostry, jak u nas.

Tradycje mają zapewne wielki wpływ na model konsumpcji, w tym także konsumpcji alkoholu. Wydało mi się wszakże, że znacznie większy ma rzeczywistość. Warunki, w których żyjemy. Alkohol jest jednym z nielicznych towarów, które dostarczane są na rynek systematycznie, w dostatecznej ilości, dużym wyborze gatunków — a przy tym się zbytu jest bardzo rozbudowana, być może lepiej niż się zbytu czegośkolwiek innego.

Oczywiście obraz jest złożony. Jeden pije, bo nie może doczekać się mieszkania, czy nie widzi szans nabycia samochodu. Inny — bo ma już to, plus meble, plus lodówkę, odkurzacz i telewizor — więc pije, gdyż przemysł nie wypuszcza niestannie nowości zachęcających do odkładania na nie grosza.

Ktoś powie, że są w Polsce tysiące, a pewnie dziesiątki tysięcy ludzi, którzy piją, choć chodzą obdarci, nie jedzą tak jak należy, nie mają należyte wyposażonych mieszkań. To jest już patologia. Ci ludzie wymagają starannej opieki. Stanowią jednak tylko drobny procent społeczeństwa. A właśnie statystykę spożycia alkoholu tworzy ogół. Tworzą ci, którzy piją nie dlatego, że wpadli w nałóg, tylko dlatego, że w naszych warunkach najłatwiej wydać w ten sposób pieniądze. W każdym prawie większym sklepie można dostać wódkę. Niech jednak ktoś spróbuje kupić tam żelazko elektryczne, wentylator, suszarkę do włosów, grzejnik, opiekacz do grzanek i szereg innych drobiazków, po które rolnik nie powinien jeździć do odległego miasta.

Alkohol jest w Polsce nie tylko sposobem na wydanie pieniędzy i zabawę. Jest także często jedyną rozrywką. Czy można w Polsce połańczyć gdzieś wieczorem bez alkoholu? Bawie chce się młodzież — a wiadomo: czym skorupka za młodu nasiąknie, tym później traci. W całym 250-tysięcznym Lublinie nie ma ani jednego lokalu, do którego można by przyjść, zapłacić 5 czy 10 zł wstępu od osoby i tańczyć non-stop, przy kawie i wodzie sodowej. Powinien zaś być taki w każdej dzielnicy, kilka w śródmieściu; powinny być w każdym mieście powiatowym. W całym Lublinie nie ma ani jednego lokalu lepszej kategorii, lecz bezalkoholowego, tak, żeby człowiek mógł zjeść kolację, posiedzieć w towarzystwie, bez widoku wólczących się od stolika do stolika pijaków. Kategoria lokalu wiąże się u nas z asortymentem napoi alkoholowych. Nie jest to zresztą zjawisko lubelskie; występuje wszędzie. I tu pytanie: czy każda restauracja i kawiarnia musi podawać alkohol? Czy naprawdę nie jest

szkodliwe podawanie alkoholu w restauracji przy „Motelu PZMot”, a więc w miejscu, do którego przyjeżdżają kierowcy?

Nie jestem za prohibicją, czy bardzo drastycznymi ograniczeniami w podawaniu alkoholu, bo wtedy powstają nielegalne wyszynki i zaczyna się pedzenie bimbru. Wydaje mi się jednak, że nie wszędzie alkohol musi być podawany. Poza tym w niejednym miejscu wystarczyłoby wino.

Niewątpliwie też z pozytywnym społecznym byłoby zezwolenie na sprzedaż alkoholu w sklepach i zakładach gastronomicznych dopiero od godz. 15, czyli od chwili, gdy większość ludzi jest już po pracy. Widok ludzi pijących czy pijanych od rana, to specyfika czysto polska. Czy nie warto też wprowadzić, przynajmniej w niektórych zakładach, sprzedaży wódki tylko w kieliszkach 25-gramowych? I to nie tak, że dla dwóch gości kelner nie się za jednym zamachem osiem kieliszków. Niech chodzi po każdej kolejce, może wtedy lepiej opłaci mu się nosić drugie dania?

Polacy statystycznie wcale nie przodują w spożyciu alkoholu, lecz są w czołówce pod względem spożycia napoi wysokoprocentowych: spirytusu i wódki. Inni osiągnęli już wskaźniki dzięki winu, a także piwu, których się raczej nie pije, a popija. Wino wprowadzić też może być problemem, jednakże niskoprocentowe, wytrawne działa inaczej, wywołuje inne reakcje, niż napoje wysokoprocentowe.

Polak po alkoholu mocniej stępnym staje się ożywiony za bardzo, często nieodpowiedzialny, agresywny. Wino popija się stopniowo i działa ono stopniowo. Wódkę bka się haustem i działa ona raptownie. Podobno to drugie jest zdrowsze dla nerek i wątroby, ale rodzi inne oplakane skutki społeczne. Zrozumiano to w Związku Radzieckim, gdzie w ubiegłym roku podwyższono ceny wódki i koniaków. Wino, na tym tle, kosztuje taniej.

W Polsce — to trzeba przyznać — następuje powolna zmiana proporcji. W latach 1933—1937 staty-

rie-Szkodowskiej, Akademia Medycyna i Wydział Szkoły Rolniczej mają szeroki program kontaktów i powiązań z zakładami przemysłowymi i rolniczymi. Konkretnym przejawem tej współpracy są stałe konsultacje między pracownikami naukowymi a przedstawicielami zakładów pracy przy rozwiązywaniu niektórych zagadnień związanych z produkcją przemysłową i rolniczą, naukową organizacją pracy itp. Fabryka Samochodów Ciężarowych w Lublinie i Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku, a także Zakłady Azotowe w Puławach i Kraśnicka Fabryka Wyrobów Metalowych od szeregu lat wspólnie z UMCS podejmują wiele inicjatyw, dając przykład powiązania nauki z praktyką. Rezultatem tego jest uwzględnianie przez Uniwersytet zagadnień technicznych, organizacyjnych, produkcyjnych i ekonomicznych tych zakładów w tematach prac doktorskich i magistralskich.

Dobre rezultaty przynosi również stała współpraca Akademii Medycyny ze współzawodnikami zdrowia zrealizowanymi w Wojewódzkim Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, a zwłaszcza w zakresie powołanego badania stanu zdrowia ludności wiejskiej. Temu samemu celowi służy organizowane co roku obozy naukowo-społeczne, biorą w nich udział profesorowie, docenci, asystenci, asystentki oraz studenci i pracownicy Akademii Medycyny i Instytutu Medycyny Pracy i Higieny Wsi.

Szczególne owoce jest współdziałanie Wyższej Szkoły Rolniczej z wsią lubelską. Niepodobna wymienić tu wszystkich szeroko stosowanych form utrzymywania bliskich kontaktów pracowników naukowych i studentów z inżynierami i organizacjami rolniczymi. Ograniczę się jedynie do przypomnienia niektórych przykładów. Działający przy WSR Ośrodek Konsultacyjny Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Rolnictwa oraz Ośrodek Rozwoju Postępu Technicznego w Rolnictwie mogą poszerzyć się szerokim propagowaniem najnowszych zdobyczy naukowych w dziedzinie rolnictwa, zootechniki i weterynarii. Użytkany postęp w produkcji roślinnej i zwierzęcej Lubelszczyzna w dużej mierze zawdzięcza istnieniu i działalności naukowej Wyższej Szkoły Rolniczej.

Jednym z głównych zadań Towarzystwa jest troska o stałe rozszerzanie bazy materialnej uczelni lubelskich, podnoszenie ich rangi w kraju i za granicą. Dlatego Zarząd czynił starania o tworzenie nowych wydziałów i kierunków studiów oraz patronował każdej inicjatywie w tym względzie. Dzięki dotacjom Prezydium WRN było np. możliwe w 1966 r. uzupełnienie programu założeń inwestycyjnych zespołu klinicznego „B” oraz katedr Wydziału Farmaceutycznego. Z inicjatywy Towarzystwa został opracowany perspektywiczny plan rozbudowy dziedziny uniwersyteckiej przeznaczonej dla UMCS i WSR, jak też dziedziny dla Akademii Medycyny.

Ponad 2 mln zł przekazano na urządzanie i organizację Ogrodu Botanicznego.

Obecnie Towarzystwo czyni starania o wprowadzenie do państwowych planów inwestycyjnych kolejnych obiektów akademickich. Przede wszystkim należy wzboga-

cić miasteczko uniwersyteckie o aulę międzyuczelnianą, która służyłaby całemu środowisku akademickiemu. Zaawansowane są również starania o wybudowanie profilaktycznego pobojarni dla studentów zagrożonych gruźlicą.

Duże możliwości rozwoju i upowszechnienia miałyby nadzwyczaj szeroka organizacja własnej bazy podziemnej. Działają wiele zainteresowania wykazywał Zarząd w uruchomieniu drukarni uniwersyteckiej. Niezależnie od skrypek i stałego wydawania „Annalis — Uniwersytetu Mariae Curie-Szkodowskiej” będzie można drukować ponad 80 arkuszy wydawniczych, a także służyć pozostałym uczelniom. Towarzystwo w tej sytuacji czyni starania — zgodnie z życzeniami rektorów i profesorów wszystkich wyższych uczelni lubelskich — o utworzenie w Lublinie działu naukowego w Wydawnictwie Lubelskim. A skoro już mowa o wydawnictwach — to z przyjemnością wspomnieć, iż staraniem i na zlecenie Towarzystwa w 1964 r. ukazał się album pt. „Dzielnica uniwersytecka w Lublinie” w opracowaniu Zdzisława Kowalskiego, a w sierpniu 1978 r. zarys historii i dokumentów pt. „Towarzystwo Przyjaciół Uniwersytetu Marii Curie-Szkodowskiej, Akademii Medycyny, Wyższej Szkoły Rolniczej w Lublinie 1946—1983”, w opracowaniu Jerzego Dostatniego. Towarzystwo patronowało również przygotowaniu przez Lubelskie Towarzystwo Naukowe dwutomowego dzieła pt. „Lubelszczyzna w 1900-lecie Państwa Polskiego”, jak również monografii Lublina oraz niektórych powiatów: Łukowa, Chełma, Kraśnika i Parczewa.

Nasze Towarzystwo popierało bądź bezpośrednio finansowało wiele innych przejawów życia wyższych uczelni. Przyznawano w różnych okresach czasu wieloletnią dotację na działalność kulturalno-oświatową. Z tej formy pomocy korzystał chór WSR, UMCS jak również oba teatry studenckie: „Dren” i „Gong”. Partycypowano w kosztach niektórych konferencji i sesji naukowych oraz uroczystości jubileuszowych organizowanych przez uczelnie. Niesiono ponadto pomoc finansową studenckim kolejom naukowym; archeologów, językoznawców, filologów, fizyków, geografów, Kołu Studentów Ziemi Rzeszowskiej, Polskemu Towarzystwu Fizycznemu, Komitetowi do spraw absolwentów, Radzie Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich i radom uczelnianym ZSP.

Towarzystwo Przyjaciół UMCS, AM i WSR realizowało swe zadania statutowe pod kierownictwem Zarządu Głównego, gromadząc w ostatnich latach na swoim koncie ponad 15 mln złotych.

Członkami naszego Towarzystwa są wszystkie czołowe zakłady przemysłowe Lubelszczyzny, a także niektóre zakłady pracy województw sąsiednich. Dysponujemy aktywnym społecznym rozumiejącym i doceniającym potrzeby i zadania lubelskich wyższych uczelni.

W tym miejscu pragnę złożyć kierownictwom zakładów pracy, które wspierały naszą działalność materialnie i moralnie, serdeczne podziękowanie. Serdecznie dziękuję także tym wszystkim osobom, które w okresie trzynastu lat pełnienia przeze mnie zaszczytnej funkcji

przez Zarząd Głównego współpracowały ze mną dla dobra i rozwoju szkolnictwa wyższego w Lublinie.

W szczególności pragnę podziękować za współpracę wszystkim członkom Zarządu Głównego, Komisji Rewizyjnej i Sądu Koleżeńskiego, a także Komisji Opiekunów: Organizacyjno-Pracowej, Finansowej i Popularyzacji Towarzystwa. Dziękuję rektorom, profesorom, docentom i innym pracownikom naukowym uczelni wyższych; dziękuję działaczom społecznym, działaczom gospodarczym, rad narodowych, rwiarków młodzieżowych i posłom. Spośród tego grona ludzi, którzy zupełnie bezinteresownie, ofiarnie i z pełnym zaangażowaniem pracowali, realizując zadania statutowe, pragnę wymienić niektóre nazwiska. Oto one: Ryszard Balaban, Tadeusz Bielski, Andrzej Burda, Gabriel Brzek, Jarosław Biliewicz-Stankiewicz, Seweryn Bobiński, Michał Bojarski, Bogdan Brzosko, Marian Chomiak, Wiktor Chojnacki, Józef Czapaki, Jan Dobrzański, Bohdan Dobrzański, Franciszek Dąbal (Rzeszów), Janina Grzelcka, Konstanty Grzebieta, Włodzisław Hubicki, Adam Hadrawa, Edward Janiak, Władysław Jakubowski, Grażyna Jarzab, Aleksander Kierek, Gustaw Krupa, Radziśław Koranecki, Stanisław Krzykała, Władysław Kował (Zamość), Kazimierz Kowalczyk, Józef Krajnik (Rzeszów), Zdzisław Kowalski, Bolesław Kołtaji, Zbigniew Lorkiewicz, Stanisław Lejwoda, Narcyz Lubnicki, Wiesław Moskaluk, Jan Markisz, Bolesław Ostrowski, Leonard Patynski, Stanisław Podkowa, Grzegorz Leopold Seidler, Zbigniew Sobolewski, Mieczysław Stelmach, Józef Szaflik, Marian Stwa (Kraśnik), Aleksander Smolarkiewicz, Stanisław Sochaj, Tadeusz Taras, Józef Tynecki, Franciszek Uhorczak, Henryk Trus, Wiktor Oktaba, Kazimierz Wiazowski, Adam Witłowski, Stefan Ziemiński (prof.), Stefan Ziemiński (red.), Aleksander Zarajczyk (Kielce), Stefan Zmijko (Białystok), Eugeniusz Zgnielec (Zamość), Jan Zgondek i inni.

Składam również specjalne podziękowanie za troskę i okazaną Towarzystwu życzliwość Komitetom Wojewódzkim Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Prezydium Wojewódzkiego Rad Narodowych w Lublinie, Kielcach, Rzeszowie i Białymostku, jak i innym organizacjom politycznym i społecznym, posłom na Sejm Ziemi Lubelskiej, których interwencje zwłaszcza w komisjach sejmowych pomagały załatwić wiele trudnych spraw lubelskiego ośrodka naukowego.

Wspólne zaangażowanie, wspólna praca i wspólne wysiłki państwa i społeczeństwa sprawiły, iż lubelskie wyższe uczelnie stały się chlubą i dumą Lubelszczyzny. Dysponują niezbędną bazą materialną i naukową, która pozwala im łatwiej realizować zadania stojące przed nauką polską w latach 1971—1985. Są one niemalże szerszej precyzuje je VI Zjazd PZPR. Realizacja tych zadań zapewne będzie wymagała ściślejszej integracji lubelskiego ośrodka naukowego. Temu celowi może służyć propozycja połączenia Towarzystwa Przyjaciół Wyższej Szkoły Inżynierskiej z Towarzystwem Przyjaciół UMCS, AM i WSR w jedną organizację. Sprzyjać to może rozszerzeniu współpracy i wzajemnej pomocy czterech lubelskich państwowych wyższych uczelni, zwłaszcza w rozwiązywaniu wspólnych problemów dla całego ośrodka akademickiego.

się u nas synonimem najtańszego alkoholu, do picia byle gdzie i byle jak.

W moim przekonaniu poziom spożycia alkoholu w Polsce jest już na tyle wysoki, że należy przedsięwziąć kroki dla ograniczenia wzrostu. Nie będzie to łatwe. Alkohol ma dla producentów i handlowców niezwykle walory rynkowe. Nie miła nam moda, nie psuje się (poza piwem), nie grozi koniecznością dokonywania przecen, itd. Lecz większym niebezpieczeństwem niż poziom spożycia, jest w Polsce spożycie ów. Pijacki, nie małym porcją, lecz okazjonalnie, ale za to do zwalenia się z nóg, czy choćby silnego zamroczenia. Człowiek, który upija się do nieprzytomności, ma w innych krajach opinię kogoś kłopotliwego, że wychowanego, kogo należy unikać. W Polsce pijak jest narodową świętą krową. Może leć jak długi bez zucia, może wywołać awanturę, może zepsuć wieczór najlepszemu towarzyszowi, a mimo to towarzystwo przyjmie go nazajutrz, będzie z nim znów pić, bo czy można winić człowieka za czynny po pełniony po pijanemu? Prawo już dość dawno uznano nietrzeźwość za okoliczność obciążającą; obyczajowość nadal uznaje ją za łagodzącą.

Niedawno wydano ponowne zarządzenie zabraniające w zakładach pracy urządzania przyjęć, imienin, picia alkoholu. Jest to zarządzenie zapewne trudne do zrozumienia dla obywateli. Nie wiem, czy gdziekolwiek jeszcze takie istnieją. Nie było potrzebne, gdyż nigdzie tak jak u nas nie popijano w pracy. Z alkoholizmem należy walczyć stwarzaniem antybodźców w różnych dziedzinach życia, lecz konieczne są i metody administracyjne. Dopóki nie ma należytych antybodźców, metody administracyjne muszą być odpowiednio ostrzejsze.

Nie wierzcie wszakże w skuteczność jakiegokolwiek działania, jeśli nie będzie ono połączone z osobistą postawą ludzi kierujących życiem społecznym na różnych jego szczeblach. Czy można liczyć, że — dajmy na to — przewodniczący pre-

zydium powiatowej rady narodowej, lubiący sobie popić „do oporu” (choćby mu to się zdarzało tylko od czasu do czasu), będzie zwalczał skutecznie alkoholizm w swoim powiecie? Tu nie chodzi już o jego chęć w tym kierunku, ale i o przykład. Dawniej istniały dobre zwyczaje, że dyrektor firmy wzywał do siebie jednego czy drugiego pracownika i mówił mu: „proszę pana, widuję pana nietrzeźwego w miejscach publicznych, pan psuje dobre imię naszej firmy; jeśli to się powtórzy, będziemy zmuszeni zrezygnować z pana usług”. Tak, oczywiście, może powiedzieć tylko ten szef, którego nikt nie widział pijanego w mieście. Dziś w niejednym wypadku, żeby przypodobać się szefowi, trzeba z nim wspólnie tego zalać pałę. Gdyby dziś każdy szef wzywał do siebie na rozmowę pracownika, który upił się publicznie, czy też był mocno podпиты, na takie rozmowy musieliby chodzić i dyrektorzy, i nauczyciele, i lekarze, i dziennikarze, i instruktorzy, i... no, właściwie ludzie z wszystkich grup zawodowych. Oto jest problem. Kto ma zatem walczyć z alkoholizmem?

Uważam, że człowiek na odpowiednim stanowisku, oprócz kwalifikacji zawodowych i społecznych, musi posiadać odpowiednie kwalifikacje ogólnomoralne. Jest rzeczą niedopuszczalną, by upijał się, dawał zły przykład innym. W wielu krajach, w których alkohol jest tańszy niż u nas, częściej się lampką wina czy kieliszkiem koniaku, zakorkowuje butelkę i chowa do następnej okazji. U nas, gdy się butelkę otwiera, to na ogół po to, by wytrąbić ją do dna i zrobić składkę na następna.

Jeśli Polska ma nadrobić opóźnienia w stosunku do produjących gospodarczo krajów, jeśli ma skutecznie brać udział w wyścigu cywilizacyjnym, dokonywać rewolucji naukowo-technicznej, może tego dokonać tylko na trzeźwo.

Zygmunt Mikulski

W ten wieczór

Najpierw huczku nieco,
gdy onieki leca
i z blisko i z dala,

bo na radość skrzatów
wyszło imprimatur:
że już, że zapołać.

Sta zapołać trzoska,
lecz nie pali gwiazdka
żadna się, o rety!

Naraz wszystkie błysną,
bo guzik nacisnął
anioł — energetyk.

Więc spojrzcie dokoła —
za sprawą anioła
rzecz dziwna i piękna tu będzie,

a który ma w głosie
nie krowę i proszę
niech chwali przyłoży koledzie:

Trzej królowie do Judy bieżeli,
trzej królowie, a nie prezydenci,
więc cieszyli się w niebie anieli
i na nosie diabłom grali święci.

I pasterze chędogo i w skórach,
by czcił Dziecię i granie i domem,
Nawet diabeł, co był asekurant,
Do tej stopy przytoczył ogarek.

Wszelkie światło i wszelko muzyka
płatków szczęścia nawoły na siano,
Pewien cherub z radości aż zniknął,
bo cudownie tam grano, niż grano.

I powietrzne i leśne zwierzęta
też pragnęły tej na instrumentach
dziwnej mowy, co słów ma nie mało.

Ci co w piśmie i ci co prorocy
także w stajni byli tamtej nocy
i mówili, że chciałem się stało.

Więc się spełnia najwyższe uctowanie srebra,
niech z bałni na koleję przyjdzie książę-zebrak,
a do nas od sąsiadów weseli faceci:
cygan na łańcuchu, kosa, która kłapie,
i niedźwiedź, który Straussa wykona na łapie,
gil, co nos tęgiego pokaze bibosza
i ostatnie plotki, co znosi kokosza.

Nie ma dzisiaj nigdzie ani drzwi, ni okien,
bo się rzeczy dzieją wyższe, niż wysokie.

Jadą sanie,
dźwięczą, dźwięczą,
śnieg się lamie
ósmą tęczą,

Para kwitnie
z pysków koniom,
w srebrnym rytmie
dzwonki dzwonią,

Dmie śnieżyca,
wiatr się kuli,
do księżycy
jedzie kuli,

Dymem kurzy
już chacisko,
cel podróży
blisko, blisko.

Miast kamina
stary sagon,
Cud-dziewczyzna
Baba Jaga,

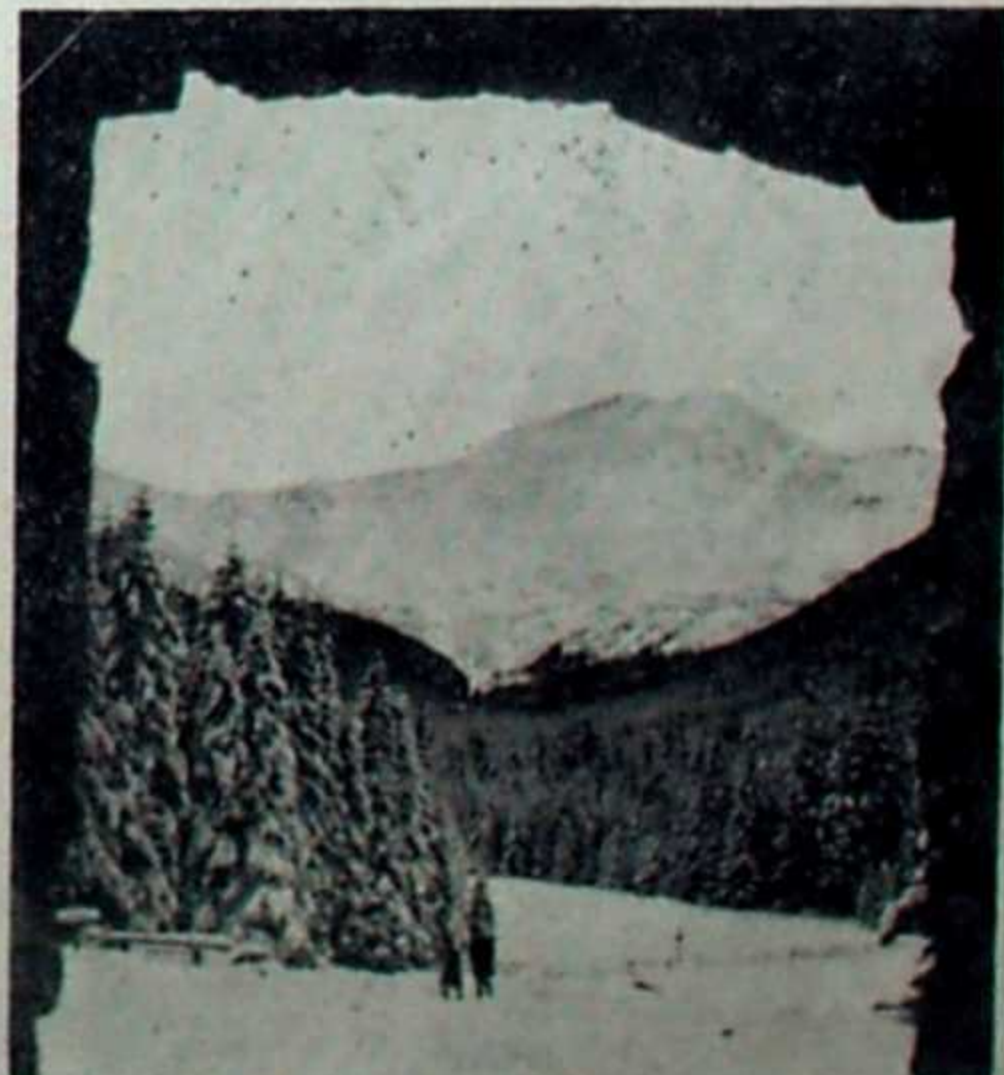
Gęga w dłoni
już butelka,
wypijemy
z pantofelka.

Z nami, z nami,
gdzie? Nikt nie wi,
niech cię szuka
kiep — królewicz.

Dzwoni dzwończyk,
jadą sanie,
gęślo kończy
już gadanie

i już skrzętnie
się wynosi,
A kto chętny,
niech do grosik.

W niebie do anioła arcyanioł w biegu:
Arcypilne. Na ziemię zwiększyć przydział śniegu.



Fot. J. Mendychowski

GROMNIE lubię podróżować pociągami na długich trasach. Erewan dzieli od Moskwy prawie trzy tysiące kilometrów. Dwa dni, dwie noce i jeszcze trochę. Odpowiada mi najzupełniej zadowolenie się w wygodnym przedziale, skąd bez trudu ogląda się niespieszną prezentację roślicznych krajobrazów, a na stacjach barwę zmieniającego się tłumu. Jeśli jest w tym biernym używaniu coś z mini-sybarytizmu, to chyba całkiem niewinnego, bo, daleko, nieczęsto mamy dziś okazję wyleżeć się i wysiedzieć komfortowo tyle godzin z rzędu.

Lecz oto w końcu upragniony Erewan — upragniony, albowiem przez cztery lata nie mogłam sobie darować, że zwiedzając Gruzję nie dotarłam przy sposobności do stolicy sąsiedniej Armenii, ku chwale której wiele mi naopowiadał przyjaciel „Kamenny”, moskiewski poeta i eseista, Igor Postupalski.

A więc tak to wygląda! Rzeczywiście, rzeczywiście...

Erewan od razu objawia się przyjeźdźcy jako miasto stołeczne. Żadnych przydworcowych ruder, ani dojazdu do centrum obok brukami uliczkami peryferyjnymi. Tuż przed dworcem, zdobnym w rząd lekkich arkad, rozległy, tętniący życiem plac, pośrodku którego spławy jeździec pędzi na galopującym rumaku. To pomnik Dawida Sasuncy, bohatera eposu ormiańskiego z X wieku, symbol dzielności narodu.

Niebawem docieramy do drugiego placu, placu Lenina. Tym razem idealnie prawidłową kragłość zaznaczają cztery okazałe gmachy: rząd, Poczty i Telegrafu, Muzeum Historyczne i hotel Inturystru „Armenia” (tu zamieszkałam). Różnią się między sobą szczegółami architektonicznymi, ale jakże doskonale harmonizują.

W ogóle im bardziej z biegiem godzin rozglądam się po mieście, tym więcej uderza mnie harmonia jego kształtów i szlachetny koloryt. Należy ono do kategorii miast, w których na pewno miło mieszkać i do których ciągle by się wracało. Określając miasto jak człowieka rzec by można, że Erewan jest dostojny, a zarazem przyjazny ludziom. Jest nowoczesny, lecz ma własne narodowe, ormiańskie oblicze, niezatarte szablonową nowoczesnością. Domy tu niezbyt wysokie, nie pozujące na monumentalność, jednak solidne, takie, na jakie pozwala niespokojna ziemia Armenii, i z tej też ziemi są one dosłownie zrodzone — ciało z ciała — boć zbudowane z jej lekkiego, porowatego kamienia, tufu. I właśnie tuf, nie wymagający tynku, nadaje miastu naturalny koloryt vieux rose, podziwiany przez zaskoczono przybyzsa.



Matenadaran — Instytut Dawnych Rękopisów w Erewaniu

Przymierze wieków

Maria Bechcyc-Rudnicka

Dominujące „róże” przecina tu i ówdzie nie mniej wesoła zieleń parków, skwerów i bulwarów, z kolei rozjaśnianych błękitem sadzawek czy kryształową przejrzystością fontann i niezliczonych wodotrysków-fródek, przy których chciwie gaszą pragnienie zgrzani przechodnie (strefa to przecie subtropikalna).

Wiele wieków kultury narodowej złożyło się na dobry smak, z jakim wybitny architekt współczesny,

Aleksander Tamanian, opracował plan odbudowy, przebudowy i rozbudowy, któremu się zawdzięcza obecny piękny Erewan. Przed niepełną dwudziestą laty na wzgórzu Arin-Berd, znajdującym się w obrębie miasta, odkryto dwa osobliwe kamienie bazaltowe. Na nich urarcki wódz Argiszti podawał, przy pomocy pisma klinowego, do pozostawionej władzy, iż w tym to miejscu zbudował potężny gród Erebuni gwoili odstraszenia wrogów

kraju. Napis pochodził z roku 782 przed naszą erą. Na innym znówu wzgórzu, zwanym Karmir-blur, bo całe jest czerwone, kolejny car urarcki, Rusa, złożył nieco później miasto Tejszebaini, które zglądziło w VI w. przed n.e. Scytowie. A było to swego czasu wielkie centrum administracyjne państwa Urartu (którego Ormianie są spadkobiercami) i w trakcie prac wykopaliskowych, prowadzonych na Karmir-blurze — zaczynając od lat

trzydziestych naszego stulecia, wydobyto z rumowisk przeniesione przed wiekami z Erebuni przedmioty ze złota, srebra i brązu, świadczące o wysokim kunszcie ich twórców.

W ubiegłym roku, po ukoniecznieniu długoletnich robót wykopaliskowych, jak gdyby na cześć ich — przegrodzono bystry nurt rzeki Razdan zaporą. W ten sposób powstało obok prestarzej twierdzy nowoczesne „morze śródziemne”, otoczone sadami Morze Erewańskie, do którego też wpadają wody urarckiego kanału cara Rusy. Tak oto nowe sąsiaduje w Armenii z prastarym.

Przyjazd mój do Erewania zawdzięczałam staraniom Zarządu Głównego ZLP i umowie o wymianę kulturalną z ZSRR. Totem pierwszą wizytę złożyłam Związkowi Pisarzy Armenii. Na spotkanie podążył jednocześnie dziennikarz budapeszteński, dr György Gellert. Honorowy dom w siedzibie Związku czynili znani pisarze: historyk literatury Edward Topczian, pierwszy sekretarz ZPA, poeci — Raczysa Owanesian i Arszaluj Sarolian oraz dramaturdzy — Zora Arutunian, Lewon Karagezjan i Grigor Ter-Grigorian, przewodniczący Towarzystwa Przyjaźni Ormiańsko-Polskiej. Czas szybko upłynął na wymianie wyrazów sympatii tudzież ustaleniu przybliżonego harmonogramu zwiedzania, a właściwie dwóch indywidualnych harmonogramów — dla kol. Gellerta i dla mnie.

Tegoż po południu przystąpiłam do dzieła, zaczynając od dwóch muzeów biograficznych znakomitych ormiańskich klasyków poezji.

Zawsze wzruszają mnie bardzo domy czy domki-muzea wielkich pisarzy. U nas — zwłaszcza należycowska Chata Zeromskiego, w Leningradzie — Dom-Muzeum Puszkina, gdzie zmarł po pojedynku, w Moskwie — dom-muzeum „doktora medycyny A. P. Czechowa”, jego też willa w Jalcie... A więc i teraz, przyszedł mi, z przejęciem oglądać Dom-Muzeum Owanesa Tumaniana, wielbionego przez naród autora poematu „Anusz”, którego poezja, jak mogłam się później przekonać, cytowana jest na wielu budynkach zabytkowych Armenii. Nie mniejsze zainteresowanie budzą w zwiedzającym ekspozycje Muzeum Awetika Isaakiana, poety, wydał mi się, o talencie raczej lirycznym, choć spod jego pióra wyszedł sławny poemat „Abdul Ala Maari”. Pięszę o nim dzisiejszy krytyk, że naród śpiewa jego pieśni jak swoje, a Blok wołał z entuzjazmem: „Isaakian to poeta wysokiej klasy. Kto wie, czy znajdzie się obecnie w całej Europie drugi taki świeży, szczyry talent”.

Musiłam dzielić swój czas pomiędzy Erewan a jego bliższe bądź dalsze okolice. Tedy dopiero po kil-

Rodzina królewska - 60 pensów

Dokończenie ze str. 1

Na Trafalgar Square, gdzie pod Nelsonem, na tle fontann, lub wśród gołębi (także jedzą z ręki) fotografują się wszyscy, Joan wskazuje na grupę turystów: „Napewno Amerykanie” — informuje z nieukrywaną awersją. I po chwili dodaje tonem przygany: „Fotografują...”. Potem usiłuje mi gwałtownie wytłumaczyć, że Amerykanie wykupują w Londynie... Na Boga, cóż tu mogą oni wykupić? Poza samą Anglią — oczywiście.

sobota

St. James Park to coś w rodzaju olbrzymiego skweru obrońniętego miastem. Więcej tu uliczek i mniej trawników, niż w innych parkach londyńskich. Idę szybko alejką wzdłuż wody i nagle uświadamiam sobie, że te, stojące długim szeregiem krzesła, są mi skądś znajome. Ale skąd?

Wyspę łąk porzucono na palców stopy, Uciekam tu opodal od wrącego gminu; Lud woli pić dym węgli i zaplądać w sklepy; A ten ogród, czarowna sielanka Londynu, Jak ustęp złoty w nudnym ginie poemacie...

Dozorca:
Panie mój! pens za krzesło!...

To przecież „Kordian”, akt II: *Jane's Park w Londynie — wieczór... Kordyan siedzi pod drzewem — wokół łąki zielone — dalej sadzawka ocieniona drzewami, trzody — dokola parku pałace i dwie wieże Westminsteru.*

Po przeciwnej stronie, szeroka jeźdźnia The Mall od Whitehall ku Buckingham Palace, kłapie na dorodnych konikach czerwono-czarny oddział Horse Guards. Poprzedza go i zamyka patrol policji, strzegąc, by nikt wojakom Elżbiety II nie uczynił krzywdy. O dwunastej paradna zmiana warty. Przed pałacem, wzdłuż żelaznych sztachet z pozłacanymi szpiculcami, na stopniach — przypominającego tort dla olbrzymów — pomnika królowej Wiktorii, na jakichś kamiennych łwach i ozdobach, na wszystkich chodnikach i trótarzach tysiące zbitych w gęsty tłum ludzi. Anglicy, Niemcy, Amerykanie, Francuzi, Hindusi, Japończycy, Włosi — wlecy i mali, blali, czarni i żółci, dorośli i dzieci, atlas antropologiczny, oba planigłoby — wszystko gapi się w oczekiwaniu na musztrę kilkudziesięciu chłopców opiętych w czerwone spencery i obutych w długie, lakierowane buty. Pstrykają aparaty, błyskają flesze, szumia ręczne kamery.

Główna brama zamknięta na twardo i zatarasowana przez zastęp 7-mioletnich skautów w czerwonych krawatach. Patrują im dwie „druhny” — rówieśniczki Baden-Powell'a. Trzech bobby radzi sobie z kilkuset ludźmi usiłującymi roz-

pliszczyć skaućków na kratach bramy. Decydującą rolę odgrywa tu koń, wyjątkowy spryciarz i z temperamentu Anglik. Jest kamienne spokojny, gdy go ludziska głaszczą, i poklepują, ale zwraca uwagę na dzieciaki szwendające mu się między kopytami, pozwala się ciągnąć za osłon i grzywę, ale niech ktoś spróbuje zejść z trotuaru na jezdnię! Zaraz zaczyna się parcie na przemian to piersią to zadem na tłum. I tłum ustępuje.

Gwardziści w historycznych mundurach, lakierowanych buciach za kolana, jakże zwykłym oglądać tylko na obrączkach z czasów napoleońskich, i w kaskach z opadającymi kitami (białe lub niebieskie) zostali uzbrojeni w nowoczesne, wielostrzałowe karabiny automatyczne. Tak wyposażeni przez Boga i królową odprawiają swój wojskowy balet, angielską pyrrichę, pod warkliwe głosy szekającej komendy i raz po raz odywającą się orkiestrę, w której dostrzegam paru chłopców w okularach. Takie mundury i okulary to już czysty surrealizm.

Jeszcze trochę krzyku, kilku apoplektycznie pasowych oficerów, koń mocznie napiera, a skauci wycofują się spod bramy. Gwardia opuszcza Buckingham. Dwie Francuzki przedzierają się przez mnie z obłędem w oczach i „Kodakami” w rękę, a jakże dostojny pan, nieznaną narodowości, nieomal opiera na mojej głowie kamerę. Na szczęście 8-milimetrowa. Tupot kroków, podniecenie tłumy, wyciągnięte głowy i czerwono odziana orkiestra przemaszerowuje dwa metry przede mną. I po wszystkim, 3-6 minut, a królowa Wiktorija będzie dalej spokojnie zaglądać w okna swej pra-prawnuczki. Nie nie zobaczy, bowiem Elżbieta II spokojnie pojechała na weekend do Windsoru, gdzie przyobłedał ją zastrzelony pewien tajemniczy zamachowiec, o czym lojalnie uprzedził listownie prasę. Każdy dba tu o „publicy-ty”.

wtorek

Parę kroków od Baker Street (ulicy Sherlocka Holmesa) na Marylebone Road — Madame Tussaud: słynna galeria figur woskowych. Za jedno 60 pensów można obejrzeć „Jak żywy” aktualny gabinet brytyjski, rodzinę królewską, Oswalda, zakurzonego Marata w wannie, cesarza Heile Selasie i marszałka Tite, Goldę Meir i króla Hussaina, Gagarina i Glenna. Można zobaczyć jeszcze wiele innych rzeczy, ale nie

warto. Warto natomiast wpaść do sali „The battle of Britain”. Nie po to, rzecz prosta, by szukać polskich śladów. O nas w tym mieście dawno zapomniano. Jest to sala, która uczy jak przybliżyć współczesnemu społeczeństwu własną, heroiczną przeszłość. Przybliżyć tak, by nie była li tylko zakurzonym ekspozytem, pomocą szkolną do nauki o II wojnie światowej, lecz czymś żywym, wiecznie aktualnym i angażującym.

Sala jest okrągła i eterna. Wechodzi się do niej przez coś w rodzaju tunelu do publicznego schronu przeciwlotniczego. Worki, stalowe trągary, falista blacha. Dalej, w środku, rozpięty Spitfire — bohater zmagania, dziś śmieśny, cheralawy, bezbrony i trochę starowiecki. Wokół, na tonących w mroku ścianach, rysuje się sylwetka pionącego żywym ogniem Londynu. Rok 1940. Na trzech ekranach równocześnie co 20 minut wyświetlane są zdjęcia-dokumenty z tamtych dni. Nie filmy, ale właśnie przedroza czarno-białe i kolorowe. Ludzie, miasto, gazety, zbombardowane domy, lotnie, żołnierze, kobiety, kolejki, ranni, nędza, głód i samoloty, samoloty... Do tego: piosenki z wojny, przemówienia Churchilla i Hitlera, autentyczne rozmowy „ziemi” z pilotami myśliwcowi, oszalałymi warkot silników, rozkazy, gwizd bomb, szczerotliwe dysputy cekaemów, ochryple syreny. Na każdym ekranie co innego. Informacja za informacją, zdarzenie za zdarzeniem, fakt za faktem. Chyba z polowa zdjęć to materiały pochodzące z kamer wmontowanych w samoloty. Reszta też autentyki. Wreszcie lista straci, ogromny wielobarwny Union Jack i koniec. Przy wyjściu możemy zajrzeć do kabiny bombardiera Heinkla i opuścić salę, zyczliwie żegnani przez stojących u wyjścia panów: Winstona Churchilla i Adolfa Hitlera. Obu z wosku „made Madame Tussaud”.

A może warto by tak i u nas Nie Churchilla z Hitlerem, ale taki gabinet np. obłędni Warszawy? Z dźwiękiem, światłem i dokumentem. Współcześnie i bez kurzu...?

piątek

Piccadilly Circus nie jest placem wielkim, ale jest najweselszym punktem Londynu. Nieco w dół do stajny Trafalgar Square z admirałem Nelsonem na kolosalnym słupie, a potem prosto, jak strzelił, przez Whitehall, koło koszar konnej

gwardii — Parlament. Piccadilly nie ma nic wspólnego z Parlamentem, natomiast wiele łączy je z zabawą. Przecież to już Soho — królestwo samego Mackie Majchra z „Opery za trzy grosze”. Neony zmieniają barwę, ruchome reklamy palą się całą dobę. Stawne i pocztówek kilkupiętrowe ogłoszenie Coca-Coli to bielą to czerwienią ożywa co pół minuty, po przeciwnej stronie pienia się i mydli tysiącami żarówek jakis szampoon.

Ważlutką uliczką Gt. Windmill St. gdzie rozsiadły się dziesiątki lokali strip-teasowych (non-stop!) i kilka sex-shop'ów, wkraczamy na teren bardziej podejrzane. Można tu kupić zarówno funt bananów na pobliskim targu ulicznym, taczkę pozabawionych smaku i woni truskawek, trochę kosmetyków, bieliznę, jak pełen komplet wydawnictw bogato ilustrowanych, o tym jak to pan z panią... pan z panem... pani z panią... każdy sam, wreszcie wszyscy razem i czasem jeszcze z udziałem domowego inwentarza. Poza tym idzie handelek środkami antykonceptyjnymi (dla panów bardzo fantazyjne i kolorowe wyroby z tego gatunku) i różnymi ulensylami użyciu seksualnego. Rozsiadłe kina proponują filmy o lesbijskich i pederastach, masochistach i sadystach. Wszystkie oznaczone przez cenzurę literą X, wszystkie po 60 pensów, wszystkie z przereźdzonymi widowniami. No, a poza tym różne gabinety masażu i niezliczone sauny z damską obsługą. Jeżeli kto woli bardziej zindywidualizowane przygody, może wybrać sobie w tym celu partnerkę z obfitych list propozycji (adres, telefon) wystawianych na specjalnych tablicach w poniekąd-rych sklepach. Wprost na wystawie.

Duchesse na Catherine Street reklamuje kolejny spektakl gołoci i seksu: „Dirty can be beautiful”, co oznacza, że brudne także może być pięknym. W Londynie najczystsze jest powietrze. Trudniej smog przegłany z atmosfery wżari się w życie codzienne. Nie tylko na Soho.

niedziela

Nad Serpentine — najdłuższym jeziorem w Hyde Parku — tkwią setki rybaków i spokojnie łowią mikroskopijne rybki. Cud, że tu cokolwiek pływa. Nieco dalej, na bezbrzeżnym trawniku, kilkunastu panów od 15 do 80 lat, puszcza

ku dniach udało mi się przeczekać poranek na zapoznaniu się — nieestetycznie powierzone — ze słynnym Matenadaranem.

Co to jest Matenadaran? Patetycznie mówiąc, to świątynia piśmiennictwa staroarmeńskiego, to wielowiekowe ognisko wiary Armenii w niespożyte sily oraz wartości swego narodu, ognisko nadziei na jego trwałą niepodległość i wolność. A traktując sprawę rzeczowo, co obcemu obserwatorowi najbardziej przystoi, trzeba wyjaśnić, iż staroarmeński wyraz „matenadaran” znaczy po prostu — biblioteka, skarbiec rękopisów.

Matenadaran powstał w V w. w Eczmiadzinu, przy rezydencji patriarchy Armenii. W r. 1920 skarbiec upaństwowiono, a w 1939 przeniesiono do Erewania, gdzie legł u podstaw zbiorów Instytutu Dawnych Rękopisów im. Mesropa Masztocza, uczonego i filozofa, twórcy alfabetu armeńskiego (r. 405!). Obecnie instytut ów, którego sam gmach z daleka budzi szacunek, jest najważniejszą placówką zajmującą się badaniem i konserwacją starego piśmiennictwa armeńskiego. Aktualne zbiory Matenadaranu liczą ponad dziesięć tysięcy rękopisów całych i cztery tysiące fragmentów — w języku armeńskim oraz przeszło sto tysięcy pozycji pochodzących z archiwów różnych krajów — w językach: gruzińskim, greckim, arabskim, tureckim, hebrajskim, perskim, syryjskim, etiopskim, staro-cerkiewnosłowiańskim, łacińskim itd.

Na skarby Matenadaranu złożyły się przeważnie rękopisy ze specjalnych skryptyoriów, które w średnio-wiecznej Armenii istniały przy uniwersytetach i znaczniejszych klasztorach. Dzięki mistrzostwu ich kalligrafów, przepisyjących z mozołem dzieła uczonych i pisarzy, zachowało się wiele z nich do naszych czasów. Poza tymi, co zgromadzone w Matenadaranie, jeszcze około piętnastu tysięcy rękopisów armeńskich zawędrowało do muzeów i bibliotek Jeruzolimy, Bejrutu, Konstantynopola, Wenecji, Wiednia, Paryża, Londynu.

Ormianie strzegły tych swoich zabytków kulturalnych przed kolejnymi najeźdźcami — jak bronili. Gdy o tym myślę, przychodzi mi na pamięć wstrząsające opowiadanie Alfonsa Daudeta o ostatniej w roku 1870 lekcji nauczyciela alzackiego, który mówi do rozdzokazywanych na gramatyce uczniów: „Pamiętajcie, że dopóki naród zachowuje swoją mowę, to tak jakby trzymał w ręku klucz od swego więzienia”.

A zabytki architektury? Na obecnym obszarze Armenii jest tych najwybitniejszych ponad cztery tysiące. Zobaczyłam zaledwie kilka, taka miała być tym razem moja pars pro toto.

olbrzymie latawie. Sądząc po głosach oberwatorów i wymianie zdań samych zainteresowanych, sztuka to szczególna. Płóciennę latawie wiszą w powietrzu jak drapieżne ptaki, uwiązane do długich, nylonowych strun odwianych z solidnych kółek. O 200 metrów stąd (ileż to będzie jardów?) jakiś młodzian popisuje się piskliwym koncertem na kobzie. Niech Bóg ma w opiece Szkotów! Na Speakers Corner brodaty pan rozdiera szaty nad losem Izraela, a inny usiłuje pięć osobom wytłumaczyć, że gospodarka kredytowa jest bezsensowna. Sądząc po stanie jego odzieży sam dawno utracił kredyt. Włochaty fakir demonstruje święte księgi i poleca własnego boga, zaś kołosalny Murzyn usiłuje nas zapoznać z „Czarnymi Panterami”. Zadanie raczej trudne z uwagi na przewagę białych. Ot, zwykła niedziela...

Jerzy mieszka w Londynie ponad ćwierć wieku i już pęka. Nie może dłużej, wraca do kraju. Wszystko przestało mu się podobać. „Np. koty — mówi — czy to są w ogóle koty?” Na wygrzanych słońcem przymurkach, na wystawach, w oknach mieszkań — wszędzie leżą opasłe, rude, półtora raza większe od naszych, angielskie koty. „Pewien mój znajomy — ciągnie Jerzy — przez te koty wrócił do Polski. A było to tak: przyjaciele zaprosili go na wieś, na polowanie. Cały dzień latali z bronią, kropili do kaczek i wieczorem wrócili z zająznaną do domu. On klapnął przed kominkiem, Angliki wzięli się do pi-traszenia drinków. Wyciągnięty na dywan spał kot. Po chwili wlażył pies. Chłop pomyślał: zaraz się zacznie, a tu pies spokojnie kładzie się obok kota. „Już to mi się nie podobalo” — opowiadał później. Ale to była jeszcze betka, po kwadransie pies wstał, przeciągnął się i zaczął kota... no, podrywać. Pies — kota, rozumiesz?”. Jerzy zaperył się. „Chłop zrozumiał, że w takim kraju nie ma nic do roboty i postanowił wracać”.

Jerzy szedł spokojnie trawnikiem, ja dreptałem obok, myśląc, że jednak dziwne są te sprawy Polaków.

Andrzej Hausbrandt

ZKOLEJNEGO pobytu w Bagdadzie wrócił mgr inż. arch. Romuald Dylewski, kierownik Miejskiej Pracowni Urbanistycznej w Lublinie. Jeden z tych, którzy swoją pracą roz-sławiają nasz kraj na innych kontynentach. Międzynarodowa kariera inż. Dylewskiego zaczęła się w 1960 roku, gdy na kilkanaście miesięcy wyjechał do Londynu. Tam był członkiem zespołu, opracowującego plan urbanistyczny nowej dzielnicy tego miasta, która miała powstać — a do dzisiaj już powstała — po niemal całkowitym wyburzeniu starej zabudowy w rejonie slumsów East Endu. Potem przez kilka lat był przedstawicielem SARP-u w sekcji urbanistycznej Międzynarodowej Unii Architektów i z tej okazji miał możliwość dość częstych wyjazdów do różnych państw, co łączyło się z dyskusja-

mie jest bardzo łatwo. Po prostu wybiera się dowolny kawałek ziemi i buduje własną sarifa. Na ogół nikt przeciw temu nie protestuje, nawet właściciel tej ziemi, państwo czy ktoś indywidualny. Tak się przyjęło i koniec, gdy trzeba, sarifę się burzy i zaraz buduje drugą na innym miejscu.

— A co to jest sarifa?
— To bardzo prymitywny, wywodzący się z niezwykle dawnej tradycji wiejski domek jednorodzinny z gliny, ale przeszedł on również do budownictwa miejskiego. Otóż rodzina po wybraniu sobie odpowiedniej kawałka ziemi buduje taki domek we własnym zakresie. Przeważnie to budowa. Zgarnia się trochę gliny — a jest ona wszędzie — zrasza wodą i potem ojciec rodziny siada okrzakiem na tej kupce i ugniata ją własnym siedzeniem. Od tyłu podrzuca się dalsze partie mokrej gliny, a ojciec, wciąż ją ugni-

To również wielki skansen ludzi i obyczajów, tradycji rzemiosła i sztuki ludowej, ubioru i zachowania się. To już nie takie częste nawet w krajach arabskich, jeżeli naturalnie nie liczyć tego, co utrzymuje się na pokaz dla cudzoziemców. W Iraku, a przede wszystkim w Bagdadzie, ten skansen nie tylko przetrwał, jest wciąż naturalnym wyrazem życia ludności. Jak to będzie oddziaływało na nowoczesną kulturę i cywilizację, lub odwrotnie — jakie zmiany wprowadzi do tradycji nowoczesna cywilizacja i kultura, nikt nie może dzisiaj powiedzieć. I właśnie w tej dziedzinie natrafialiśmy na największe trudności. Trzeba było pogodzić tradycję z nowoczesnością, przyzwyczajenia z przewidywanymi zmianami, nowoczesność budownictwa z dodatkowym wyposażeniem klimatyzacyjnym — z możliwością do przyjęcia kosztami. Kraj ludzi jeszcze

mniej towarów importowanych niż przed kilku laty. Buduje się dużo, głównie w Bagdadzie i na północy, na terenie dawnych walców i Kurdami. Widoczne też są wysiłki, zmierzające do podniesienia ogólnej dyscypliny społecznej. Widac to chociażby w ruchu ulicznym. Gdy byłem tam pierwszy raz, na ulicach Bagdadu nie obowiązywał żaden kodeks drogowy, każdy jeździł i chodził, jak chciał. Chociaż trzeba powiedzieć, że mimo to wypadków było stosunkowo mało. A jeżeli już był, to zawsze za winnego był uważany ten, którego samochód miał uszkodzoną miazgę — traktowano to jako niezbyt dowód, że to on najechał. Dziś w znacznej części Bagdadu są pasy ruchu, zebrań itd. Policja bardzo ostro pilnuje przestrzegania przepisów. Za nieprawidłowe przejeżdżenie płaci się 1—5 dinarów czyli 3—15 dolarów, co w tamtejszych warunkach jest karą niezwykle dotkliwą, często stanowiąc trzecią czy czwartą część całomiesięcznego zarobku.

— Sława wiszących ogrodów Semiramidy przetrwała już trzy tysiące lat. To było całkiem blisko dzisiejszego Bagdadu, który leży niemal w samym środku Mezopotamii. Jak jest dzisiaj z zielenią w tym legendarnym kraju?

— Mezopotamia to jeden z najżyźniejszych obszarów świata — pod warunkiem, że będzie dobrze nawodniony. Ale dzisiaj Bagdad leży na półpustyni, stąd zieleni mało i w samym mieście i w jego okolicach. W XIII wieku Irak przeszedł straszliwy najazd Mongołów. W samym Bagdadzie miano wtedy w ciągu tygodnia wyrząć 800 tys. ludzi. Do dziś opowiadają, że Tygrys był wtedy czerwono-czarny — czerwony od krwi i czarny od atramentu dzieł, które wyrzucono do rzeki z niezliczonych a bogatych bibliotek, tego ówczesnego centrum kultury muzułmańskiej i światowej. Najazd doprowadził również do zniszczenia bardzo rozbudowanego od tysięcy lat systemu irygacyjnego, czego do dzisiaj nie udało się odrobić. Ziemia zamieniła się w step, który nie jest łatwo zagospodarować. Z głębi ziemi zaczęła wydobywać się sól, która przeciętnie zabija roślinność. Jeszcze dzisiaj w okolicach stolicy można zobaczyć pola jakby pokryte śniegiem — jest to lśniąca w słońcu sól. Od czasu tego najazdu Bagdad na wiele wieków stał się małym, prowincjonalnym miastem i dopiero od 50 lat jest stolicą niepodległego Iraku.

— Dzisiejszy Irak leży na ziemiach, które stały się kolebką kultury całej ludzkości, żeby wspomnieć tylko Babilon. Czy mimo niskiej przeciętnej stopy życiowej i dużego analfabetyzmu ludność tego kraju ma świadomość tej historii?
— Niewątpliwie tak. Nawet więcej: nie tylko świadomość, ale i dumę z tej wielkiej przeszłości jest zadziwiająco żywota. Wystąpiło to dopiero po pierwszej wojnie światowej, gdy Irak odzyskał wreszcie niepodległość. Teraz jest siłą napędową odbudowy kraju. Chyba niewiele przesadzę szukając tu pewnej analogii z naszymi rodakami na emigracji, którzy w wielu przypadkach wciąż jeszcze żyją wspomnieniami z okresu międzywojennego. Chociaż tu chodzi o dziesiątki lat, tam zaś o tysiące.

— Czy zanosi się na dalsze pańskie wyjazdy do Bagdadu?

— Nasz pierwszy plan tak się spodobał tamtejszym władzom, że powierzyły nam opracowanie następnego, uaktualnionego i już bardziej szczegółowego. Z osobistych względów nie przyjąłem propozycji ponownego przeniesienia się do Bagdadu, ale zostałem konsultantem i będę tam wyjeżdżał kilka razy w ciągu 2 najbliższych lat. To wcale nie jest tak daleko, jak się wydaje. Nie licząc przeladki i nocowania w Bejrucie, podróż samolotem trwa trzy i pół godziny. Niemal tyle, co pospieszonym do Warszawy.

— Jeszcze dwa pytania natury osobistej. Jak to się stało, że stałym miejscem pańskiej pracy jest Lublin?

— Urodziłem się w Łęcznej, gimnazjum ukończyłem w Lublinie. Jako żołnierz Ludowego Wojska Polskiego straciłem rękę w czasie wojny. Studiowałem w Krakowie najpierw na ASP, potem na Politechnice. Do Lublina zostałem przeniesiony z Biura Urbanistycznego Warszawy czasowo, chodziło wówczas o opracowanie planu ogólnego Lublina.

— Pamiętam, plan ten otrzymał nagrodę ówczesnego Komitetu Urbanistyki i Architektury przy Radzie Ministrów. Teraz drugie pytanie. Proszę się nie czuć urażonym, ale i ja i wielu pana znajomych zastanawiamy się, czy po utracie prawnej ręki nie miał pan oporów wewnętrznych i przeszkód zewnętrznych, wybierając zawód architekta i urbanisty? Przecież trzeba dużo rysować...

— Pytano mnie o to już na studiach, profesorowie nawet radzili, abym zmienił kierunek studiów. Ale ja odpowiadałem sobie i innym: architekt pracuje głową nie rękami, chodzi o koncepcje a nie o rysunek.

Rozmawiał:
Jerzy Dostatni

Kamena str. 9

Nasi w Bagdadzie

mi z najbardziej znanymi w świecie architektami i urbanistami, a równocześnie zezwalało na bezpośrednie zapoznanie się z najnowszymi realizacjami w tych dziedzinach. Potem były jeszcze roczne wykłady o urbanistyce na uniwersytecie w Edynburgu i wreszcie bardziej już długotrwała praca w Iraku.

Rozmawiamy w więcej niż skromnym pokoju kierownika: dwa dość odrapane biurka, stół kreślarski, trzy krzesła, krzywy wiezaki i brudne ściany, gęsto upstrzone resztkami porzucanych gwoździ. Na jednej ścianie reprodukcja panoramy Lublina z XVII wieku, na przeciw makieta przyszłościowego centrum tego samego Lublina. Inżynier zdaje się nie słyszeć mojej cierpkiej uwagi o wyglądzie gabinetów kierowników w Ratuszu i tu, na drugim końcu Krakowskiego, więc i ja zmieniam temat.

— Jak to się stało, że właśnie Polaków zaproszono do Bagdadu?

— Irak nie posiada jeszcze własnej, dostatecznie silnej kadry architektów, a zwłaszcza urbanistów. Ale władze tamtejszej stolicy już dawno zdały sobie sprawę, że gwałtowny rozwój miasta wymaga szybkiego stworzenia planu ogólnego, a następnie planów szczegółowych poszczególnych dzielnic. Muszę dodać, że potrzeba opracowania takich planów wyprzedzała tam nie tyle z przepisów, które są w tej dziedzinie bardzo ogólnikowe i raczej nie obligatoryjne, ile ze zrozumienia roli, jaką plan rzeczywistości odgrywa.

— Zupełnie inaczej niż u nas. Ustawodawstwo mamy w tej dziedzinie niemal wzorowe, ale cóż z tego, jeżeli potem z wykonaniem takich planów jest znacznie gorzej. Sam pan wie, że ta sama władza, która najpierw zatwierdza plan, potem każe architektowi wydawać decyzje sprzeczne z tym planem, lub nawet sama je podejmuje. A gdy architekt czy urbanista przeciwstawia się, ma różne kłopoty.

— Hm... Mamy mówić przeciwko Bagdadzie. Więc przed kilkunastu laty tamtejsze władze miejskie powierzyły wykonanie pierwszego planu pewnej firmie brytyjskiej, następnie głośnej firmie greckiej Doxiadesa. W roku 1965, gdy chodziło o opracowanie trzeciego z kolei planu, ogłoszono przetarg międzynarodowy, który wygrała Polska. W kilkunastuosobowej ekipie polskiej znalazłem się i ja, będąc tam przez dwa lata kierownikiem pracowni. Nasz plan został przyjęty z uznaniem i gdy ostatnio przyglądałem się, jak jest wykonywany, byłem mile zaskoczony.

— Już przed tysiącem lat Bagdad miał około 2 mln ludności. Jak jest dzisiaj?

— W ciągu ostatnich 30 lat liczba ludności zwiększyła się siedmiokrotnie — z 300 tys. do około 2 mln, a powierzchnia miasta ponad 40 razy do 400 km kwadr. Prognozy na rok 1990 przewidują 4—6 mln ludności. Ten niezwykle szybki wzrost miasta stwarza autorom planów zrozumiałe trudności.

— Jakże są, zdaniem pana, powody tak szalonego tempa rozwoju?
— Chyba dwa. Pierwszy to niezwykle wysoki przyrost naturalny, występujący zresztą w całym kraju, przynajmniej pięć razy wyższy niż w Europie. Przeciętna rodzina to 7—10 osób. Drugim powodem jest migracja ze wsi. Stolica zawsze stanowi magnes, chociaż w Bagdadzie rozwój przemysłu i usług nie nadąża za rozwojem ludnościowym.

— Taki nie kontrolowany napływ ludzi można chyba powstrzymać, chociażby częściowo, środkami administracyjnymi.

— To w tamtych warunkach jest niemożliwe. A osiedlić się w Bagda-

ając siedzeniem, posuwa się do tyłu. W ten sposób powstaje kwadratowy lub prostokątny wał, potem na nim identycznie robi się drugą i trzecią warstwę aż do wysokości około 2 metrów. W jednym rogu tak ogrodzonej działki buduje się w ten sam sposób dwie dodatkowe ścianki, z gąlezi układa się dach i sarifa gotowa. Deszcz, który pada tu dwa czy trzy razy w roku, nikomu nie przeszkadza. Odwrotnie — ludzie wychodzą na dwór, aby zmoknąć, bo to bardzo rzadka przyjemność.

— Ale to chyba margines budowlany?

— Wcale nie margines. Jeden z poprzednich rządów irackich w krótkim czasie w samym Bagdadzie przeniósł z sarif do domów mieszkalnych pół miliona ludzi, tworząc tym samym nową, gigantyczną dzielnicę. Ale nowe sarify wciąż powstają i chyba długo jeszcze będą powstawały. Lojalnie chciałbym dodać, że latem, gdy temperatura w cieniu dochodzi do 50 stopni C, mieszkanie w sarifie jest przyjemniejsze niż w jakimkolwiek innym domu pozbawionym klimatyzacji. W blokach mieszka tylko około 10 proc. mieszkańców Bagdadu. Znaczna większość w domkach parterowych lub najwyżej jednopiętrowych. Taki jednopiętrowy domek posiada dwa mieszkania. Na parterze letnie ze stosunkowo grubymi ścianami i małymi oknami — to ucieczka przed słońcem. Piętro jest mieszkaniem zimowym, jest zbudowane z drzewa, ma duże okna, jest cieplejsze. Zresztą latem prawie cały Bagdad śpi po prostu na tarasach lub dachach, które są zupełnie płaskie. Nawet na dachach bloków urządzono jak by osobne kwatery dla każdej rodziny. W nowoczesnym budownictwie stosuje się naturalnie sztuczne chłodzenie, ale koszty eksploatacyjne są wysokie, stąd niewielu ludzi chce tam mieszkać.

— W pismach zagranicznych czytam ogłoszenia biur podróży, które tak zachęcają turystów do zwiedzania Bagdadu: pojedziesz do miasta, które przeniesie cię w inną epokę. Czy ten reklamowy slogan odpowiada prawdzie?

— Odpowiada. Bagdad to nie tylko stara część miasta nad Tygrysem, licząca już kilkaset lat, nie tylko przepiękne zabytki, jak złoty meczet Kadamiya, meczet Adamiya.

biednych z przewidywanym szybkim rozwojem państwa, które ma olbrzymie bogactwo w ropie naftowej, jeszcze nie w pełni wykorzystane.

— Czy nauczył się pan po arabsku?

— I tak i nie. W pracy przetrwał wciąż jeszcze język angielski. Ale ponieważ częściowo zaopatrywałem się sam w żywność, nauczyłem się nieco języka używanego na targu. Zupełnie dobrze potrafię się wykićcać po arabsku o cenę. To jest tam konieczne, inaczej można szybko zbankrutować.

— Mówiliśmy o obyczajach ogólnie. A tak konkretnie, jak to jest z tymi zasłonami na twarzach kobiet?

— Dawnego typu zasłon już się raczej nie nosi. Natomiast powszechnie używana jest tzw. abaja, czyli czarna jedwabny welon zakładany na głowę i sięgający aż do stóp kobiety. Ale bywa, że pod tą abają widoczna jest, zwłaszcza z przodu, sukienka mini lub po prostu koszula nocna. Według tamtejszych pojęć kobieta bez abaji zachowuje się niemoralnie, to tak jak by u nas pokazała się na ulicy w stroju topless. Ale są tzw. święte miasta, jak Kerbela czy Nedżef, gdzie na ulicach wlotowych stoją tablice, zakazujące kobietom pokazywania się bez zasłon. Jeżeli mimo to wejdą lub wjadą, najprawdopodobniej zostaną obrzucone kamieniami, a na pewno wydalone siłą. Gdy przyjechała moja żona, musiała na takie wyjazdy wypożyczać abaję lub zasłonę, a nawet kilkuletnia córeczka także.

— Czy odczuwa się, że Irak jest w stanie wojny?

— Chociaż zewnętrznych objawów jest niewiele, to jednak w świadomości społeczeństwa, wydaje mi się, niebezpieczeństwo dalszej wojny istnieje. Zaciemnienie nie obowiązuje, oddziały wojska widać bardzo rzadko. Ale zmienił się ton plakatów. Dawniej były to, jeżeli tak można powiedzieć, plakaty o treści wojskowej, teraz już o hasłach wojennych. Bardziej natomiast rzuca się w oczy dokonująca się rewolucja społeczna. Lewicowy rząd partii Baas — nie chce tu wchodzić w sprawy polityczne, bo to nie moja dziedzina — wprowadza duże zmiany w gospodarce. Coraz więcej środków idzie na inwestycje, głównie na rozbudowę przemysłu, a wzrost wydatków na konsumpcję jest mniejszy, teraz widać znacznie

Aleksander Migo

Mitologia

A miałem swój chiński pałac

z pilśni i pajęczyny

a ty byłeś z krwi i kości

i nigdy nie mogłem się z tym pogodzić.

Chiński pałac miałem

przez dziesięć godzin.

Dziesięć godzin tradycyjnej kobiety.

Umarłem wtedy bardzo dokładnie

choć wiedziałem

że to amoralne.

Umarłem z liściem brzozy na nosie

— zawsze lubilem sielanki.

Maciej Garstecki

Alegoria

obnażona, że tylko szepem przyoblec odchodzącą w dlonie wieszka nad ranem zapinasz swój akt zupełnie ustami na ustach julia...

Paweł Gembel

stoisz za drzwiami nie widzę twarzy i ust słyszę przełykanie śliny gdy myśl swą czytaasz

wierzę twoim słowom i jest mi to obojętne to wielka cisza zaległa już między nami

* * *

KLOPS

Dokończenie ze str. 1

den rulon sformowany został przez bank Schweizerische Kreditanstalt Zurich, a dwa przez automat liczący i pakujący monety, przy czym w ostatnim wypadku użyty był papier, który służy do rolowania 5-frankowych monet szwajcarskich w tamtejszych bankach (oba te rulony miały nadrukowaną datę: II 1967).

Polscy eksperci pierwszy raz wówczas zetknęli się z tak sformowanymi monetami tego rodzaju, aczkolwiek nie ma nic dziwnego w fakcie, że banki zachodnie przyjmują w depozyt złote 5-rublowe carskie i obracają nimi, skoro podobno w Austrii działa nawet legalna fabryczka tych monet (nie ma tu fałszerstwa pieniędzy, bo chodzi o walutę nie istniejącego państwa).

Te trzy rulony złota, oraz drobniak w postaci 100-markowego banknotu fińskiego, starej emisji, wartości 5,67 zł — oto cały „klops”, z jakim wpadł Józef Ch.

Nie mam nie powiem, mieć mogę, a udowodnijcie mi, że handlowałem — stwierdził kategorycznie. Rzeczywiście okazał się nadzwyczaj malomówny, acz nie we wszystkim. Wiosną 1969 roku na strychu swojej podwarszawskiej willi zobaczył przypadkiem starą bekię, jeszcze sprzed I wojny, po babce. Kiedy zaczął trzepać kijaskiem stareńki, lecz nadal solidny ciuch, posypał się zza podszewki deszcz złotych rubelków carskich. Widać babcia na czarną godzinę chowała. Co miał czynić, zebrał wszystkie 300 sztuk, bo akurat równo tyle było, i też zachował. W maju 1969 roku, więc niewiele później, na ul. Francuskiej w Warszawie zaczął go jakiś cudzoziemiec, prosząc o pomoc przy wymianie kolia w samochodzie. Nie odmówił, a w nagrodę otrzymał płaszcz ortolionowy, gdzie potem w kieszeni odnalazł prócz nadpalonych cygar trzy puste ruloniki z kartonu oraz kilka kamyków przypominających oczka od pierścionków. Przyszło mu do głowy, żeby w puste rulony zapakować złoty pieniądz babciny, którym absolutnie nie zamierzał handlować, a tylko zawięz go do podziemia dla rodziny w Hrubieszowie, skąd on, Józef Ch., a nie pieniądz, przecież pochodził. Zapakował i wiózł, dowiózłby nawet, gdyby milicja nie przeszkodziła na dworcu w Lublinie. Banknot zaś fiński znalazł był pod CDT-em w Warszawie. Ot, przechodził, kopnął jakiś paperek i co się okazało: 100 marek leży na ulicy w biały dzień.

Takie podawał legendy. Lecz postać Józefa Ch. była dobrze znana milicji. „Ścisła kadra polskich waluciarzy” — mówił o nim w KG MO w Warszawie. Wiedzano, że w latach 1966—1967 miał kontakty z sekretarzem ambasady dalekiego królestwa, Abdullachem N., od którego za banknoty dolarowe otrzymywał złote 20-dolarówki (oto i pierwsza możliwość zarobku, jako

na zachodzie banki dawały za papierowe dolary równowartość w złocie, złote wszak dolary są u nas na czarnym rynku o wiele droższe niż papierowe). Kiedyś nawet zatrzymano taksówkę, którą Józef Ch. jechał do mieszkania dyplomaty. Znalaziono przy nim okazały plik banknotów hiszpańskich, belgijskich, francuskich, islandzkich, fińskich, holenderskich, szwedzkich, angielskich, kanadyjskich, USA, NRF oraz czeki dolarowe na nazwiska osób zamieszkałych na Lubelszczyźnie. Józef Ch. wyparł się wtedy, jakoby te czeki należała do niego, i niewiele mu można było dowiedzieć, tylko dewizy stracił (ogólnej wartości 2000 dolarów USA).

Jako rencista PKP Józef Ch. ma łatwość poruszania się po kraju, toteż jego kontakty „handlowe” sięgają trójmiasta, Szczecina, Krakowskiego i oczywiście — Warszawskiego, samej Warszawy oraz Lubelszczyzny. W złoto zaopatruje się głównie u cudzoziemców przebywających w Polsce; w dewizy — przede wszystkim na Lubelszczyźnie, skąd była kiedyś spora emigracja „za chlebem”, a gdzie teraz ludzie otrzymują od krewnych z zagranicy spadki i czeki dolarowe, dewizy w listach czy podczas osobistych odwiedzin. Najchętniej działa przez zaufanych pośredników skupujących dla walory, o swoim przyjeździe zawiadamia członków „siatki” specjalnym szyfrem. Jak wynika z aktu oskarżenia — w latach 1959—1969 obrócił „około 700 kg złota, średnio w miesiącu od 3 do 5 kg”, co w przeliczeniu na złotówki, nawet po kursie państwowym złota, daje kwotę wprost nieprawdopodobną. Ponad 120 mln zł przeszło przez jego ręce!

Już raz był zatrzymany przez lubelską milicję — w 1968 roku. Miał wtedy przy sobie tylko plik 500-złotówek (20 tys. zł), który usiłował odrzucić, a następnie prowadzony do KW MO starał się uciec, mimo że zabrano mu dowód osobisty. Ostatecznie został wtedy zwolniony. Na razie miał więc szczęście. Nie karany, ani chyba nawet nigdy nie aresztowany — aż do wieczoru majowego na lubelskim dworcu PKP. Ale i wtedy przesiedział tylko dwa miesiące w areszcie tymczasowym (do 28 VII 1969 roku). Był stary, przyszła amnestia związana z 25-leciem PRL, prokurator go zwolnił, miał odpowiadać przed sądem z wolnej stopy. Dla milicji lubelskiej zaś rozpoczął się wówczas żmudny okres poszukiwania choćby paru bezpośrednich świadków, którzy potwierdziliby, że Józef Ch. handlował dewizami i złotem. Okres, kiedy to, co się wle o podejrzanym, przynajmniej w niewielkim stopniu zamienia się w to, co można mu przed sądem udowodnić. Tak często bywa, nawet w najwnikliwszym śledztwie przeciw waluciarzom.

Szczególnie ożywione interesy prowadził Józef Ch. w jednym z miast powiatowych Lubelszczyzny, gdzie mieszkał niejaki Aleksander K., skupujący u okolicznych chło-

pów dewizy, za które otrzymywał od Józefa Ch. złoto, sprzedawane następnie zegarmistrzom trudniącym się nielegalnym wyrobem biżuterii, dentystom na plombę i koronki, ludziom chcącym „ulokować” nadwyżki finansowe.

Aleksander K. został zatrzymany przez milicję właściwie przypadkowo i trochę później niż Józef Ch., bo 22 IX 1969 roku. Razem z nim zatrzymano trzecią główną postać tej sprawy — Stanisława G., zamieszkałego w Gdańsku, będącego na „gościńnych występach” w Lublinie. Ich „klops” to złote monety, sztabki złota oraz 33 tys. zł. Wobec obu zastosowano areszt tymczasowy aż do 24 IX 1970 roku. Przed sądem odpowiadali jednak już z wolnej stopy — na początku 1971 roku — razem ze znacznie wcześniej wypuszczonym Józefem Ch., wszyscy trzej połączony w jedną sprawę.

Lecz wróćmy do okresu wcześniejszego — po aresztowaniu. Złote monety zakwestionowane u Aleksandra K. to tzw. dukaty austro-węgierskie, emisji 1915 roku; identyczne bite są współcześnie przez mennicę austriacką i znajdują się w legalnej wolnej sprzedaży na zachodzie. 48 tych monet — bo tyle w sumie mieli przy sobie zatrzymani — wycenił rzeczoznawca z PDH „Jubiler” na 32 346,71 zł. Pięć sztabek złota, po 100 g każda, pochodził ze szwajcarskiej rafinerii Argor SA Chiasso (wyprodukowane zostały i wprowadzone do sprzedaży po 15 IV 1963 roku, co można stwierdzić na podstawie wybitych na nich numerów). Wycena rzeczoznawcy — 69 990 zł. Przeto zasadniczo złoty „klops” był wart 102 336,71 zł. W akcie oskarżenia dodano: „Należy nadmienić, że biegle rzeczoznawca wartość złota i monet określił wg cen urzędowych, które są znacznie niższe od cen stosowanych w nielegalnym handlu walorami dewizowymi”.

Aleksander K. twierdził, że w czasie wojny służył w samodzielnym batalionie zwiadowczym i jako szpica penetrował tereny nieprzyjaciela. W trakcie takiego wypadu w maju 1945 roku zobaczył w Sudetach rozbitą bank niemiecki, wszelkiego dobra pełny. Wtedy właśnie prawem zwycięzcy wszedł w posiadanie pięciu sztabek złota oraz dukatów, nie pamięta, ile ich było, że dwa litry chyba. Od 1945 roku — bohater jest zmęczony — zbywał te monety różnym osobom, których teraz nie pamięta. Zostało mu jeszcze 48 sztuk. Kiedy wszak zobaczył ekspertyzę rzeczoznawcy, dotyczącą daty produkcji złotych sztabek, przypomniał sobie, że nie zdobył ich w Sudetach, lecz długo po wojnie otrzymał do sprzedania od obywatela Mojżesza K., który wyjechał do Izraela, zanim Aleksander K. zdążył dokonać transakcji. Ma więc wszystkie pięć sztabek dotąd i nie bardzo wie, co z nimi począć.

Jak doszło do kontaktów Aleksandra K. ze Stanisławem G. i jakiego rodzaju to były kontakty? Oto wersja tego pierwszego. Pознаł Stanisława G. latem 1969 roku we własnym mieście powiatowym, kiedy ten przyjechał z Gdańska po zakup wotliny. Niebawem Stanisław G. drugi raz zjawił się w miasteczku i spytał go, czy nie wie, gdzie można nabyć złote monety. Odpowiedział, że sam posiada takowe oraz sztabki złota, po czym wyjął majątko ze schowka, zapakował, wręczając zawiniątko z 40 dukatami synowi, który nie wiedział, co otrzymał, i samemu biorąc resztę złota. We trzech „Prinzem” Sta-

nisława G. wyruszyli do Lublina, gdzie Stanisław G., któremu po drodze przekazał jednego dukata, miał u jubilera sprawdzić autentyczność monety. Przy rogatce warszawskiej ojciec z synem wysiedli, a Stanisław G. pojechał sprawdzać co trzeba. Wtedy właśnie jakiś osobnik podający się za milicjanta zadął od obu pasażerów wylegitymowania się. Aleksander K. sądził, że to „lewi” funkcjonariusze, podstawił uprzednio przez Stanisława G., który tym sposobem mógł chcieć zawładnąć złotem swego kontrahenta. Aleksander K. zaczął więc uciekać, a następnie tarzać się po ziemi w zmaganiach z milicjantami, zanim nie został oberwałony i wraz z synem doprowadzony na komendę. Przyznaje, że wkrótce po zawarciu znajomości ze Stanisławem G. umożliwił mu oszukawcze kupno w banku PKO SA w Warszawie dwu samochodów osobowych marki „NSU-Prinz”, każdy wóz po 1700 dolarów w bonach, wykorzystując konta dewizowe dwu znajomych rolników z Lubelszczyzny. (Wtedy jeszcze do nabycia samochodu w PKO było konieczne takie konto, co zresztą — jak widać — nie stwarzało zbytnych przeszkód dla cwaniaków). Nigdy wszak Stanisławowi G. nie sprzedawał bonów PKO, tylko raz w Warszawie odstąpił mu 7 dolarów w bonach, biorąc po 72 zł za dolar. To wszystko, co ma do powiedzenia w całej tej przykrej sprawie.

Wersja Stanisława G. Przede wszystkim — nabył od Aleksandra K., płacąc po 90 zł za dolar, 700 dolarów w bonach, brakujące do kupna dwu „Prinzów”, gdyż właściciele kont tylko firmowali transakcje, koszty zaś ponosił on sam. Jeden wóz zatrzymał dla siebie, drugi sprzedał z zyskiem 20 tys. zł. Aleksandra K. poznał latem 1968 roku (tak!), jadąc „Trabantem” na urlop w Bieszczady i wstępując napisać się czegoś w kiosku małżeństwa K. Potem były transakcje samochodowe, przyznaje, że niezbyt uczciwe. Kiedyś Aleksander K. pokazał mu złote monety i sztabki, pytając czy nie ma kupca na ten towar, albo czy sam by nie kupił. Po pewnym czasie jakiś mężczyzna w Gdyni prosił go o umożliwienie kupna złota. Więc Stanisław G. bezinteresownie chciał wyświadczyć usługę człowiekowi i skontaktował się telefonicznie z Aleksandrem K. Następnie wsiadł do samochodu z tym amatorem złota i pojechał do Lublina, gdzie kontrahent miał poczekać. Sam Stanisław G. udał się „Prinzem” do miasteczka powiatowego, w którym już czekał Aleksander K. z towarem. Reszta jest znana.

Zasadniczą kwestią w całym tym galimatiasie było znalezienie bezpośrednich świadków nielegalnych transakcji walutowych. I milicja lubelska odnalazła takich świadków, co nie znaczy, że skruszyło to podejrzanych. Nikogo nie znają, z nikim nie handlowali, to jakies nieporozumienie, a w szczególności Józef Ch. nie zna absolutnie Stanisława K. i na ów wrót.

Spośród całej trójki najwcześniejszy z widowni publicznej udało się zniknąć Józefowi Ch. W batalii między biegłymi psychiatrami oskarżenia a kontr-biegłymi psychiatrami obrony przeważała opinia o bardzo złym stanie zdrowia oskarżonego, toteż postępowanie sądowe zostało w stosunku doń zawieszona do momentu, kiedy „Dziadek” odzyska sily duchowe i fizyczne (co też i nastąpiło pod koniec listopada 1971 roku, a postępowanie wznowiono). „Dziadek” więc czeka swo-

jej doli. Wcześniej jednak, dnia 23 III 1971 roku, Sąd Wojewódzki w Lublinie (Wydział IV Karny) uznał Aleksandra K. winnym nielegalnego obrotu walorami dewizowymi w latach 1960—1969 i skazał go na rok pozbawienia wolności oraz 25 tys. zł grzywny. Stanisław G. za spekulowanie walorami dewizowymi i oszukawcze wykorzystanie cudzego konta dewizowego celem kupna samochodu „NSU-Prinz” do dalszej sprzedaży z zyskiem otrzymał karę łączną: rok pozbawienia wolności oraz 29 tys. zł grzywny. Na rzecz skarbu państwa zasądzono przepadek 48 złotych dukatów oraz 5 sztabek złotych.

Ponieważ obu odpowiadającym z wolnej stopy oskarżonym wliczono do kary rok aresztu tymczasowego, przeto prosto z sądu udali się oni na wolność. Sąd uwzględnił m. in. dotychczasową niekaralność obu, stosunkowo niewielkie rozmiary ugodzonych spekulacji dewizowych oraz fakt, że „poprzednio zachowywali się nienagannie”. Jeśliż szło o tę ostatnią okoliczność, to dla postaci Aleksandra K. miała ona odniesienia tylko do momentu, kiedy uwolniony wychodził z gnańcu sądu. Zaraz bowiem postanowił napisać się, co też i gruntownie zrealizował, po czym we własnym mieście powiatowym pobił pierwszego napotkanego milicjanta. Czyn bezinteresowny dewizowo, z zasadniczych pobudek psychicznych popełniony, za co teraz Aleksander K. swoje odsiaduje, lecz to już inna sprawa.

Na koniec parę refleksji ogólniejszych. Waluciarze to jedna z najinteligentniejszych grup przestępczych, bardzo solidarna, „zawód” często dziedziczny (nieletnie potomstwo używa się jako bezpieczne „skrzynki” dewizowe). Organa ścigania zazwyczaj o wiele więcej wiedzą o waluciarzu niż mogą mu udowodnić. Trzeba go bowiem — skoro samo posiadanie walorów nie jest u nas karalne — złapać na nielegalnym handlu, o co trudno, albo przynajmniej odnaleźć, i skłonić do mówienia prawdy, bezpośrednich świadków przestępstwa, w które ci zwykle są jakobś zamieszani, a kto by chciał zeznawać przeciw sobie. Zresztą nie wszyscy uważają waluciarza za zwykłego przestępcę, czasem cieszy się on opinią odważnego cwaniaka, otoczony swoistym podziwem. To również utrudnia rolę milicji, prokuratury i sądu. Więc i sprawy dewizowe przed sądami są stosunkowo rzadkie i dla oskarżyciela trudne, waluciarze opowiadają rozmaite legendy na użytek sądu, świadków przeciwko nim mało, pole do popisu dla obrony. Wyroki zapadają niskie, choć straty państwa z tytułu podziemia walutowego duże. Nie rekompensują tych strat orzeczone z reguły przepadki mienia, żaden fachman nie ma przy sobie czy w domu większych walorów, skoro może do dzbanka, zakopanego w „banku rolnym” pod drzewkiem, wrzucić przez rurkę nadwyżki handlowe, odpowiednio „utwardzone” (to zresztą już banalna metoda). Nie znam się na ewentualnych ogólnoeconomicznych przyczynach podziemia walutowego w naszym kraju, spośród innych powodów widzę tradycje handlu okupacyjnego. Tak czy owak ciesz się musi, że nowa ustawa karno-skarbowa, obowiązująca od I I 1972 roku, przesuwa ciężar sankcji z nadużyć drobnych, przypadkowych i nieumyślnych na przestępstwa większe i zamierzone. Będzie chyba więcej świadków, a mniej waluciarzy.

Maciej Podgórski

moje LEKTURY

„Zrobiłem pewne rzeczy...”

TYTUŁ, jakim Tadeusz Różewicz zaopatrzył swoją najnowszą książkę, można przyjąć całkowicie dosłownie; co wiera się w nim to, że autor chciałby o sobie słuchaczom powiedzieć, lub to, czego słuchacze od pisarza oczekują.

Znany różne wersje wieczorów autorskich: trochę wyznań, próbki własnej twórczości, próba dialogu z zebranymi. Można też zażądać rzeczycielce przypomnieć konwencje wieczoru autorskiego. Zauważmy jednak, że chodzi tu jedynie o pretekst, o pewną oś, według której chciał skomponować książkę, dać wspólny mianownik bardzo różnym tekstom. Wspomnianą konwencję traktuje Różewicz z przynależnym okiem, ironicznie, z dystansem, jak zresztą wszystko, co dotyczy pisania i literatury. Pamiętamy, a ostatnia książka to stanowisko autora utwierdza i uzasadnia, że Różewicz takie słowa jak poeta, głębia, warsztat, umiemy w cudzysłowie, głosi śmierć poezji, siebie nazywa poeta

„byłbym”. Nie dziwiłoby, gdyby w taki sposób wyróżnił i wieczór autorski — dwa słowa pochodzące z tytułu.

Tytuł wskazuje na przekorę, której tak wiele odnajdujemy w poezji Różewicza; właśnie ta przekora zbija często czytelnika z tropu, zwłaszcza tego, który przywykł do dosłowności i jednoznaczności wypowiedzi. Przecież wypowiedź z wiersza „moja poezja”

niczego nie tłumaczy
niczego nie wyjaśnia
niczego się nie wycofa
nie oparła się o coś
nie spełnia nadziei

wraz z dalszymi kategorycznymi stwierdzeniami wyrasta z przekory; stanowi odpowiedź na różne ataki, pretensje i zarzuty pod adresem jego poezji. Nie ulega wątpliwości, że wielu z tych stwierdzeń nie należy brać za dobrą monetę. Czasem postawione są tak prowokacyjnie, iż nie tyle powiadają o czytelniku i podają mu coś do wie-

zenia, ale po prostu wymagają jego sprzeciwu i opozycji. Łatwowiejny czytelnik naraziłby siebie i autora na duży zawód.

Wróćmy jeszcze raz do „wieczoru autorskiego”. W imprezie tej nie zawsze nas obchodził, co się tam mówi, lecz kto mówił, kto stół naprzeciw słuchacza. Przyznam, że w „Przygotowaniu do wieczoru autorskiego” miałem ciekawość, o kim pisze Różewicz, lecz — że czyni to właśnie on. I co przy tej okazji mówi o sobie. Książka zaczyna się bowiem od szliców, przeważnie wspomnieniowych, o Staffie, Czechowiczu, Karolu Kuryluku i Zdzisławie Hierowski. Wiadomo, choćby z wydrukowanego przed paru laty listów Staffa, że autor „Niepokoju” pozostawał w wieloletniej przyjaźni z twórcą „Wikliny”. Znany jest też fakt, iż w ostatnich latach Staff nawizywał do młodej jeszcze wówczas poetki Różewicza, ogalając ją swe wiersze z dawnego blasku „poetyckości”. I ten Staff zapewne najdłuższy przetrwał. Różewicz niewiele powiedział o ich przyjaźni, rozmowy uitały w niepamięć, pozostały strzępy zapamiętanych słów. Ale od wspomnień ważniejsze są refleksje autora. Jak choćby uwaga o tym, co go różniło od Staffa:

Stary Poeta świat przyjmował, nie odrzucał, i nie szamał się. Nie rozbił światła. Łączył, wiązał, nasycał harmonią, której ten świat w sobie nie miał. Jestem w poezji przeciwieństwem Starego Poety. W poemacie, który piszę, jest dużo mojej ciemności i mało harmonii. Jest tęsknota do światła. To znaczy do wyjaśnienia.

W bardzo istotnym szkicu o Kuryluku postać redaktora „Odrodzenia” stała się znowu pretekstem, by autor mógł opowiedzieć o sobie, o nisławce — wbrew utartym mniemaniom — drodze poety, który szukał nowych dróg. Dla jednego był nihilista, dla czytelników dwuznaczny, dla „przeszłości” — obcy. Trudno uwierzyć, że poeta w pewnych latach nie miał prawie żadnych możliwości druku w czasopiśmie, także literackim. Te okoliczności sprawiły, że Różewicz

ucieki z metropolii i przez lat dzieł widać mieszkał stale w Gliwicach. Może to także przejaw intuicji? Głos anonimowy jest zrozumialszy, jeśli rozlega się na tle czarnego, przemysłowego krajobrazu.

Piękny szkic o Zdzisławie Hierowskim stąd też wyrasta. Wiele mówi o krytyce, prawda, lecz znów chyba ważniejsze jest to, co Różewicz pisze o umarłych, o ich różnym odchodzeniu, a zwłaszcza o poezji. Oto sprawozdanie z rozmowy na temat wiersza „ukrytego w wierszu”:

Mówiłem o tym, że (...) wiersz napisany, zrealizowany, jest podobny do ciemności, przez którą przebiega światło tamtego, właściwego, przeczytane, nie napisane utworu...

Jak go wydobyć z głębokości na powierzchnię? Czasem prześwieca przez słowa i obrazy zrealizowanego wiersza. Albo rozdziera powłokę zrealizowanego wiersza i wychodzi z niego na światło dzienne z krwią i wodą.

Ogromnie ważne są takie szkice jak „Do źródeł”, „Sezon poetycki — 1966”, rozmowy z sobą oraz tytułowa wypowiedź tomowi. Niektóre z nich, zwłaszcza dotyczące śmierci poezji, były w swoim czasie szeroko dyskutowane i stały się przedmiotem polemiki. Zresztą sądzę, że teza ta postawiona była w krańcowym sformułowaniu i po to, by spowodować jej zaprzeczenie. Poezja istnieje, dopóki poeta istnieje i oczekujący jego głosu słuchacz. Prościej: poezja żyje, póki żyje po ludzku odczuwający człowiek.

Sformułowanie przez Różewicza niektórych swoich datności jako poety ma dla czytelnika i interpretatora dużą wa-

gę, że wspomnę tylko o etycznych a nie estetycznych podstawach jego poezji, o jej antymetafizycznym nastawieniu, o jej jednoznaczności, o wierszu jako żywym organizmie. Choć i one są niekiedy dyskusyjne.

„Przygotowanie do wieczoru autorskiego” stanowi zespół wypowiedzi bardzo osobistych, niektóre z nich są po prostu kartką z pamiętnika, zapiskiem rozmyślań nad swoją poezją i jej teraźniejszym położeniem. Padają słowa gorzkie, istniejąca potrzeba obrony siebie, przypomnienie dokonanych zdołczy i poniesionych kosztów własnych odkrywcy. Więc pojawia się takie wyznanie: Przez wiele lat pisałem wiersze. Czy tworzyłem poezję? Ciągle ta sprzecznica była we mnie obecna. Od roku 1945. Chciałem dotrzeć do poezji i od poezji uciec. Zniszczyć poezję i zbudować poezję. Poeta ma prawo wątpić, ale skądś powinien otrzymać odpowiedź twierdzącą czy przeczącą. Owoce pracy Różewicza jest wielki, prawie ośmiusetstronicowy tom „Poezji zebranych”, które wydało Ossolineum na pięćdziesiątą urodzinę poety. Przyjęte zostały w całkowitym milczeniu, z pewnym jakby zakłopotaniem. I chyba tym, których irytuje to, że Różewicz jeszcze pisze, można zadedykować słowa, którymi upomina się on o swoje: zrobiłem pewne rzeczy w poezji. Tak — pewne rzeczy zostały zrobione.

Tadeusz Klak

Tadeusz Różewicz: Przygotowanie do wieczoru autorskiego. Warszawa 1971. Państwowy Instytut Wydawniczy

General Berling

(Część druga)

Alojzy Sroga

WCZĘŚCI pierwszej szkicu o generale Zygmuncie Berlingu (poprzedni numer „Kamena”) mówiliśmy o jego żołnierskiej drodze: od czaju Związku Strzeleckiego do dnia 20 sierpnia 1942 roku, gdy wraz z kilkoma innymi osobami pozostał na moło w Krasnowodsku.

Armia Andersa opuściła terytorium radzieckie.

Przed z górą miesiącem rozgorzała jedna z najbardziej zaciętych, krwawych, ale i decydujących o charakterze wojennego epilogu — bitwa o Stalingrad.

Jeszcze bardziej na południe, na Kaukazie, niemieckie dywizje darły się ku dużemu portowemu miastu nad Morzem Kaspijskim — Machaczka.

Na krasnowodskim moło pozostał z małą grupką płk dypl. Zygmunt Berling. I co dalej?

Z zyciorysu

Pobyt w Taszkencie. Po pewnym czasie — tygodniowa podróż do Moskwy. Otrzymują zimne, nie opalone mieszkanie, często nie oświetlone. Głoduje Moskwa, głoduje Związek Radziecki. Trwa realizacja hasła: „wszystko dla frontu”.

Pułkownik Berling zwraca się do władz radzieckich z prośbą, by umożliwiono jemu i pozostałym osobom przjazd do kraju, do partyzantki.

Dygresja

Jest konsekwentny. Nie darmo pełniąc służbę w armii Andersa tyłekroć wypowiadał myśl o najkrótszej drodze do Polski. Jeszcze nie wiedział, nie przeczuwał, że żołnierzom polskim wypadnie pilnować brytyjskich rurociągów naftowych. A kraj — krwawi.

Odpowiedź jest odmowna, zresztą, szczerze mówiąc, gdy następuje kulminacja stalingradzkiej bitwy, nie bardzo kto ma głowę do rozmów z garstką Polaków. Owszem, przeczytano w Moskwie bardzo interesujący memoriał tej grupki, uzasadniający ich pozostanie, ich chęć działania. Znajomość memoriału była zresztą podstawą sformułowania ich do Moskwy. W piśmie, wydawanym w języku polskim, „Nowe Widnokreśl”, pokazują się pierwsze listy rodaków mówiące o potrzebie stworzenia polskiej jednostki, która by przez Wielkie Łuki i Smoleńsk szła do Polski.

Jednym z pierwszych autorów listu jest Stanisław Limanowicz, jak wspomnieliśmy w poprzedniej części — właśnie Zygmunt Berling. Skrzykują się rozproszeni po Związku Radzieckim rodacy. Ci wszyscy, którzy nie zdążyli do armii Andersa, którzy o takiej możliwości nie wiedzieli, którymi wzgardzono, nie wcielono do organizowanych dywizji.

Z zyciorysu

Pewnego wieczoru płk Kondratyuk, utrzymujący kontakt służbowy z płk. Berlingiem, zaprosił go do kogoś bardzo ważnego. Mężczyzna w marynarce w jodelkę, bez krawatu, nie przeczuwał, dokąd jedzie. Zorientował się w sąsiedztwie Kremia. Pierwsza wizyta u Stalina. Potem — druga.

Dygresja

Pierwsza — to było zapoznanie się z owym polskim, przedwojennym pułkownikiem, który nie zgodził się na opuszczenie sojusznika. Sondowanie jego poglądów, zapoznanie się z jego żołnierskim doświadczeniem i formowanym przez wiele lat światopoglądem. I pierwsze wstępne sondże na temat polskiej jednostki, która by się chciała bić obok Armii Radzieckiej. Rozmowa druga — już konkretna. O sile polskiej dywizji. Będą trzy pułki piechoty. Pułk artylerii lekkiej. Samodzielne bataliony wsparcia i zabezpieczenia tyłowego. A więc — szkolny, saperów, dywizjon artylerii ppanc., batalion sanitarny i kobiecy. Etat dywizji gwardyjskiej. Najliczebniej wóczas i najlepiej wyposażonej w Armii Radzieckiej. Ponad 11 500 żołnierzy.

Pułkownik Berling stawia jednak od razu sprawę po męsku: to dopie-

ro początek. Jeszcze potrzebna będzie jednostka pancerna i lotnicza. Zgoda. I kadra oficerska radziecka. Dowódców drużyn, plutonów — można wyszkolić szybko. Można awansować dawnych podoficerów. Ale kim obsadzić bataliony, pułki, skoro kapitanowie, majorowie, pułkownicy poszli z Andersem? Zgoda. Będzie pomoc kadry oficerskiej, radzieckiej, możliwie polskiego pochodzenia.

Z zyciorysu

Na zakończenie drugiej, całonocnej rozmowy, pułkownik Berling mówi do Stalina:

— Polska Wam tego, Józefie Wissarionowiczu, nigdy nie zapomni.

Zaś Stalin, przytrzymując rękę Berlinga:

— A wy, Zygmuncie Michajłowiczu, zapamiętajcie: w polityce nigdy nie było i nie będzie sentymentów.

Dygresja

I sądzę, że obaj zrozumieli doskonale ową rację stanu. Kilka miesięcy później, 9 sierpnia 1943 r., dowódcą 1 dywizji piechoty im. Tadeusza Kościuszki przemawiając do żołnierzy wypowiedział i taką myśl: „Odra jest rubieżą nie tylko naszego bezpieczeństwa, ale i bezpieczeństwa Związku Radzieckiego”.

Z zyciorysu

W pierwszych dniach maja — po wspólnym zebraniu grupy organizacyjnej i ZPP — płk Zygmunt Berling w towarzystwie dowódcy Moskiewskiego Okręgu Wojskowego gen. Artiemiewa udaje się do letniego obozu ćwiczebnego tegoż okręgu — Solec. Jest przedstawiony komendantowi obozu, majorowi, który otrzymuje jednoznaczna decyzję: to wasz dowódca. Ten właśnie w cywilnym ubraniu.

Wiadomość o zgodzie na tworzenie 1 dywizji podaje radio radzieckie, a 8 maja — „Wolna Polska” i prasa radziecka.

11 maja płk Berling prowadzi pierwszą odprawę z przyszłą kadra dywizji. Osób, razem z nim — 12. Melduje mu inny podpułkownik, artylerzysta, który także uważał, że droga do Polski krótsza jest przez Smoleńsk — Leon Bukojemski.

Dygresja

Sporo już napisano o tych pierwszych dniach dywizji. Pisali zawodowcy-pisarze, jak choćby Jerzy Putrament i Janina Broniewska, wspominają po dziś amatorzy-pamiętnikarze. I pokazywał nasz film „Spotkanie z generałem” ową płynącą rzekę tulaży, obdartusów, ludzi skrzywionych psychicznie ciężkimi kolejami losu w ostatnich czterech latach, przybywających z mroźnej północy i parnego Uzbekistanu. Ludzi, którzy nierzadko pozostawili na północy i wschodzie mogiły swoich najbliższych. I, dla ścisłości, którzy w latach przedwojennych byli wychowywani w duchu antyradzieckim.

Z tej oto ludzkiej mieszaniny, o różnych życiowych doświadczeniach, z gołowasów, fałszywych ordynarnie swój wiek (zawsze oczywiście w górę) i wiarusów pamiętających okopy Verdun, z rzeszy analfabetów, ale także inżynierów i studentów, trzeba było stworzyć dywizję, która świadomie zechce bić się z Niemcami obok Armii Radzieckiej.

„Wielka tu była rola Sokorskiego, mojego zastępcy do spraw oświatowych i całego aparatu politycznego” — mówił teraz, przy filmowym nagraniu, general Berling.

Ba, ale dowódca był owym symbolem głównym. Przedwojenny oficer. Kadrowy pułkownik. Był Legionista. Jest Polakiem.

Ma, gdy trzeba, twardą rękę, ale i ma dla każdego żołnierza dobre, serdeczne słowo. Nie tylko dla starszego sierżanta, również dla kipiących energią gołowasów, martwiących się, czy aby „zadamy na wojnę”, bić Niemca”.

Z zyciorysu

Jest to bodaj najbardziej intensywny okres w życiu generała. Przeważa osobiste odprawy oficerskie, przemawia na żołnierskich zebraniach. Nocą sprawdza warty, wieczorem przystaje przy ziemiankach, gdzie idzie dysputa o placówce, ubezpieczeniu, karabinie maszynowym, rusznicy przeciwpancernej.

Pułkownik rzuca hasło, podchwytone, powielone w wielu żołnierskich gazetkach, świetlicach: „Kto chce żyć — musi walczyć”.

15 listopada 1943 roku, jako pierwsza w dywizji osoba, składa na ręce kapelana, księdza majora Wilhelma Franciszka Kubusza, Słazaka z pochodzenia, do niedawna partyzanta, przewiezionego samolotem z okupowanych terenów — żołnierską przysięgę.

Potem wraz z kapelanem przyjmują przysięgę od całej dywizji.

Dygresja

Pisząc wielką objętościowo monografię literacką o bitwie pod Lenino, zebrałem ponad 280 relacji uczestników boju. I w większości wypadków stale wracano do grunwaldzkiej rocznicy.

Posiwalni żołnierze, którym hitlerowskie pociski i odłamki granatów wypisały po dwie — trzy rany, których hartował i późniejsze życie — i teraz jeszcze, po latach, mówili przez ściśnięte gardło. O tej właśnie chwili. Gdy karabin lub pepesza w dłoni, dwa palce uniesione w górę, odkryta głowa i wypowiedziane słowa: „przysięgam...”

— Plakalem. Nie wstydzilem się lez.

— Z trudem przeciskały się mi słowa przez gardło.

— Wprost wierzyć się nie chciało, że dwa miesiące temu byłem tulażem... Ba, ale i korespondenci zagraniczni, zachodni, nie bardzo chcieli wierzyć, że to naprawdę dywizja istniejąca tygodnie. Bo tak chodzi, tak się prezentuje wiarus po wielu miesiącach.

Pozwolił pułkownik Berling, by wątpliwy dziennikarze rozmawiali z żołnierzami. Pozwolił także na inną „kontrolę” sceptycznych żurnalistów. Podejrzewali bowiem, że to jeden wyszkolony batalion dziewięć razy maszeruje, chowa się w lesie i z niego wychodzi.

Skontrolowali, wyjść z podziwu nie mogli, że to jednak prawda. Ano, ona bywa często najbardziej zaskakująca i... najbardziej przekonująca.

Z zyciorysu

10 sierpnia 1943 roku Rada Komisarzy Ludowych ZSRR nadała pułkownikowi Zygmuntowi Berlingowi stopień generała-majora, odpowiednik polskiego generała brygady.

Dygresja

Posypały się wówczas listy gratulacyjne, często nieporadne, pisane przez żołnierzy ze szczerego serca. I wiersze, z których można dzisiaj pokpiwać, wtedy — oddawały najpełniej żołnierską radość, że ich dowódca uzyskał awans.

W trakcie pisania monografii rozmawiałem także z ludźmi, o których wiedziałem, że nie byli zbyt życzliwi generałowi. Ze — nie raz — potrafił ich podczas służby wojskowej w 1 dywizji ostro osądzić, poskromić, przestrzec przed popadaniem w zarozumiałstwo. Wszyscy jednak, nawet wypowiadając wobec mnie uwagi krytyczne o generale, nie potrafili powstrzymać się od wyrażenia szacunku.

— Tak, to była sztandarowa postać. Wzbudzał szacunek. I wierzących żołnierzy i komunistów. Byliśmy zapaźtzeni w niego jak w obraz.

Ale jeszcze na moment wrócić warto do generalnego awansu. „Żołnierz Wolność”, dziennik dywizji, zamieścił artykuł wstępny pt. „Nasz Dowódca — generałem”. Ciekawie zestawiał fakt nominacji z innymi podobnymi w tej materii tradycjami. Ze generalnie stopnie otrzymali od zaprzyjaźnionych rządów — Kościuszko i Pułaski (z rąk Waszyngtona), że z nominacji Napoleona marszałkiem był ksiądz Józef Poniatowski, a generalami

Zajączek i Kniżewicz. Z nominacji węgierskiej — József Bem, a Komuny Paryskiej — Jarosław Dąbrowski. Słowem — ten sam ciąg internacjonalistycznych tradycji. Tych samych, które największej sformułowano na sztandarze 1 dywizji: „Za Waszą i naszą wolność”.

Z zyciorysu

W związku z wyrażeniem zgody władz radzieckich na rozwinięcie dywizji w 1 Korpus Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR, general brygady Zygmunt Berling obejmuje dowództwo Korpusu, nadal pełniąc jednak i funkcje dowódcy dywizji. Z nią 1 września 1943 roku wyjeżdża na front. Zgodnie z zapowiedzią, że z tą dywizją pójdzie w bój.

Po niespełna miesięcznym pobycie dywizji w strefie przyfrontowej w rejonie Wiaźmy — kościuszkowcy maszerują na zachód. Gen. Berling otrzymuje rozkaz o podporządkowaniu dywizji 10 armii gwardii generała Suchomlina.

Udaje się do sztabu armii. Dywizja ma nacierać w rejonie miejscowości Lady.

Dygresja

— Teren był równiny i wygodny do natarcia. Dywizja poszłaby jak po maśle — wspomina general.

W ciągu jednak kilku dni nastąpiła zmiana w podporządkowaniu dywizji — 33 armii generała Gordowa. W jej składzie przyszło działać kościuszkowcom, zdobywać wsie



Ksiądz major Wilhelm Franciszek Kubusz

Trygubowo i Połzuchy, wzgórze 2153 i walczyć na wzgórze bezimiennym. Przeprowadzić się pułkiem czołgów w rejonie dużej wsi Lenino. Stoczyć swą pierwszą bitwę, która stała się symbolem żołnierskiego szlaku: Lenino — Berlin.

Z zyciorysu

Gdy do natarcia, w kierunku wsi Połzuchy, ruszał 2 pułk piechoty i obok punktu obserwacyjnego dowódcy dywizji przechodziły pododdziały tego pułku wraz z dowódcą ppłk. Gwidonem Czerwińskim. Odezwał się w generale dawny sierżant, osobliście chodzący do szturmu na bagnety. Ruszył z żołnierzami. Ledwie zdołał go powstrzymać dowódca 2 pułku. „Generale...” — najpierw grzecznie, potem już bardzo stanowczo — „Obywatelu generale!”

— Powodzenia, Czerwiński.

Dygresja

Tkwil na tym punkcie obserwacyjnym dzień, noc i znów dzień. Stąd dyrygował ogniem artylerii, wprowadzał posiłki, stąd posyłał swego liniowego zastępcę płk. Bolesława Kieniewicz do porządkowania szyków 1 pułku piechoty. Stąd wyprawił w bój 3 pułk piechoty, nocą z 12 na 13 października.

— Jadł pan coś, pł. panie generale? Zamyślił się.



Ppłk Włodzimierz Sokorski, zastępca dowódcy dywizji do spraw oświatowych.

— Chyba ordynans przyniósł mi termos kawy. Pilem. Nad razem 13 października poprosiłem o zyletkę. Ogoliłem się. Ten drobny gest był także pomocny dla mojego otoczenia.

Z zyciorysu

W pierwszych dniach grudnia 1943 roku, na Kremlu, przewodniczący Rady Najwyższej Michaił Kalinin udekorował dwóch polskich oficerów Orderem Lenina.

Przedwojennego polskiego pułkownika, dziś generała brygady, dowódcę dywizji, która chciała się bić obok żołnierza radzieckiego — Zygmunta Berlinga, i kadrowego przedwojennego działacza komunistycznego, dziś zastępcę dowódcy 1 dywizji — płk. Włodzimierza Sokorskiego.

General Berling przekazał dowództwo 1 dywizji dotychczasowemu dowódcy artylerii 1 dywizji — płk. Wojciechowi Bewizkowi.

Znów szary, codzienny zmój: szkolenie 2 dywizji piechoty im. Henryka Dąbrowskiego, organizowanie 3 dywizji piechoty im. Romualda Traugutta, 1 brygady pancerniej, brygady artylerii, pułku lotniczego, brygad saperkich...

15 marca 1944 roku 1 Korpus rozwiązano w 1 Polską Armię w ZSRR. Jej dowódcą został gen. dyw. Zygmunt Berling.

Dygresja

Był jej dowódcą aż po koniec września roku 1944, pełniąc jednocześnie — od lipca — funkcję zastępcy Naczelnego Dowódcy WP.

Z jesienno-ocznego roku czterdziestego czwartego zachowały się jego wprost dramatyczne meldunki i rozkazy dotyczące formowania 6 dywizji piechoty w Przemyślu i Rzeszowie. Nie działo się tam najlepiej. Żelazną ręką trzeba było znów zaprowadzać porządek.

A na wielkich bloniach we wsi Stawki w powiecie włodawskim przyjmował defiladę i przysięgę 2 saperkiej brygady, której większość stanowili chłopcy z włodawskich wsi. Pamięta ją doskonale po dziś dzień włodawski ludowy działacz, wtedy żołnierz saper, Stanisław Szytko. Wspomina, chyba z nie mniejszym wzruszeniem niż żołnierz 1 dywizji tamtą sieleczkę.

Z zyciorysu

Jesienią 1944 roku skierowano go do Moskwy do Akademii Sztabu Generalnego im. Woroszyłowa. Studiował tu do roku 1947. Od 1948 do 1953 był komendantem Akademii Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

Potem przeszedł do pracy cywilnej. Był wiceministrem PGR, następnie zaś pracował w Ministerstwie Leśnictwa.

W siedemdziesiąty rocznicę urodzin generała broni Zygmunta Berlinga odznaczono Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.

Dygresja

W bieszczadzkiej ciszy, w pejzażu przypominającym mu rodzinne strony, skończył drugi tom pamiętników, którym zamknął bitwę pod Lenino. Pisze tom trzeci. Wierny historii, i pełen pasji, surowych ocen.

Pełen ludzkiej godności, charakteru. Człowiek-legenda, który pozostał w najnowszej historii dzieł ojczystych trwały wpis.

Pokazał drzwi swemu dawnemu dowódcy, temu, który żałował chleba głodującym polskim rodzinom. Gdy jednak — podczas kręcenia filmu — zjawia się w bieszczadzkim domu delegacja harcerzy z najserdeczniejszą prośbą, że chciałby zaprosić generała na ognisko, przeprosił filmowców, nawykłych do narzucania innym dyscypliny.

— Chwileczkę, proszę panów. Pójdę do harcerzy. Umówię się. To niedługo potrwa, parę minut.

Poszedł tym równym, żołnierskim krokiem, prosto — jak przez całe swoje życie.



Na zachód! Wagon fizylierek.

Ignacy Krasicki
prezydentem
Trybunału



Aby Kupido nie zwyciężył Temidy

Roman Łyczywek

DWIEŚCIE lat mija od chwili, gdy na stanowisku prezydenta Głównego Trybunału Koronnego, orzekającego na przemian w Lublinie i we Lwowie, zasiadał Ignacy Krasicki, późniejszy książę-biskup warszawski i arcybiskup gnieźnieński, w kulturze polskiej bardziej znany i zasłużony jako „Książę poetów”, znakomity faworyt, autor satyr i frazsek, ulubiony później biesiadnik króla Stanisława na obiadach czwartkowych.

Wielkie to było dostojęstwo przewodniczyć Trybunałowi, składającemu się z sędziów-deputatów, wybieranych przez sejmiki ziemskie. Młodemu, liczącemu wtedy lat 30 prezydentowi Trybunału przysługująca stała warta dwóch sztydłachów wojskowych. Rzewuski w „Pamiętkach Soplicy” pisze, że gdy prezydent przechodził, to muchę latającą usłyszeć by można było i że wtedy prawy i lewy szereg, między którymi przechodził, ukłonem ziem prawię się dotykał i dopiero kiedy już był o kilka kroków naprzód, jeden łeb po drugim powstawał.

Trybunały stanowiły sąd odwoławczy dla procesów, w których jako strony występowała szlachta. Były najwyższą i w zasadzie ostateczną instancją sądową. W r. 1578 Stefan Batory zrzekł się królewskiego prawa do rozpoznawania odwołań od wyroków trybunałskich. Do wyjątków należały przypadki zmiany wyroków Trybunału w drodze uchwał sejmowych lub powierzenia poszczególnych procesów specjalnie powołanym komisjom sejmowym. Jedynie z punktu widzenia organizacyjno-administracyjnego Trybunały podlegały Wydziałowi Sprawiedliwości Rady Nieustającej.

Dziedzictwo czasów saskich w zakresie moralności wymiaru sprawiedliwości było smutne. Tak pisze o tym interesujący pamiętnikarz Jędrzej Kitowicz w „Opisie obyczajów za panowania Augusta III”:

Sprawiedliwość trojakią miała pobudki, z których następowała; jedna była podług prawa i sumienia, kiedy sprawa toczyła się między osobami to siebie słabymi i żadnego wsparcia od panów nie mającymi. Druga była kupna i przedajna, tą handlowali deputaci z pacjentami bogatymi, uziętymi, reputacją w narodzie mającymi, czyli jak mówią, korupcją zajęte umięjącymi. Trzecia sprawiedliwość wyływała od panów trząsających trybunałami.

Praca, jaka spadała wraz z zaszczytem na barki młodego prezydenta, była bardzo poważna, a warunki, w jakich przysięgał ją wykonywać, niełatwe. Szereg krótkich wzmianek na ten temat zawiera korespondencja między księciem-przydentem a zaprzyjannym z nim Włodkiem, kierownikiem kancelarii włoskiej Stanisława Augusta, Kajetanem Ghigiottim, który w tych latach uzyskał zresztą polską nobilitację.

Pisze więc Krasicki o nieustannym zajęciu, które polega na rozpatrywaniu skarg, sporów i spraw podobnych, jako też na przyjmowaniu wizyt i ustawicznych komplimentów. W innym liście żali się, że uwieczony w kramie matacwa, nie ma ani chwili wytchnienia, lub narzeka, że wzbudziłbym litość, a może śmiech kłopotami mego dostojęstwa.

Dobłą atmosferą dla nowego prezydenta Trybunału stwarzał fakt bardzo poważnego traktowania jego funkcji przez króla. Listy Stanisława Augusta do Krasickiego zawierają szereg wskazań, podkreślających konieczność zachowania samodzielności i uczciwości w sądownictwie. Po udzieleniu Krasickiemu pewnego wytyku za niestosowne powoływanie się na autorytet królewski, pisze na przykład Stanisław August o niezawisłości sędziów: *cóż to za sąd, gdzie przy dobrej stronie sędzia nie dlatego obstawa, że dobra, ale dlatego, że kolega o to prosił.*

Jak chciał Krasicki uniknąć niesprawiedliwego sądenia, niech świadczy wzmianka w jego liście do Jacka Ogródzkiego. Wyznaje Krasicki, że ma pacjentkę panią Niemierczycową, starościna nowosielecką, wdowę tak piękną, że lubom trochę słaby, umyślnie lekarstw dnia dzisiejszego brać nie będę, żeby Kupido Temidy nie zwyciężył.

W innym liście do Ogródzkiego, bliskiego zaufanego króla, pisze Krasicki: *chciałbym być zdalny i uczynić jakowąś pamiętkę prezydentowi. Rozważał możliwość przetłumaczenia jako lektury dla prawników polskich dzieła Cicerona „De legibus”, ostatecznie jednak wybrał do tłumaczenia głównie naówczas (i do dnia dzisiejszego) dzieło francuskiego adwokata Pitavala pt. „Les causes celebres”. Trzy miesiące po objęciu stanowiska ponagla Krasicki o nadanie mu oryginału tej książki Jacka Ogródzkiego i Stanisława Kostkę Czartoryskiego, ponieważ za pracę konieczną potrzebą widzę dla naszych nomine tylko adwokatów. Niestety, nie dokonali Krasicki rozpoczętego tłumaczenia dzieła Pitavala.*

Najciekawszym jednak dokumentem prawniczym, jaki wyszedł spod pióra prezydenta Krasickiego, były „Monita secreta”. Stanowiły one swoisty regulamin działania sądu, a w pewnym stopniu i „kodeks etyki

sędziów”, mówiący wiele o najbardziej groźnych wówczas grzechach tego zawodu.

„Monita” były w istocie określone jako tajne „intra cancellos stubae”, były zaprzysięgane przez sędziów Trybunału i przez nich podpisywane. Oto ciekawsze z przepisów tego regulaminu sądowego.

W punkcie pierwszym „Monita” zakazują sędziom wychodzenia z pokoju sądowego w czasie narad nad orzeczeniem oprócz *necessitate necessitante*. Zła sława niektórych sędziów wskazywała tę chwilę jako najsposobniejszą dla kontaktów ze stronami procesowymi i przekupstwa.

Ten zwyczaj pozostawania w sali narad do ogłoszenia wyroku przetrwał dłużej czas, skoro w dwadzieścia lat później Niemcewicz w „Pamiętnikach czasów moich” opisuje, że sędziowie całą noc zamknięci byli w izbie aż do ogłoszenia dekretu, dlatego by strony nie miały sposobności widzenia się z sędzią i ujmowania ich sobie. Stąd też ciekawa była rzecz widzieć hajduków deputackich, znoszących kilkadziesiąt piernatów i na tych kilkadziesiąt wosatyh deputatów, chrapających pokotem.

Inny przepis zakazywał sędziom, by z *Palestrą i Pacjentami* w żadne *remonstracje* i *kontrauerazy* nie wdawali się, dopóki nie do uszczypliwych słów i porózek nie przystępowali, ale *miłośnicy cnoty i sprawiedliwości* ujęci, *los fortun współobywateli* tak delikatnie *piastowali*, jak *wielkość urzędu i obowiązku* wyciągać *powinno*. Trudno zaprzeczyć, że te pełne wdzięku sformułowania mają trwałą wartość.

Zagadnienie tajemnicy sądowej wtedy, jak i dziś, było kłopotem — *każdy sędzia do zachowania sekretu vinculo iuramenti obligatur*, a naruszenie tej zaprzysiężonej tajemnicy sądowej zagrożone było usunięciem ze składu sędziowskiego. To właśnie Krasicki w tym czasie na łamach „Monitora” jako publicysta wyraził się, że Temidy nie należy rysować z zawianymi oczyma, lecz należy jej wiazać usta.

Następny przepis regulaminu nakazuje ściśle przestrzegać prawa do *corrupto* i *corruptante*, a zachować *Boże*, *ażebym na którego z sędziów trybunałskich cokolwiek pokazać miało*, że sam uległ korupcji.

Chyba wysoce uzasadniony był też inny rygor: *jako każdy zasiadający za cel honestatem mieć powinien*, a temu *niewostrzeżność w najoju zwykła* *bywać przeszkodą*, pod słowem *pościwym* *przyrzekamy sobie*, że *żaden z nas pijany na ratusz nie przyjdzie*.

Z kolei „Monita” zajęły się zagadnieniem kultury rozpraw, obawiając się, by *modestia* i *powaga* *tak wysokiemu jak jest sędziowski stopień przywoła, uszczerbku nie miała*. Specjalnie zaś wskazuje się, by sędziowie w toku sprawy *tak Palestrae jak pacjentów słowy nieprzystojnymi* lub *mniej potrzebnymi* nie dotykali.

A że były kłopoty z palestrą, pamiętniki ówczesnego adwokata Kajetana Koźmiana i Kitowicza nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości. Kitowicz pisze, że *nie raz palestra burzyła się przeciwko samemu deputatowi*, nie przychodząc *na ratusz i nie chcąc stać w sprawach*, *gdym któryś z mecenasów słowem uszczypliwym od marzałka lub innego deputata został urażony*. *Nieraz w takowym razie musiał Trybunał zniżyć powagi swojej, czyniąc palestrze deprecjację*.

Dzisiejsza zasada bezpośredniości i niezmienności składu sądu znalazła swój wyraz w odrębnym punkcie „Monitów”: *od zaczętej sprawy żaden odchodzić nie ma, a kłoby nie był na indukcie i replikach, sentencji dawać nie będzie*. Gdyby nawet przyjąć, że w świetle dzisiejszych ujęć proceduralnych i techniki sądenia niektóre sformułowania „Monitów” są nieco naiwne, były one jednak wyrazem szerszej troski o uczciwe i przywoite sądenie. Ogólnie opierały one działalność sądu na nowoczesnych i postępowych naówczas zasadach.

Wbrew dość jednolitej negatywnej ocenie stanu polskich sądów w tym okresie, zawartej w pamiętnikach Niemcewicza, Koźmiana, Kitowicza, Poniatowskiego, a zagranicznych Williama Wraxalla, Williama Coxa, i Friedricha Schulza — Ignacy Krasicki dawał sędziom swego Trybunału dobrą ocenę. To jego Trybunał został na pewno opisany w „Mikołaja Doświadczyńskiego Przypadkach”: *szczęściem trafiliem na taki trybunał, gdzie nie solenizowano imienia, Xiądz Prezydent nie miał siostrzeńca, a deputaci nie potrzebowali na pourot cudnych kolasek*.

Nie zawsze i nie wszędzie jednak tak było, czego dowodzą inne przygody imię Doświadczyńskiego: *któ ma sprawę, konieczność mu do wygrania trzech rzeczy potrzeba*. *Pierwsza z nich kredyt własny lub wsparcie mocnych protektorów*. *Druga — znajomość lub pokrewieństwo z sędziąmi*, a w niedostatku ten dzielny sposób, *którego lubo wyrazić nie śmiem*, *w potrzebie jednak albo wyrówna lub ucięcie dokaże nad przyjaźń i pokrewieństwo*. *Na końcu się zwyciężają nie kłasi zwykła sprawiedliwość interesu*.

Choć Krasicki prezydenturę Trybunału po niespełna dwóch latach zamienił na książęcy fotel biskupa warszawskiego, w wielu swych późniejszych pismach wracał do problematyki prawniczej i sądowej, którą tak przejął się w lubelskim Trybunału.

„Rozdroża i wartości” Tadeusza Mazowieckiego nie nakładają do napisania zwykłej recenzji, ale raczej do snucia własnych rozważań i refleksji, wejrzenia w świat własnych pojęć i obrachunków z osobistą postawą wobec rzeczywistości społecznej i problemu koegzystencji światopoglądowej. Biorąc za punkt wyjścia konfrontacje przedstawione przez autora, chciałoby się postawić sobie i innym pytanie: *Jaka jest istota dialogu między ludźmi o różnych poglądach na świat i jakie są możliwości nie tylko intelektualnych dywagacji, lecz również praktycznego współdziałania w realizowaniu wspólnego dla wszystkich nowego modelu wartości w dziedzinie społeczno-politycznej, ekonomicznej i kulturalnej na świecie*. Ale szczególnie interesują nas problemy związane z istnieniem polskich realiów w społeczności wieloświatopoglądowej.

Zbiór przemysłów Tadeusza Mazowieckiego obejmuje teksty z różnych lat (1989-1978). Ukazanie procesu dojrzewania postawy personalistycznej autora, który jest posłem na Sejm z Ziemi Lubelskiej (kolo „Znak”) i redaktorem naczelnym miesięcznika „Więź”, stanowi niewątpliwie interesujący atut przedstawionych tu poglądów.

W omawianej książce, której cykl produkcyjny został zakończony tuż po przełomie grudniowym, odczuwa się jednocześnie pewien niedosyt i rodzi się swego rodzaju zaniepokojenie — czy autor przedstawiłby obecnie złożoność problematyki

Staliśmy więc przed kapitalnym problemem: czy doprowadzić do zderzenia obu postaw, czy też do współdziałania w takim zakresie, na jaki pozwalają punkty styżne między dwiema społecznościami, bez zacierania różnic światopoglądowych.

A zatem — czy możliwe jest wytworzenie pod pewnymi względami wspólnej wizji świata doczesnego przez tych, którzy głoszą hasła miłości bliźniego (a bliźnim jest każdy bez wyjątku człowiek) i przez tych, którzy głoszą hasła braterstwa wszystkich ludzi pracy?

Punktem zwrotnym w kontaktach między wierzącymi a niewierzącymi było z jednej strony odejście od dawnej — z okresu kultu jednostki — interpretacji sensu sprawowania władzy w społeczeństwie, a z drugiej strony — wybór papieża Jana XXIII, a przede wszystkim Sobór Powsechny i encykliki: „Populorum progressio” oraz „Pacem in terris”.

Pojawiła się szansa dialogu światopoglądowego rozumianego jako przekazywanie sobie wzajemnie wartości. *Dialog ma zatem miejsce wtedy — pisze Tadeusz Mazowiecki — kiedy zakłada wprost lub pośrednio — gotowość do wniesienia to odmienne racje i to odmienne perspektywę myślenia; to znaczy, kiedy zakłada otwartość na teżoście to odmiennych stanowiskach wartości*.

Mazowiecki cytuje znamienne opinie jednego z młodych intelektualistów marksistowskich: *„Dla wielu chrześcijaństwo jest*

W poszukiwaniu tego co łączy...

Jerzy Damrosz

koegzystencji światopoglądowej w tych samych założeniach i proporcjach, gdyby stanął przed nowym spiętrzeniem zjawisk i natarczywych myśli: co dalej?

Dialog między niewierzącymi a wierzącymi należy rozpatrywać każdorazowo w konkretnej sytuacji historycznej. Nie można jednak tracić z oczu bardziej rozległej perspektywy współzycia ludzi o różnych postawach ideowych, zmuszania siebie ustawicznie do przekładania niezmiennych kanonów światopoglądowych na język wciąż zmieniających epok historycznych.

Nie zamierzam rozważać wszystkich aspektów myślowych omawianej książki, która wyraża credo nie tylko autora, lecz całej grupy intelektualistów zgromadzonych wokół „Więzi”. Chciałbym natomiast zwrócić uwagę na sprawy, które powinny zacheć czytelnika do zapoznania się z tą książką, niezależnie od wyznawanego światopoglądu.

Książka Tadeusza Mazowieckiego jest trwałym dokumentem postawy otwartego katolicyzmu. Nie gromiącego i oskarżającego, nie wywyższającego się i nie przyziewającego. Jest to katolicyzm zaangażowany, sięgający do najbardziej głębokich i autentycznych źródeł humanistycznych, chcący być niezbędnym i ważnym partnerem w dramatycznej walce o nowy kształt świata.

W nowym programie Partii wyraźnie podkreślony jest postulat aktywnego współtworzenia przyszłej Polski przez wszystkich obywateli — wierzących i niewierzących. Podkreśla się zarazem, że konieczna jest pełna integracja narodu polskiego wokół nadrzędnych wartości moralno-politycznych. Stwarza to naturalną podstawę do nowej, bardziej intensywnej formy dialogu wieloświatopoglądowego, zwłaszcza między katolikami a marksistami. Wzajemna postawa wyciągniętej ręki stanowi, niedoceniani jeszcze przez wielu, fakt o doniosłym znaczeniu historycznym.

Byłby jednak uproszczeniem pogląd, że partnerami dialogu są jedynie — kierownictwo partyjne i hierarchia kościelna. Dialog skuteczny musi być dialogiem wielopłaszczyznowym i powszechnym.

Wydaje się, że podstawowe pytania dla uczestników dialogu powinny brzmieć:

1) czy są takie wartości w światopoglądzie marksistowskim i światopoglądzie katolickim, które można uznać za wspólne (przynajmniej w swoich intencjach);

2) czy istnieje możliwość wytworzenia nowych wspólnych wartości, stanowiących wyraz nowego ustosunkowania się do wciąż zmieniającej rzeczywistości — bez naruszania podstawowych założeń światopoglądowych obu stron.

Pytania te, jeśli mają być konstruktywne, muszą być wynikiem przyjęcia określonej koncepcji pluralizmu światopoglądowego, a nie tylko chwytem taktycznym.

Filozoficzny sens rozdziału między światem chrześcijańskim a światem komunistycznym określili kiedyś Mikołaj Bierdżajew, stwierdzając, że komunizm też walczy o królestwo boże — ale bez Boża. Antynomie doktrynalne nie są, oczywiście, jakąś nieuchwytną abstrakcją, podlegającą bowiem za sobą skutki jak najbardziej społeczne, rzutując na powstanie odrębnych koncepcji osobowości człowieka. Ponadto oba światopoglądy są ekspansywne ze swej istoty doktrynalnej, prowadząc do wytworzenia postawy bądź apostołskiej, bądź też rewolucyjnej.

wprost wielkim prowokatorem poznania, głównie zaś refleksji metafizycznej. Jest wielkim prowokatorem moralnym”. Z kolei sam autor „Rozdroży i wartości” stawia pytanie: *„A my, czy nie powiemy o marksizmie, że stał się on dla nas wielkim prowokatorem myślenia historycznego i myślenia społecznego?”*

Przekraczamy kredowe koła. W tej sprawie encyklika „Pacem in terris” posiada znaczenie przełomowe, podkreśla bowiem m. in.: *„Należy pamiętać, że nie można uotożmiać błędnych doktryn filozoficznych, dotyczących natury, pochodzenia i przeznaczenia wszechświata i człowieka, z historycznymi ruchami mającymi gospodarcze, społeczne, kulturalne czy polityczne cele, nawet wówczas, gdy ruchy te powstały z owych doktryn czy czerpały i nadal czerpią swe natchnienie”*. Inaczej mówiąc — nawet z innych doktryn filozoficznych może wyrastać działalność pożyteczna w osądach katolików.

Humanizm personalistyczny katolików i humanizm socjalistyczny marksistów posiadają różne punkty styżne w konkretnym społecznym działaniu. Postawa współodpowiedzialności i postulat współgospodarstwa zawarte w obu humanizmach ułatwiają tworzenie wspólnego modelu społeczno-gospodarczego, tym bardziej, że — jak zauważa autor — *religijność człowieka pracy nie czyni go mniej wartościowym współtwórcą społecznego produktu*.

Zejście jednak z płaszczyzny intelektualnych rozważań w głąb skomplikowanych stosunków i układów istniejących w różnych środowiskach społecznych, a zwłaszcza w tzw. Polsce Powiatowej, budzić może pewien niepokój. Tu już zaczyna się sfera „etykietek” i obiegowych stereotypów, podcinających niejednokrotnie wysiłki pojedyncze ludzi dobrej woli z obu stron.

O tej praktyce niewiele pisze przedstawiciel „Więzi”, sygnalizując jedynie — i to skrótowo — ogólny problem.

Konieczne jest zatem uświadomienie sobie potrzeby tworzenia nowych i starych wartości, przede wszystkim na płaszczyźnie należącej do rozumianego interesu narodowego i tzw. polskiej racji stanu. Trzeba przzenieść dialog między wierzącymi i niewierzącymi „w górę”, prowadzić jednocześnie z poszerzającym się dialogiem między władzą a obywatelami.

Jest oczywiste, że pragnienie odnowy naszego życia publicznego jest powszechne i u katolików i u marksistów, jak też u ludzi o innych jeszcze poglądach. Stwarza to nowe perspektywy udzielenia wielu dziedzin naszego życia społeczno-państwowego.

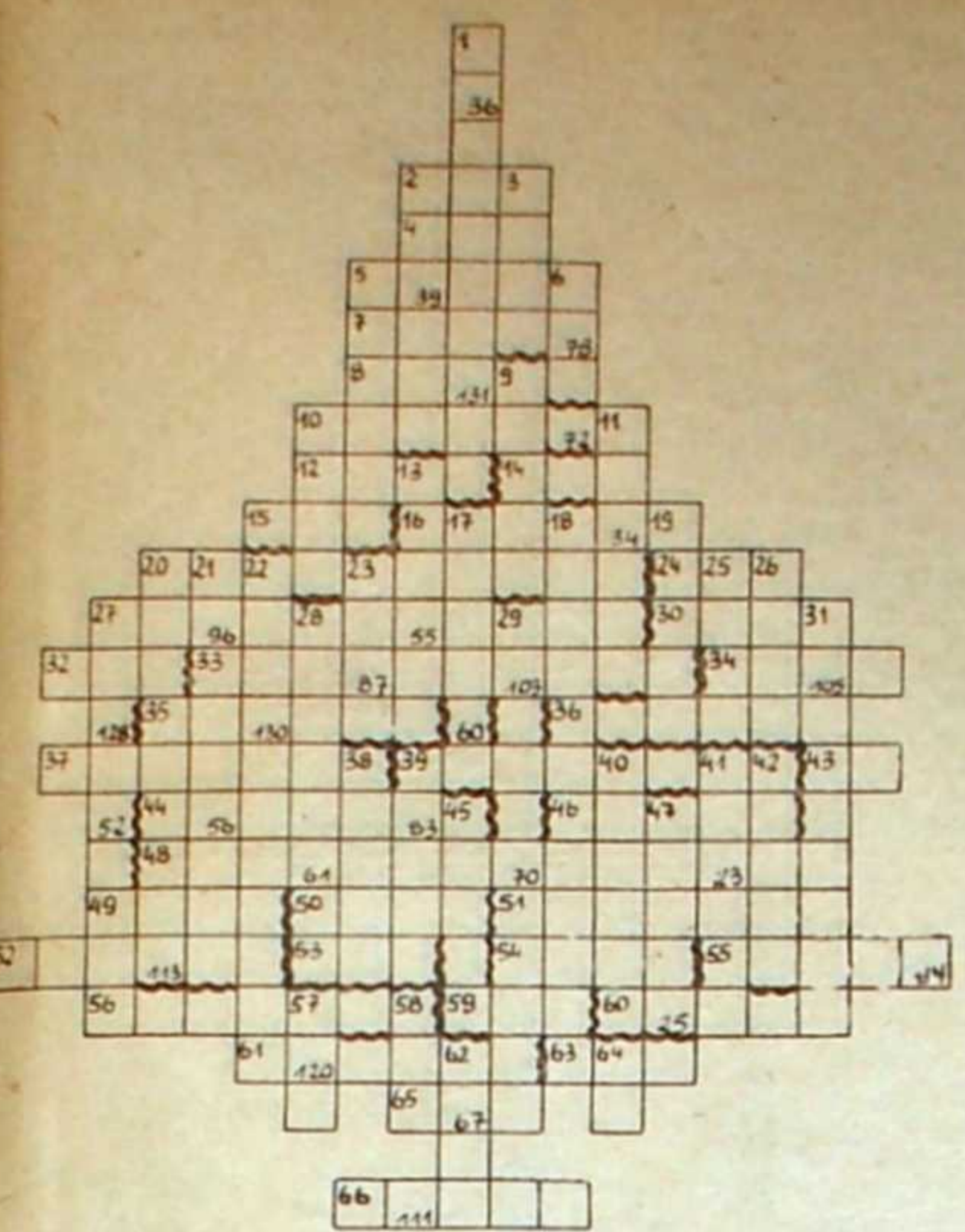
Na ostatniej karcie książki, gdzie autor odsłania częstokroć własnych zmagających z przeciwnościami życia, odnaleźć można głęboko ludzką, a zarazem na wskroś optymistyczną nutę wyznań: *sens dziejów jest sensem obecności ludzkiej, przekazywanej od człowieka — człowiekowi... W tej frazie humanistycznej mieści się najpełniej wyrażona potrzeba i tęsknota człowieka do dawania siebie — innym, wznoszącego się ponad bariery ideologiczne*.

*) Tadeusz Mazowiecki, Rozdroża i wartości, Warszawa 1978, Biblioteka „Więzi” (t. 28), s. 308, cena 49 zł.

Krzyżówki świąteczne

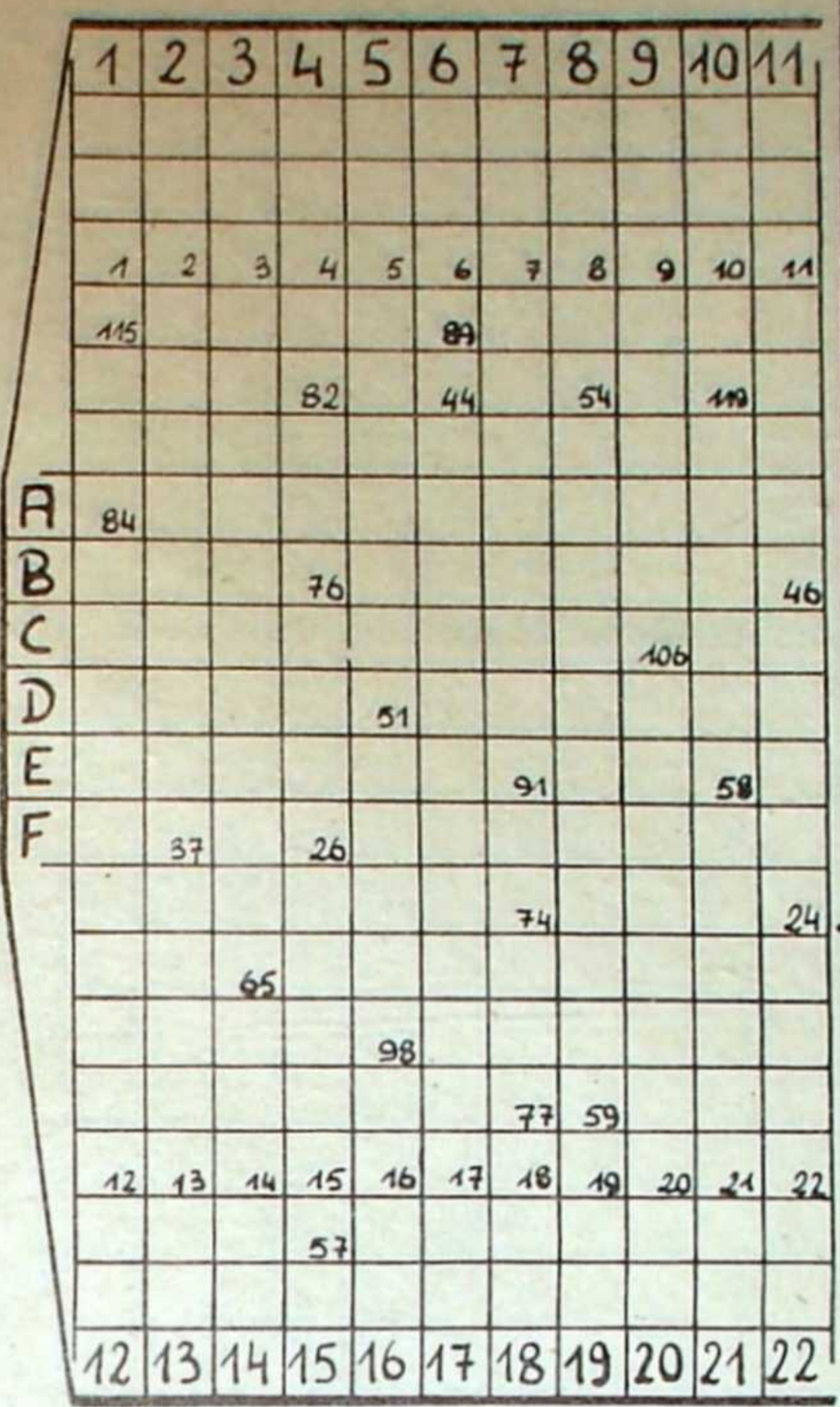
W dzisiejszym świątecznym numerze zamieszczamy cztery krzyżówki, które tworzą jedną całość. Rzeczą polega na rozwiązaniu hasła. Znaleźć je można wypisując kolejno z czterech krzyżówek litery według wzrastającej kolejności liczb (od 1 do 132) umieszczonych u dołu poszczególnych kwadratów.

Liście do
KAMENY

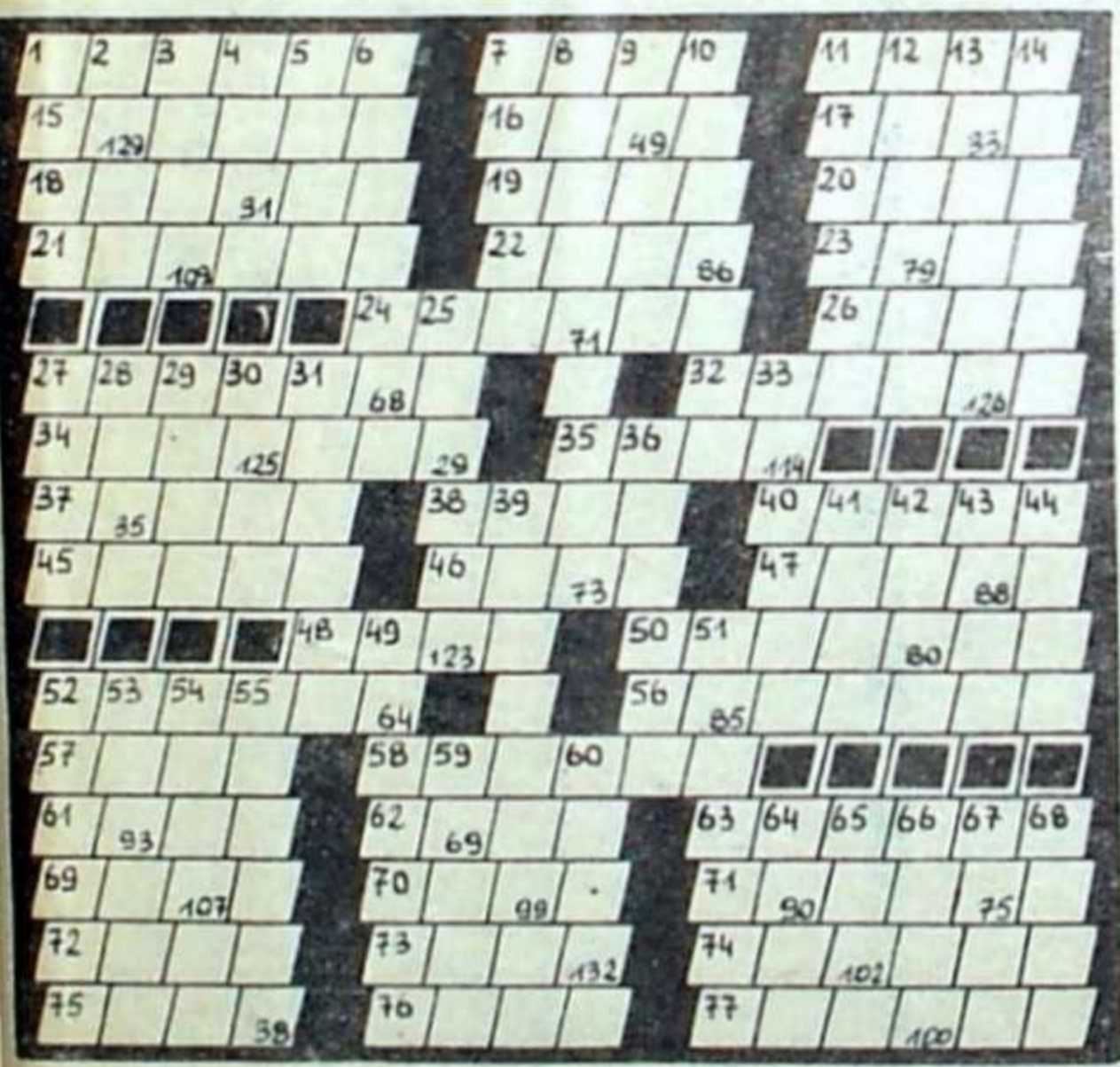


Poznomo
1. grecki bóg pasterzy; 4. kalif, zięć Mahometa; 5. ostrzegawczy znak nawigacyjny; 7. znany czeskosłowacki reżyser filmów animowanych i fantastycznych; 8. powieść Piłniaka; 10. kres, granica; 12. zabawka dziecięca; 14. wolne miejsce w szeregu; 15. drzewo liściaste, 16. forma rośliny lub zwierzęcia danego gatunku, powstała pod wpływem określonych warunków środowiska; 20. włóczka; 21. obietnica; 24. przedsiwonek mityczny; 27. cienka delikatna tkanina, jedwabna z lekkim połyskiem; 30. skrócone nauczanie; 32. w latach 1946-52 pierwszy sekretarz ONZ; 33. najpiękniejsze jezioro Tatr; 34. etap, stadium; 35. film w reżyserii Janusza Morgensterna z Ołtrzychskim i Cybulskim; 36. pisarka katalońska (1873-1932); 37. uderzenie nożem; 38. w mitologii germańskiej miejsce przebywania poległych wojowników; 39. mita lub bóg egipski; 44. rodzaj dorobku; 46. pierwsza część nauki polonisty rosyjskiego; zwolennika tzw. legalnego marksizmu; ostro skrytykowanego przez Lenina (1863-1919); 48. sterowanie statkiem lub samolotem za pomocą radia; 49. w gwarze użelnów - szkoła; 50. miasto w północnych Włoszech; 51. wybitny przedstawiciel szwedzkiej szkoły filmu niemeo, 1883-1928; 52. mocna kawa; 53. wrzątek; 54. umożliwiał nam życie; 55. pseudonim Franciszka Smreczyńskiego; 56. miasto obwodowe na Ukrainie; 59. była kolonia portugalska w Indiach; 60. Zatoka Bałtyku; 61. fenomenalny wynalazca amerykański; 62. długa w zimie; 63. miasto lub zatoka w Japonii; 64. za dużo jej na świątecznym stole.

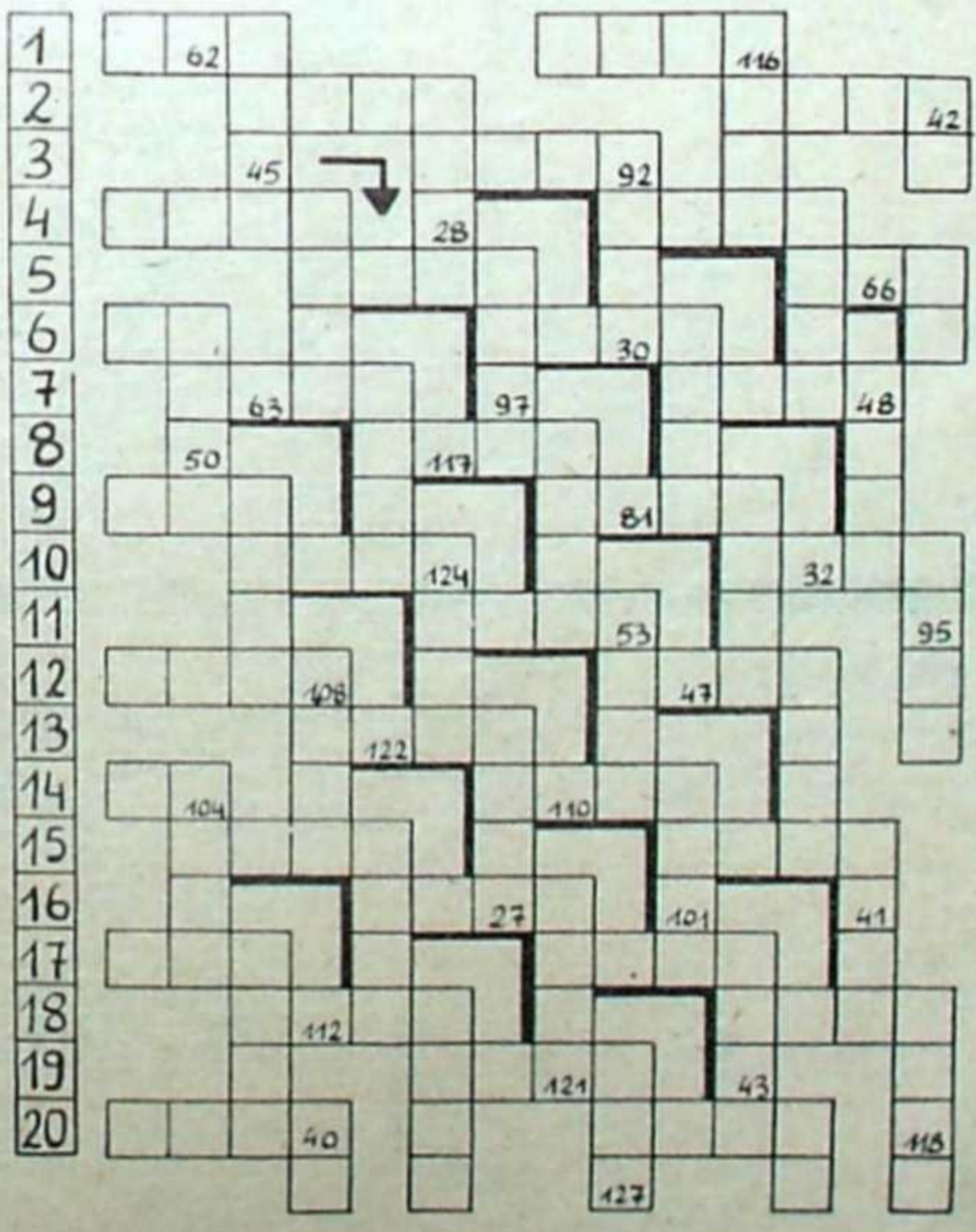
Pionowo
1. Witamina B12; 2. ozdobne naczynie do podawania ciast; 3. pole działalności; 4. zwyczaj niepozorny człowiek; 6. aptekarskie pół na pół; 9. zamieszkuje dorzecze Nilu; 10. stowarzyszenie; 11. furkula; 12. piosenkarka polska; 17. zwierzę gór; 18. stolica państwa Azteków; 19. upolowana zwierzęta ułożona w szeregu; 20. egzotyczna roślina o owocach kształtem przypominających pomarańcze; 21. kwaśny napój z wody, cukru i soku cytrynowego; 22. krótki utwór literacki; 23. polski zespół młodzieżowy; 24. tylna część statku; 25. pisarz słowacki, jeden z twórców literatury proletariackiej (1893-1955); 27. miasto w Azerbejdżanie; 28. inaczej skabioza; 29. park narodowy w USA; 31. maszyna do rozwiłniania szmat; półwyrobów włókienniczych; lub makulatury; 32. jezioro w Islandii; 33. największe jezioro Skandynawii; 40. dramaturg francuski; humor obywatelowy i społeczny - 1820-1888; 41. pisarz francuski, autor „Niebezpiecznych związków”; 42. miasto na Jawie; 43. ptak z rodziny sokołowej; 47. silny wiatr w Tatrach; 47. zakłady w Pomiatojew; 58. litera grecka; 62. orena; wyrok; 64. wał zbudowany przez lodowiec.



Pionowo
1. Słaski brydz; 2. znak wykopalisk na mapie; 3. Sultanał na Półwyspie Arabskim; 4. rodzaj gry w karty; 5. węglowodór nasycony; 6. jak 4 pionowo; 7. „drzące” drzewo; 8. chory dotknięty porażeniem; 9. przyładek na Antarktydzie; 10. zasiada w parlamencie; 11. Polak, autor szkiców literackich w ostatnim okresie życia na Zachodzie (1890-1961); 12. eks - Kulbyszew; 13. minerał, odmiana dwutlenku tytanu; 14. kraj kłonowego liścia; 25. Meander; 27. część pierwiastka; 28. przyjemne spędzenie czasu bez uciążliwego zajęcia; 29. na żołnierskiej czapce; 30. ich dwoje; 31. Góry Birmańskie; 32. Cyganeria; 35. miasto na Wyżynie Irańskiej; 39. w kościele katolickim uroczysty strój liturgia; 40. napój alkoholowy; 42. urodzajna gleba; 43. olejek różany; 44. interwał muzyczny; 45. ustosunkowanie; nastawienie; 51. mlara wiersza; 52. premier Czech w 1918-1919 r.; 53. przedwojenny przebój piosenkarzki; 54. laureat konkursu im. Fryderyka Chopina 1927 r.; 55. Wyspa między Celebesem a Seramem; 59. dawny czołg; 60. facet z talii; 64. nad bagnem; 65. miasto w województwie kieleckim; 66. nad kuchnią; 67. wynik dodawania; 68. „mecz” drewno w tartaku.



Pionowo
1. Słaski brydz; 2. znak wykopalisk na mapie; 3. Sultanał na Półwyspie Arabskim; 4. rodzaj gry w karty; 5. węglowodór nasycony; 6. jak 4 pionowo; 7. „drzące” drzewo; 8. chory dotknięty porażeniem; 9. przyładek na Antarktydzie; 10. zasiada w parlamencie; 11. Polak, autor szkiców literackich w ostatnim okresie życia na Zachodzie (1890-1961); 12. eks - Kulbyszew; 13. minerał, odmiana dwutlenku tytanu; 14. kraj kłonowego liścia; 25. Meander; 27. część pierwiastka; 28. przyjemne spędzenie czasu bez uciążliwego zajęcia; 29. na żołnierskiej czapce; 30. ich dwoje; 31. Góry Birmańskie; 32. Cyganeria; 35. miasto na Wyżynie Irańskiej; 39. w kościele katolickim uroczysty strój liturgia; 40. napój alkoholowy; 42. urodzajna gleba; 43. olejek różany; 44. interwał muzyczny; 45. ustosunkowanie; nastawienie; 51. mlara wiersza; 52. premier Czech w 1918-1919 r.; 53. przedwojenny przebój piosenkarzki; 54. laureat konkursu im. Fryderyka Chopina 1927 r.; 55. Wyspa między Celebesem a Seramem; 59. dawny czołg; 60. facet z talii; 64. nad bagnem; 65. miasto w województwie kieleckim; 66. nad kuchnią; 67. wynik dodawania; 68. „mecz” drewno w tartaku.



Pionowo
1. Słaski brydz; 2. znak wykopalisk na mapie; 3. Sultanał na Półwyspie Arabskim; 4. rodzaj gry w karty; 5. węglowodór nasycony; 6. jak 4 pionowo; 7. „drzące” drzewo; 8. chory dotknięty porażeniem; 9. przyładek na Antarktydzie; 10. zasiada w parlamencie; 11. Polak, autor szkiców literackich w ostatnim okresie życia na Zachodzie (1890-1961); 12. eks - Kulbyszew; 13. minerał, odmiana dwutlenku tytanu; 14. kraj kłonowego liścia; 25. Meander; 27. część pierwiastka; 28. przyjemne spędzenie czasu bez uciążliwego zajęcia; 29. na żołnierskiej czapce; 30. ich dwoje; 31. Góry Birmańskie; 32. Cyganeria; 35. miasto na Wyżynie Irańskiej; 39. w kościele katolickim uroczysty strój liturgia; 40. napój alkoholowy; 42. urodzajna gleba; 43. olejek różany; 44. interwał muzyczny; 45. ustosunkowanie; nastawienie; 51. mlara wiersza; 52. premier Czech w 1918-1919 r.; 53. przedwojenny przebój piosenkarzki; 54. laureat konkursu im. Fryderyka Chopina 1927 r.; 55. Wyspa między Celebesem a Seramem; 59. dawny czołg; 60. facet z talii; 64. nad bagnem; 65. miasto w województwie kieleckim; 66. nad kuchnią; 67. wynik dodawania; 68. „mecz” drewno w tartaku.

„Tabu”

W związku z artykułem, jaki ukazał się w dwutygodniku „Kamena” z dnia 21 listopada br. pod tytułem „Tabu” Lubelskie Przedsiębiorstwo Robót Inżynierskich w Lublinie poleca, że w przyszłości instalacja sanitarna w budowlach mieszczących w biurach została wykonana w pierwszej wersji o 2 metry krócej, aniżeli należało.

Powodem tego stanu było niedopatrznie kierownika budowy, który wykonał te instalacje jeszcze przed wystąpieniem wali produkcyjnej, na skutek błędnego nastawienia do odpowiedniego punktu mającej posłużyć budowy, poprzętu biał, o którym wyżej mowa.

Po stwierdzeniu tego stanu, nieprawidłowość poszczególnych instalacji natychmiast usunięta, co nie spowodowało absolutnie żadnego zahamowania robót na wyżej wymienionym obiekcie.

Informując o powyższym jednocześnie dziękujemy za rzeczową krytykę, która w przyszłej naszej pracy pozwoli nam na uniknięcie podobnych błędów.

Z-ca Dyrektora
d/s Technicznych
inż. Kazimierz Piecha

Wyjaśnienia

W nr. 21 (183) „Kamena” z dnia 21.XI.1971 w dyskusji „Jak wykształcił model Polaka?” na str. 7 w drugiej kolumnie wydrukowano zdanie zaczynające się od słów: „U pedagogów...”, kończące się słowami: „...jak poprawić to, co jest”. Zdanie to, wypowiedziane przez doc. dr hab. M. Subotowicza, wyrwane z kontekstu, ma w druku inny sens, niż nadał mu jego autor podczas dyskusji, skróconej w opracowaniu redakcyjnym.

W związku z felietonem pt. „Co w prasie piszczy” („Kamena” nr. 23 (187) działy Wydziału Mat.-Fiz.-Chem. UMCS w Lublinie poinformował redakcję, że umożliwiono p. Ryszardowi Borowskiemu z Annapola kontakt z przedstawicielami oddziału Polskiego Towarzystwa Matematycznego celem przedyskutowania jego idei. Z kontaktu tego p. Borowski skorzystał przed napisaniem listu do redakcji. W związku z powyższym zarzut o braku zainteresowania władz, skierowany pod adresem Wydziału, jest niesłuszny.

«KAMENA»

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WISNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTAŃSKI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MANKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI - członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSLAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WISNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta - ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacja w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch”. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Alje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unieka 4.

Numer biał: KONSTANTY KEPA
Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 253-91, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-25

Korespondencje zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131, pocztowa i ekspresowa - pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 3001. 27.XI.71. 15.000. A-3

Z podanych niżej wyrazów należy ułożyć przez anagramowanie 34 nowe wyrazy i wpisać je do diagramu. Pierwszą część wyrazu wpisujemy pionowo, drugą pionowo.

- Wyrazy do przeanagramowania:
- Lie + pak - Pat + Klio
 - Jaz + wina - Terma
 - Kyd + Zama
 - Ami + Aral - Kil + mecz
 - Kac + Feja - Olza
 - Easka - Aie + Bach
 - Zak + sapa - Pas + kule
 - Cer + wiza -
 - Bax + lam - Pak + czar
 - Lak + sand - Rea + plik
 - Sir + Reed
 - Heca + Ulm - Sen + kurz
 - All + lina
 - Stopa - Kir + mona
 - Tal + ucho - Kra + zona
 - Cal + poza
 - Ser + pik - ort + mara
 - Wad + trak - Zan + tryt
 - Por + zad
 - Brawa - konar

Rozwiązanie krzyżówki nr 34

Pionowo: makalagwa, hakitus, termoterapia, Luzon, rycina, Centkiwicz, Charny, Prokop, drań, etap, suszka, raster, Apollinaire, luzyt, Kowno, Kuncewiczowa, alarmy, rezmiczek.

Pionowo: Mielec, Korzeniowski, lotnik, garaż, amorki, Kiedrzyński, kwarc, szarobrzca, Iwaszkiewicz, imperatywny, wada, paralaksa, apel, oficer, Lahore, nakazy, erotyk, secer.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 24 nagrody wynosowały:

Stanisław Kisiel, Wisznice, ul. Rowińska 26, pow. Włodawa, Halina Piechota, Lublin, ul. Ogrodowa 9 m. 2, Franciszek Wodecki, Lublin, ul. Lęczyńska 58 m. 21, Halina Kamińska, Elk, ul. Armii Czerwonej 1a m. 23.

W Lublinie każdy może być artystą...

GERALIA EL w Elblągu, prowadzona przez Gerarda Kwiatkowskiego, człowieka o wielkiej duszy i jeszcze większych pomysłach...

czy chcą się sprawdzić w działaniu. Pragnienie, by nasz ruch był szeroki i swobodny... O programie takim można powiedzieć, że jest ambitny i związany z duchem czasu...

choć na pewno kryje się za nim dramat sztuki naszego wieku. Ale sztuka konceptualna stała się dla wielu terenem taniej zabawy, kompromitującej ideę...

wysoko, niezależnie od życia i wpływowość społeczeństwa. Jest to wierutna bzdura. Mniej lub bardziej dostrzegalnymi kanałami społeczeństwo wyolbrzymia swój nacisk na sztukę...

MINUTA MYŚLENIA

Boryny nie było

W E wtorek, dnia 23.XI.71, przysłucałem się „Panoramie literackiej” w telewizji. Wprawdzie panorama to jest coś do oglądania a nie do słuchania...

bie wieczność. Mianowicie o młodości i kulturę. Kiedy publicystyka wędnie na brak tematów, nieodmiennie pojawiają się rozważania wychowawcze, albo uty skliwania na brak finansów dla większych klubów...

jako podmiot, a większy — jak przedmiot zagadnienia. I co właściwie znaczy, że chłop dzisiejszy ma większą swobodę w realizowaniu swej indywidualności? Pomyłka. Ma większą możliwość (modne słówko) manewru socjalnego...



Rys. L. Szalecki.

FELIETON Z REZERWY

Polowanie na asów

K IBIC sportowy to taki człowiek, który albo sam uprawiał sport i ma z daną dyscypliną jeszcze takie czy inne powiązania, albo nie mógł czynnie uczestniczyć...

mentarzy określić pojęcie sportu, definicja powinna brzmieć w ten mniej więcej sposób: rywalizacja między zawodnikami i klubami...

osrodkiem, który zapewni organizacyjno-techniczne możliwości dla pobiegania, poskakania, pogrania w piłkę czy popływania...



Rys. W. Fuglewicz.

Odpowiedzi redakcji

J. L. w Kłobucku. Publikujemy oto jedną Pańską fraszkę: „Wychodzą w kraju ponoć „Literzy”. / Więcej ich czy tylko cztery?...”

K. M. w Bielsku-Białej. Na druk — naszym zdaniem — za wcześnie. Dobrze byłoby, gdyby skontaktował się Pan, jak już kiedyś było...

FRASZKI Czesław Twardzik SYNOD O CELIBACIE SUSZA I WODA Jerzy Leszczyński SĄD O SATYRZE GWOLI SPRAWIEDLIWOŚCI DARCIE SZMAT REKORD NOWOŻYTNOŚCI

Ziemia i Pieśń

Rok VII Grudzień 1971 Nr 21

Emilia Michalska

Wojtusiowa gwiazdka

Wojciechowi Siemtonosowi

Spadła gwiazdka,
Zapłatała się w gałązkach.
Drzewa w zachwycie oniemiały.
Słowik zakłaskał.

A Wojtuś — bosko
biegnąc za krówkami
swoimi:
rzucił bacik,
wdrapał się w gałązki
i pochwylił gwiazdkę
rękami gołymi...

Wiosenny zefirek
okłiszcze rosę dziergał.
Gwiazdka
do serca Wojtusia
przyległa
i szepotała:
Pójdź za mną!... Przerastomily...
świętym szlakiem Kolberga.

Pruchna, pow. Cieszyń

Maria Kozaczkowa

Wigilia

Kiedy blask gwiazdki na niebie
zaplanął,
Ojciec brał białe ze stołu opłatki
W swe twarde, drżące ze wzruszenia
dłonie
I z życzeniami podchodził do matki
A potem do nas.

Co rok nas w domu gromadziła
gwiazdka,
Stopniowo cichnął szum dziecięcych
gwarów,
Coraz się rzadziej uśmiechała matka
I smutniał ojca wzrok zza okularów.

Teraz, gdy dzieci zagaszą choinkę
I o północy biegną na pasterkę,
Marzę cichutko, by na mnie choć
chwilkę
Spoczęły tamte, żywe matki ręce

Dąbrowa Tarnowska



Fot. Moroz (CAF)

Hanka Nowobielska

Pastorałka

Panienecka ślicno jak lelija
chudobnom se stajnie umielita.

Nie sukala białyk izb bogacy,
kie synecka miała zrodzić w nocy.

Owinęła włosnym go fartuchem,
położyła w sianko, jak śkło krucho.

Zasumiały smreki w okienecko,
kie się dziecku kichło: Na zdrówcecko!

Jesce chwilkę, mój malučki, cekoj,
juz cie bedam zarusieńki plekać.

Ino musem ozsnurować gorset,
nie plac-ze mi, mój synecku, prosem.

Nim janiółków cie otocą rzesza,
niekze sama tobom sie uciensem.

Zakieła się haw ludziska zgichną,
wypełnimy szczęciem stajnie lichą.

Na podolecku ci nie będzie zimno,
przy mamuśki sercu nynoj, nynoj...

Białka Tatrzańska

Adam Pach

Kolęda góralsko

Janiółkowie Mu śpiewajom
Pasterze przepięknie grajom
A malučky dzieciętko
Nakormiła oblačila przytulila
Do serdecka matusienska Maria
Uśnij uśnij malučki
Świat Cie cekoj calučki
Bo bez Twoje narodzenie
Przysło na świat odkupienie.
Uśnij uśnij malučki

Kolysala i lulala
Swojom malom krusyne
A Jezusik Boskie dziecie
Lnianom główke tulil słodko
I przyciskol na serdusko mamino
Luli luli mój mały
Narody Cie cekoj
Dziś słowo ciałem się stalo
I między nos zawitalo
Luli luli mój mały.

Zakopane



Wycinanka Bronisława Pietraha z Gutanowa (pow. puławski).

Henryk Biłka

W noc wigilijną

Pamiętasz?
Wigilia —
gwiazdy na granatowym niebie
mrugały zimno i grażnie,
serce — wylękł ptak
trzepotało wzruszeniem:
tak.

Najdroższe, kochane ręce
podawały
biały
opłatek —
duszy dziecięcej
świątek,
dopełniało szczęście
śpiewanie kolędy.
Tamto —
spłynęło latami.

Inna jest dzisiaj wigilia —
i często inni z nami pospół
do wigilijnego znow usiądą stołu.
Dziś pole
też pokrył śnieżek biały,
też biały obrus na stole
i w ręku biały opłatek
i kolorowa choinka —
uciecha dziatek
błyśnie świecami.
W ten wieczór
czyż najdroższe dłonie
uściskną przyjaźnie skołataną głowę
twoją
i drągle usta wyszpepczą życzenia.

Andrychów

Michał Basa

Idą kolędnicy

Z turoniem idą kolędnicy po wsi,
Cisza śpiew ich daleko przynosi.
Słychać bęben, słychać też wołanie,
Hukanie Maszkary, Turonia kłapanie,
Dzieciarni wrzaski i dziewczuch piski —
Już są z Turoniem — tu blisko.
Bo kolęda z Turoniem w tej stronie
I kobylką — takim sztucznym koniem —
Jest wesola, jest porywająca,
Wiekie cale nasza, wiejska, swojska.
Wesołe kolędy, radosne zabawy nasza,
Idźcie na wyciągi z czasem
Niech płynie śpiew od zmroku do rana,
Cała wieś wówczas taka rozśmiana,
Roztańczona, rozśpiewana,
No bo takie wesołości rodzaj
Kolędnicy, gdy z Turoniem chodzą
Po wsi.

Tarczek, pow. Starachowice.



„Wojtusiowa gwiazdka”. Wycinanka Emilii Michalskiej.

Melania Burzyńska

Zima

Białe tumany wiatr żyło gno,
myśliwska trąbka gdzieś w lesie gra,
mroz-ciesła mosty stawia na rzekach,
baron swą skórą właził na człowieka,
w żelazną rękę mroz władzę ima —
hej, zima, zima!

Jaświly, pow. Mońki

Pogłosy ziemi

STATNIO na rynku księgarskim ukazała się antologia współczesnej ludowej poezji religijnej pt. „Pogłosy ziemi”. Wyboru dokonał i przedmową opatrzył książkę Stefan Jończyk. Obserwując od lat wielki popyt wśród społeczeństwa na sztukę ludową, można przewidywać, że książka ta szybko zniknie z półek księgarskich. Warto na marginesie tej sprawy wspomnieć, że w dziedzinie poezji ludowej ani Wydawnictwo Lubelskie, ani Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza nie mogą zapisać na swoim koncie tak wysokiego nakładu (3000 egz.) jak PAX.

Po dokładnym zapoznaniu się z zawartością wstępu nieodparcie nasuwa się pytanie: czy istotnie spełnia on właściwą, oczekiwaną rolę i czy odkrywa nam nie znaną bądź zaniedbaną dziedzinę współczesnej poezji ludowej? Zaczniemy od spraw ogólnych. Autor wstępu kategorycznie formułuje, iż współczesna literatura ludowa jest zjawiskiem masowym, spontanicznym, nie ujawnia jednak w pełni przyczyn i źródeł tego rozkwitu poza argumentacją, że patronują temu zjawisku Stowarzyszenie Twórców Ludowych, LSW i WL. Na próżno we wstępie czytelnik szukałby innego rodzaju bodźców, które wpływają na wyjątkowy rozkwit poezji wychodzącej spod piór rolników, jak: nagrody pieniężne, stypendia, odznaczenia, konkursy, festiwale, wystąpienia radiowo-telewizyjne nie tylko w kraju, ale i za granicą, kolumny poetyckie w pismach, biuletyny itp. Właśnie tego rodzaju doping

wpływa na zaktzywizowanie twórców i stąd folklor w Polsce nie jest zabytkiem muzealnym lecz zjawiskiem żywym, rozprzestrzeniającym się od Bugu do Tatr i Baltyku.

Dyskusyjne wydają się także rozważania Jończyka na temat stanu badań nad twórczością ludową i zdefiniowania pojęcia „twórcy ludowego”, zwłaszcza że autor nie zaakcentował, jaki jest jego własny pogląd na tę sprawę, a pozostawił właściwie problem otwarty. Trudno też zgodzić się z poglądami na temat roli Jantka z Bugaja czy Kajetana Sawczuka, autor wstępu pisze bowiem:

... poeta ludowy charakteryzował się niską kulturą literacką, prymitywnym pojmowaniem sztuki poetyckiej, nader utylitarnym, praktycznym traktowaniem celów poezji, widział swą twórczość jako formę działalności i narzędzie walki o interesy swojej klasy, o sprawiedliwość i poszanowanie dla chłopca, o lepszą przyszłość polskiej wsi.

Szkoda, wielka szkoda, że Jończyk nie sięgnął wprost do utworów K. Sawczuka i nie poznał bliżej biografii niezwykłego jak na owe czasy reprezentanta wsi podlaskiej, bo wydaje się, że skorzystałby wiele, a przynajmniej wstrzymałby się od płytkich, krzywdzących poeie osądów. Podobnie rzecz ma się i w przypadku Jantka z Bugaja — jednego z założycieli „Wsi — Jej Pieśni”. To fakt, że wspomniani poeci walczyli o interesy swojej klasy, ale zabrakło we wstępie stwierdzenia, że spełnili swoją rolę, rolę forpcz w postępie społecznym i że

wyrośli ponad swoje środowisko. Niemniej jednak poza utworami o charakterze programowym, znajdujemy w ich dorobku wiele pereł prawdziwej, ludowej liryki, o czym należy także pamiętać. Poza tym na przykładzie twórczości wspomnianych poetów można sobie doskonale zdać sprawę z tego, jak byt kształtuje ludzką świadomość.

Zabrakło we wstępie Jończyka również wyliczenia przed odbiorcą kryteriów wyboru zaprezentowanej w „Pogłosach ziemi” twórczości, tak pod względem zawartości treściowej, jak i formy. Krytyk nie uczulił odbiorcy na to, że mamy do czynienia z interesującym twórczym literackim (legendy typowe dla niektórych regionów, przypowieści, rola obrazów o tematyce sakralnej) i ciekawą realizacją artystyczną, formalną. „Święci” — najchętniej portretowani przez twórców ludowych — to ci przede wszystkim, którzy nieodłącznie w przekonaniu chłopów o światopoglądzie katolickim patronują pracy na roli (Matka Boska Siewna, Zielna) i że Boga szukają nie w kościołach i woni kadzidła, ale modlą się do wyoranych skib, skowronków i towarzyszących przy pracy, doszukują się jego wielkości w urodzajnych kłosach wieńca dożynkowego czy pośród szumu i cienia strzelistych sosen.

Zastanowienie budzą także nowe motywy, jakie wkraczają do poezji religijnej, motywy typowe dla naszej epoki — sprawy okupacji hitlerowskiej, odbudowy powojennej, czy odnotowanie poetyckie współczesnych społecznych przemian i

obok tych spraw nie można przejść obojętnie, bo takie właśnie jest prawo życia. Szkoda także, że pod wieloma utworami zabrakło informacji o czasie ich powstania, bo byłaby to niezmiernie interesująca rzecz dla badacza współczesnej poezji ludowej.

Można by podjąć także dyskusję z Jończykiem na temat stwierdzenia autora o głębokiej religijności współczesnej polskiej wsi, a upoważniają do tego chociażby noty biograficzne o twórcach, bowiem analiza wieku poetów ludowych zaprezentowanych w antologii nastrocza już wstępny problem do podjęcia dyskusji z autorem.

Zastanawia także fakt, że spośród 1000 nadesłanych utworów uwzględniono w „Pogłosach ziemi” zaledwie 119 wierszy, które wyszły spod piór 37 autorów, z tym, że niektórzy z twórców prezentowani są dwoma lub jednym wierszem... oraz i to, iż autor robi zastrzeżenie, że w tomiku znajdują się utwory, które w większości nigdzie nie były publikowane. Nie miejsce tu wprowadzić na udowodnienie danymi liczbowymi, gdzie i kiedy były one w dużej części publikowane, ale wystarczy uważnie przejrzeć kolejne tomy „Wsi tworzącej”, czy indywidualne tomiki niektórych twórców, by zmienić trochę zdanie na ten temat.

Dziwić się także należy Jończykowi, że tak niefrasobliwie stwierdził, iż w „Pogłosach ziemi” spotykamy m. in. nazwiska poetów zaprezentowanych w „Wieży malowanej”, która przecież przedstawia anonimową twórczość ludu i na próżno szukać w niej czyichkolwiek nazwisk. Można natomiast wspomnieć się o bogatsze prezentowanie utworami takich twórców, jak np. Józefa Kapuścińskiego, który w swoim światopoglądzie był konsekwentny do końca życia i w dorobku poetyckim zostawił tak wiele utwo-

rów religijnych, że wystarczyłoby na opasy tom, tymczasem w antologii znalazło się ich zaledwie pięć. Szkoda, bo to był naprawdę dobry poeta. Podobnie jest i z Janem Pockiem. Można, nawet trzeba się upomnieć o ludowych poetów tej miary, co Ignacy Antosz, Michał Basa, Franciszek Beciński, Władysław Flis, Paulina Hołyszowa, Walenty Jarecki, Maria Kozaczkowa, Władysław Laudanski, Aleksandra Mallszewska, Dionizy Mallszewski, Józef Małek, Jan Nadolny, Stanisław Neumert, Wilhelm Piwowarczyk, Stanisław Poreba i in.

W antologii zabrakło w sposób wyraźny materiału o charakterze ilustracyjnym (reprodukcji obrazów malowanych na szkle, włączających się tematycznie z utworami, fotografii pisanek, palm wielkanocnych, rzeźb o charakterze sakralnym itd.), które wzbogaciłyby tom o nową dziedzinę twórczości ludowej z pozytywnym estetycznym dla odbiorcy i dla sławy ich autorów. Zastanowienie budzi także obwołana, interesująca wprowadzić od strony „handlowej”, ale budząca sprzeciw historyków sztuki, znawców mądron ludowych i ich przedstawienia formalnego. W sumie jednak tom należy uznać za interesujący i wypada przypuszczać, że spotka się z żywym zainteresowaniem czytelników. Pragnąc go już dziś sympatycznie „Ziemi i Pieśni” przybliżyć chociaż w skromny sposób — zacierpnaliśmy z niego kilka wierszy o tematyce związanej z nadechodzącymi świętami Bożego Narodzenia.

Elżbieta Rosiak

Pogłosy ziemi. Antologia współczesnej ludowej poezji religijnej. Wybór i przedmowa Stefan Jończyk. Warszawa 1971. Instytut Wydawniczy PAX, s. 242, 2 nrb.

Czesław Skórski
Strudzone pola

Strudzone, zielone pola
już dawno milczą pod śniegiem
o kuropatwy z głodu
usiady pod ich brzegiem.

Wszędzie się wlece biała patyna,
tu i ówdzie biel przesłania oczy,
lecz nim biała magia minie,
lód z wodą się bystrą potoczy.

I uchwyci chłop pług w dłonie,
krzyknie na konie siwe,
wyrzyż ziemia złotocząrną
słonecznie, szczęśliwie.

Stekłowska Dolina, pow. Jasło

Józef Małek
Skrzypi wóz

Polem, lasem jechał grudzień,
białą zimę wioził.
Raz na śniegu, raz na grudzie
skrzypiał grudnia wóz.

— Skrzypi wóz,
będzie mraź! —
rzekł wróbel do szczygła.
I na noc,
jak pod koc,
główkę skrył pod skrzydło.

Boży Dar, pow. Bychawa

Jan Nadolny
Przed Nowy Rok

Gody gziode nakłoniły
srebrnym śniegiem
przed Sylwestra przed Nowyrok
i Tzech Kroli
w seregu

dla jeleniów dla zającow dla dzików
i siarnow
betlejemska sopka
mętni dol mama

aż ku słońcu się podniesie
Gromniczna
a Roztorna stopą zdepcze
długość nocy i chłód
krystaliczny

wtedy głowę swą podniesie
calusienki bar
i ja w niem

bo dziś w lesie
srebrny urok głodujący

niech sytność nastanie

Wielbark, pow. Szczytno

Stanisław Pająk
Idą
kolędnicy

Przez grudniowy śnieg,
w mraźny nocny czas,
idą kolędnicy,
idą tu do nas.

Małci gospodarzu,
przyjmij nas ochoczo,
nie zamykaj bramy,
my ci zaśpiewamy.

Skrzy się srebro pól,
w górze mleczny tiul,
anielskie włosy gwiazd
lgną do ludzkich gniazd.

A chodźcież, pastuski,
razno zaśpiewajcie,
a gdy skrzypka macie,
to nam i zagrajcie!

Sucha Beskidzka, pow. Żywiec

Wilhelm Piwowarczyk
Klimek Bachleda

Omal, że duszą straszliwe chmurzyska
między ostrymi jak brzytwy szczytami — — —
To nie zmyślenie. — Nie! — Tam ogniem błyska
Giewont, Kasprowy z czarnymi turniami...

Wichurą gradu bije niebo w skały,
Rysami wstrząsa, nagina, rozrywa — — —
Miegunzowiecki tum pryska zbutwiał
i rynną zrzuca w dół fale kruszywa.

Pędzą wylomy, odpryski, kolosy — — —
Pędzą szaleńczą i pionową siłą.
Po ścianach grają piorunów odgłosy,
ziemia pęka błyskawic rżnięta siłą.

W przyrody — w samym środku tego piekła.
w ścianie Jaworów polamany człowiek... — — —
— Odpadł od skały, gdy burza się wściekła.
Alarm — kto żywy! — — — Pędzi pogotowie.

W ciemnościach nocy, wśród deszczu i lodu,
stapa za stopą — powoli — — — uparcie,
ostrożnie. — Słychać już jaki spod spodu: —
tam Szulakiewicz czuje — idzie wsparcie.

Idzie — — — Pod nogą zmurszała polepa,
w dłoni chwycił uchwyt drży jak kreda — — —
Wtem ryknął piorun — wypadł chwyt i — — — w przepaść
za głazem runął — Klimek Bachleda!

Klimek Bachleda — członek Ochotniczego Pogotowia Górskiego — zginął 6 sierpnia 1919 r. w czasie nocnej wyprawy ratunkowej wśród straszliwej burzy w Tatrach.

Klimek Bachleda wspinał się po odizolowanych szczytach i ścianach skał, mimo wstrzymania akcji ratunkowej przez kier. Pogotowia Górskiego Zaruskiego parł, na ratunek Stanisława Szulakiewicza, który odpadł od ściany w rejonie Jaworowych Szczytów. (Mały Jaworowy — 2234 m, Wielki Jaworowy — 2424 m).

Dionizy Maliszewski Elżbieta Daniszewska
Wiersz zimowy Zima

Zmierzch — samotna latarnia,
śnieg pod nią tnący z ukosa.
Płatki — białe motyle —
cicho siadły w twych włosach.

Przed nami już pusta uliczka
pod niebem pachyłym chmurami
i okna świecą nad ziemią
szczęścia ludzkiego gwiazdami.

Idziemy pod śnieg i wiatr
trzymając się za ręce —
a w twoich dłoniach jest światło,
które rozjaśnia me serce.

I gdy do mieszkań wkrada się sen,
stary łakr w białym zawoju,
na dobranoc całuje cię tkliwie
pod uliczną latarnią spokoju.

Ostrolęka

Białe ścieżki deptają cicho
ludzkie stopy,
odrunęły kuropatwy
w śnieg głęboki.

Świt ustroił białym szronem
drzew gałęzie,
lecz z góry puchy białe
jak łabędzie.

Gwiazdy sięgają srebrne błyski
w ciche nocy,
mróz wyszczerza wilcze pyski
zza wykrótów.

Wicher usnął w wielkiej zaspie
tuż przy drodze,
rzeka się okryła płaszczem
z tafli lodu.

Knyszyn, pow. Mońki

Autonomiczny dodatek „Ziemia i Pieśń” redaguje
dr Roman Rosiak



Fot. Moroz (CAF)

Hej, kie jo se był mały
musiołek sługować,
drzewo rąbać, sieckę rzezać,
noj nieroz głodować.

BYŁO to wycie akurat w ostatnim roku mojej służby u gazdy Gubały w Polanach. Godom wome, ze w ostatnim, bo mi sie więcej służyć nie kciało.

Ni mocie sie ani co cudować, e bok sie ta już dość od małego kołka nasłużył, a przecie jek haw ciek już niedzisiej-sy, bo mi pięć dwaścia mineno wtej, kie Morcina Pipcykowego babke chowali, a chłop w tyk rokak to przecie nie słuzyc, hale cas samemu jakiej kucharecki posukć — haa!

Hale do casu zjednanego musiołek dostużyć, a służba kończyła się wroz z casem, kie sie jeden rok kończy a drugi zacyno. Święta Godnie były już jakby na karku. Gaździna ze swojom dziywkom Janielcio, co ino jom jednom miała, strasce ryktowania do tyk Godnik świat robiły. Miarkowalek, ze sie podrażnika spodziewajom, ftorego Janielcia upytala, coby prziseł.

Gazdowstwo Gubała miol hrube, to ta i święta bylo z cego zrobić, totyz gaździna nicego nie zalowała. Mnie, kie jek na to siecko patrzol, to mi jaz radość w brzuchu rosła, bo przecie bez ten Jadwent dość sie ciek napościl i brzucha poskiem naściskol, coby nie mrucoł, jabo zachowoj Boze — nie puknon.

Ale jako ta bylo — Panie Boze zachowoj, hale to se ta niki nie markocil, bok se zato we święta móg popuscic poska i o stury dziurki, he, he, bo jesć bylo co. Hale sprawiedliwosci to ta i tak nie bylo, bo na mój chlopaki rozum, coby bylo dobrze, nojsprawiedliwie, to trzaby bylo telo uzywać, popuscać, kieło sie przedtym poscilo, a tu swiaż ino dwa dni, a postu trzi tyżnie. Tak to wej — dobrego zawse mniej. Święta to my mieli wesole, co cud, a już nobarzej to jo był wesoly, no bo samom wilijom a już sie inaczej semnom gaździno ochodziła, jak w takie twycyjne dni. Wiecezom jodek śnimi wroz przy jednym stolicku a nie osobno w kaci izby i na osobnej panewce o trzok noskak i o jednym uchu.

Mnie, jako pacholko, to mi sie ta wycie zodno robota nie paliła, jako ta przy misce, tok sie tys co tfu uwijol, bo i jedzenie bylo gazdowskie, noj na sieckie sposo-

by przekładane. Nopierwej podala gaździna pierogi z pecokami, potem pecok bez pierogów, kapuste z barscem, potem barsce bez kapusty, grzybki ze śliwkami. Na ostaku podala gaździna karpiele, coby nikomu nie bylo zimno w piety. Telo ino jesce nie wiem, cy to dobrze sie stalo, cy źle, ze gaździnie hybielo na omaste oleju lnianego, ba omaścila olejem rycynowym, tosto i masne bylo i sieckim nom bars smakowalo, to my se ta pojedli, aj pojedli.

Po wiecezry gazda ozrządził, ze nie paciörz be my mówić, ba zaśpiywomy jakom kolęde, no i zaśpiywali my siecka wroz „Bóg sie rodzi”, ze jaze glectaly ściany, a w niebie Janieli od nasego śpiywanio truchleli.

Po tej piosence dziywka moik gazdów, Janielcia, poleciała do pola za końskom sope

a już noracej do tyk gazdów, ka mieli jednom dziywke jedynife. Jak sie już zesly, to potem ziadaly dookola stolu, przy wtorem jedli wiecezom i wyciegajom ze stana spod chuścinki do żdybelku siana, a wtoro wyciągla to podłożone gałezisko i okrutnie sie uradowala, bo gałezisko miało odnogi, a jo jyj przy tym dopodził, ze ta gałaż wroz jyj chłopa, jak Jancyjoz. Straśnie sie o to na mnie ozeżila, hipla ku półce, łapila pomy-

Jo o tym prorocctwie wiedzol, a bylo mi dobrze, bo u moik gazdów akurat byla dziywka jedynica, noj pokryjomie podložylek pod chuścinke fesiackie gałezisko. Dziywki ładnie sie zesly, posiadaly koło stolu i ciągnom żdziybła. Janielcia moik gazdów wyciągla to podłożone gałezisko i okrutnie sie uradowala, bo gałezisko miało odnogi, a jo jyj przy tym dopodził, ze ta gałaż wroz jyj chłopa, jak Jancyjoz. Straśnie sie o to na mnie ozeżila, hipla ku półce, łapila pomy-

lezy” a jo słuchom i słuchom, a dostuchał sie nimogem, co i ka lezy u kogo, w cym zlobie. Nie docekolek końca, bo poleciolek w chalupie, idem prosto w sope, patrze po zlobak, hale nika nicego nie widze. Nie wielo myślęcy poselek se na wyrek legnąć i kie niekie usonek se i śpiym. Długo jek ta nie spol, ani jek sie nie wyspol, bo lymze ze sie ozdwidniło, a mój gazda tu. Wpod w sope strasnie zły, klnie, holofi a djablami suje jak z worka. Krowy cysto piyknie wyprzekłane, na syćkie stury nogi pohipkały, a jo wraz z wyrkom trzesem sie co cud, glowe pod derke chowiem, hale to nie nie placi; gazda przy mnie przy wyrku stanom, noj dre sie na mnie: — Cos se ty smarku zatrappny myślis, cyś sie moke wciok, cy waryjoka se mnie robis?

— Ze gazdo, ze bez coś tak, pytom sie jo? — He, basarkania ze ci zania! to sie jesce bedzies pytol? poowijoleś wtora wiecór powróslami wyrby i tero sie se mnie ludziska śmiejom — rozumies?

— Zje gazdo, a wyrby to nie drzewa? Hale gazda nie śpasuje, ino jacej fórt na mnie sie dre i wćyko sie, kazeje sie mi wynosic wroz ze swojemi manatkami — coby cie już moje ocy nie widzialy — wolol — ha!

Mnie ta zaś nie trza bylo duzo pytać — co tfu hipnonek z wyrka, manatki swoje, jakkiek miol, pozbyrolek w syrżine, wzion pod pazuche i ze służby od Gubały odeselek.

Bylo już po północy, bo ludzie z Pasterki śli. Chłopcem, kawalerom, co o zyniacce myśleli, cas bylo iść na Podlasy ku swoim upatrzonym dziywkom, a ftoze ik o to pytaly. Janielcia moich gazdów tyz miała już w izbie swojego podrażnika, a jo, idęcy od Gubały w świat, ostatni roz pozrolek bez okno do izby, kie popodeń sel, widziolak go tam — prawučko siol po izbie owsem, siol casem po Janielci, siol po gazdak, a przitym słowa powięgowania leciaty:

Na scęćcie, na zdrowie,
na to Boze Narodzenie,
coby wom Poniezus nagodził:
grul, kapusty w kozdy dziyń,
masła, syra owcego,
zdrowe brzuchy do tego.
Cobyście mieli krowy,
a krowy mialy cieleta —
zaś Janielcia miała chłopa
zaroscił po świętak,
a jo był jyj młodym Panem
jaz do samej śmieraci — Amen.

Stołowe, pow. Nowy Targ

We wilijom u gazdy

Andrzej Skupień-Florek

słuchać, we wtorej stronie bedzie pies scekal, bo uwazujom, ze z tej strony dostanie dziywka chłopa, we wtorej uslysy scekanie psa. Mnie zaś gaździna kozala pozbyrać sieckie tyaki i zwiazać w jedno do kupy powrózklem od zapaski, coby się pastyrzowi w lecie, jak będzie pos, statek nie ozlazil i nie gził. Janielcia zaś, kie sie wracala z tego sluchanio scekania psa, zawziena z boiska i do izby prziniesla okłacek owslanej słomy, a gazdowie cysto piyknie ozdyrali go po izbie i po tyj słomie gónili się koło stolików i ław, coby im kury jajek nie tracily, a na ostaku gónienio łapila gaździna mnie za ręce i oba my się zwyrwali dookola kiernicki, coby gaździnom kości w polak nie bolaly, jak bedzie zgięta grule sadzić we wiesne. Gazda zaś za tela podsakowol prosto do góry k-ńcem, coby się owies nie zwalił, ino prosto rósł. Potem poseł na bojsko, wyrznom cepami we forzy, za kórbke mlynek obyrtnon, coby bez cały rok miol siłę do roboty.

Dziywki wiedzialy jesce o jednym sposobie prorocckim, cy sie w tym nowym roku wyda, dy nie, noj wierzyły weń. Kie już uposluzily siecko w izbie i w sope po wiecezry, to sie schodzily wroz w jednom izbie,

wac i chlusał mnie śnim bez gębe. Pomywac był masny, to sie mi od niego oba ocy zalplyly. Nie bylo casu, hale musiolek iść i umyc sie z tyj blydy, bo mie jesce cekala krecenie z gazdom powrósel z tyj ozdyrdanej po izbie słomy i jesce owijnie jablonok w sadku, a to znouw na to, coby dobrze rodzily i od mrozu nie pukly.

Nieduzo hybielo do północy, trza bylo sie brać na Pasterke. Przewlodek sie do cystej kosule i ładniejszego odzionka, noj pomalu poselek do kościola.

W kościele luda bylo moc. Byli z Witowa, z Polon, z Chochołowa i z Inkayk stron. Po malej kwili wysel pon organista na takom wielkom półce i chycil grać, a grol co tfu warciucko i drobniucko, jakby jakom kase z jarcu omielol, a po kościele sluchno bylo ciężkie fucenie miechów roz tym, roz inym końcem. Dopiyro naprowde piyknie bylo, kie wysła mso święto prowodziwo pasterko. Ksiadz przy oltorzu śpiywol, organista grol, ze omalo cisto piyknie organów nie wydul, a jo ledwo ustol na nogak, tak mie brało. Casem, kie ludzie byli cicho, to wtej ksiadz wolol na Domina, coby skub, a jak był ksiadz cicho, to zaś wtej ludzie śpiywali, co ino garła mieli, ze „W zlobie